

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 10 (287) • ROK XXV • PAŹDZIERNIK 2019



KULTURA
WIZERUNEK MIASTA

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



1 października na uczelniach wyższych województwa śląskiego odbyła się uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego. W samej tylko stolicy województwa działa niemal 20 uczelni, z których najważniejsze to Uniwersytet Śląski, Akademia Sztuk Pięknych, Akademia Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki, Śląski Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet Ekonomiczny i Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego. Na uczelniach naszego regionu kształcą się ponad 100 tysięcy studentów.



Poczsterski kompleks w dolnośląskiej Wierzbnej początkami sięga XIII wieku, a do naszych czasów przetrwał pałac opata oraz klasztor zwany ze względu na kształt „Długim domem”. Podobnie jak klasztor cystersów w Lubiążu, także Wierzbna kryje w swoich murach tajemnice z ostatnich miesięcy II wojny światowej.

Szczegóły str. 50



Przeгляд manierek, które mogły znaleźć się w rękach Powstańców Śląskich tworzy tło dla bogatego ekwipunku tego okresu. Manierki z liczącej trzy tysiące egzemplarzy kolekcji Łukasza Józefa Hubacza niejednokrotnie zaskiwały już uczestników takich wystaw muzealnych jak: *Manierki jeńców wojennych 1914–1918 na tle manierek państw zaborczych*, *Wierni Towarzysze. Manierki z czasów poprzedzających odzyskanie przez Polskę niepodległości* czy *Dyskretny urok picia. Manierki austro-węgierskie z okresu Wielkiej Wojny*.

Szczegóły str. 56

Z smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci w dn. 14 października 2019 w Katowicach nestora scen śląskich

Daniela Ryszarda Zaorskiego

Urodził się 27 marca 1928 w Łucku na Wołyniu, brał udział w Powstaniu Warszawskim, był absolwentem PWSA w Krakowie, występował na scenach: Teatru Starego w Krakowie, Teatru Śląskiego w Katowicach, Teatru Polskiego w Bielsku Białej, Teatru Zagłębia w Sosnowcu, Teatru Polskiego w Warszawie, Teatru Ludowego w Nowej Hucie, w blisko 200 przedstawieniach Teatru Telewizji, grał w blisko 30 filmach. Jego niezapomnianą kreacją była rola Józefa Szwejka w 1975 roku w Teatrze Śląskim.

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
Redakcja miesięcznika społeczno kulturalnego „Śląsk”

Nr 10 (287). Rok XXV. PAŹDZIERNIK 2019

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

ANNA GAUDY Korekta

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNOBORSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomek1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne można zamówić
pod adresem:
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Zasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej na:
www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1800 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Piotr Uszok* WYKŁAD INAUGURACYJNY „WPLYW KULTURY NA WIZERUNEK MIASTA”
10 *Andrzej Linert* INICJATYWY TEATRALNE W POWOJENNYM ZABRZU 1945-1959
13 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* OPUS MAGNUM MAŁGORZATY MUSIEROWICZ
18 *Radosław Kobierski* KRÓTKI BŁYSK
19 *Paweł Sarna* WSPOMNIENIA PRZY PERGAMINIE
29 *Grzegorz Grzeškowiak* PIERWSZE POWSTAŃCZE BOJE
32 *Radosław Kobierski* DŻEM SYMFONICZNIE
40 *Dariusz Nowacki* OLGA TOKARCZUK NA OLIMPIE
42 *Karolina Wyciślik* CZAS OLGII
43 *Abp senior Damian Zimoń* O ZOFII KOSSAK
44 *Jerzy Paszek* DZIENNIKI STEFANA KISIELEWSKIEGO. CZARNY HUMOR PRL-U, ŻÓŁĆ I BLUZG
48 *Grzegorz Opala* LAUDACJA NA CZEŚĆ PROFESORA WŁADYSŁAWA WOJCIECHA NASIŁOWSKIEGO
50 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* W CIENIU DŁUGIEGO DOMU
52 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* WZGÓRZE 310 CZYLI ATAK POLAKÓW NA NIEMCY
56 *Lukasz Józef Hubacz* POWSTAŃCZE MANIERKI (cz. 2)
60 *Zbigniew Lubowski* CZY WARTO WOJOWAĆ Z OPERETKĄ?
62 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* WYKŁADY BOROWEGO O POEZJI MICKIEWICZA
77 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* ODCHODZĄCY ŚWIAT EKSLIBRISU
78 *Agnieszka Kukula* DNI HADYNOWSKIE
80 *Małgorzata Lichecka* KARL SCHABIK – KREATOR GLIWIC

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 *Aleksandra Rajnisz* TWÓRCZOŚĆ
69 GALERIA: ALEKSANDRA RAJNISZ – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE ks. *Bartłomiej Kuźnik* TESTAMENT
16 Ks. *Bartłomiej Kuźnik* WIERSZE
20 *Piotr Czaadajew* FRAGMENTY I RÓŻNE MYŚLI (przełożył *Marian Kisiel*)
26 *Lucyna Leśniowska* POSEGREGOWANI
39 *Aleksandra Rajnisz* PROZA
46 *Stanisław Dłuski* WIERSZE
58 *Paweł Partyka* FRANCIA
59 *Paweł Partyka* GRZYTKA

TEATR

- 34 *Wojciech Lipowski* KWARTET NA SŁOWA, GESTY I MILCZENIE
74 *Wojciech Lipowski* WIDOK Z WNETRZA SAMOTNOŚCI
76 *Marcin Halaś* OWOC AMERYKAŃSKIEGO SNU

FELIETONY

- 36 MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek* WSPOMNIENIA REKTORA
37 ŚLĄSKA OJCZYZNA PÓLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* „PIEROŃSKO KOMEDYJO”
38 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* „WOLNY OD BAJTA” CZYLI HUMANISTA Z BOJSZÓWSKIEGO HOLLYWOOD
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* BOGDAN MIZERSKI, MISTRZ KONTRABASU TOTALNEGO

KSIĄŻKI

- 64 *Andrzej Juchniewicz* KRONIKARZ SPEŁNIAJĄCEJ SIĘ KATASTROFY
65 *Anita Jasińska* SKAZANE NA ZMARNOWANIE
66 *Jerzy Paszek* ILE LEKTUR, TYLE ODKRYĆ
67 *Marian Kisiel* KUTZ RAZ JESZCZE
88 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

84 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Olga Śląska-Pałka "MK 94", technika : wkłęsłodruk, rok: 2018

Pismo wspierane
finansowo przez:Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICEKATOWICE
dla admiaryMinisterstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Od Redaktora!

Gaudeamus igitur, Juvenes dum sumus; Post jucundam juventutem, Post molestam senectutem, Nos habebit humus! **Radujmy się więc, dopókiśmy młodzi. Radujmy się więc, dopókiśmy młodzi! Po przyjemnej młodości, po kłopotliwej starości, posiędzie nas ziemia, posiędzie nas ziemia.**

Ten tradycyjny akademicki hymn co roku, w październiku rozbrzmiewa na uczelniach wyższych w całej Polsce i w naszym województwie, od Bielska-Białej przez Gliwice, Katowice, aż po Częstochowę. Jesteśmy drugim lub trzecim ośrodkiem akademickim w Polsce po Warszawie i Krakowie.

Dziś, uczelnie przeżywają największy — zapewne od lat pięćdziesiątych minionego wieku — okres restrukturyzacji, głębokich zmian organizacyjnych i...personalnych. Trwałość naukowych i badawczych struktur uczelnianych, poszanowanie tradycji i obyczajów akademickich, hierarchii tytułów i stopni naukowych, wewnątrz uczelnianej demokracji i autonomii uczelni, nadrzędność sprawnie organizowanej dydaktyki — to były filary integrujące społeczności akademickie. Dokonywane zmiany mają zmierzać ku spragmatyzowaniu procesu kształcenia studentów, przygotowania młodzieży do szybkiego i efektywnego zasilenia kadr gospodarczych oraz przemysłowych, kreatywnego jej funkcjonowania w systemie gospodarczym i społecznym.

Z wielu względów taka wizja jest pewnie pożyteczna i potrzebna. Lecz uczelnie muszą — by przetrwać unifikujące wichry powszechnej globalizacji, wszędożyłkiego internetu i społeczeństwa sieciowego zorganizowanego w ryzach cywilizacji

cyfrowej — zachować swoją prymarną funkcję: kształcenia młodych pokoleń dla poznania i kultywowania starej jak cywilizacja europejska triady: **prawdy, dobra i piękna (nauki, etyki i estetyki).**

Wbrew pozorom zdobywanie tylko wiedzy i potrzebnych lub przydatnych umiejętności nie może być celem samym w sobie. Ten humanistyczny aspekt kształcenia akademickiego szczególnie wybrzmiał w inaugurujących rok akademicki wystąpieniach — rektorów dwóch największych śląskich wyższych uczelni artystycznych: JM Rektora Akademii Sztuk Pięknych prof. **Antoniego Cygana** i JM Rektora Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego prof. dr hab. **Władysława Szymańskiego.**

Władze obydwu uczelni postanowiły powierzyć obowiązek wygłoszenia wykładów inaugurujących rok akademicki osobistościom spoza ich Uczelni: byłemu prezydentowi Katowic Panu **Piotrowi Uszokowi** i Dyrektorowi Teatru Wielkiego — Opery Narodowej Panu **Waldemarowi Dąbrowskiemu.** Tekst interesującego wykładu Pana Piotra Uszoka drukujemy w naszym czasopiśmie, wystąpienie Waldemara Dąbrowskiego także poświęcone było konieczności budowy i efektom realizacji przedsięwzięć inwestycyjnych dla kultury. Obydwaj Panowie w swoich wystąpieniach podkreślali wagę i znaczenie kultury dla rozwoju miasta, regionu, społeczeństwa, mimo niezbyt chętnie akceptowanych przez mieszkańców stolicy województwa ważnych projektów inwestycji i przedsięwzięć, o czym może świadczyć — wykazane w wystąpieniu Piotra Uszoka — ledwie śladowe poparcie dla zamiaru

budowy... Muzeum Śląskiego (0,21% ankietowanych). Szkoda, że do rzeczowego wystąpienia Waldemara Dąbrowskiego wkraśli się niefortunne akcenty protekcyjne, typowe dla przedstawicieli urzędów centralnych chętnie pouczających odwiedzanych przez nich „prowinjonalnych” partnerów.

Tak mocne, stanowcze wskazanie na rolę kultury w kształtowaniu oblicza naszych miast i jakości życia mieszkańców regionu cieszy, a konsekwentna polityka kulturalna władz miasta, wsparcie dla różnorodnych akcji kulturalnych i projektów artystycznych przez **Prezydenta Marcina Krupę** budzi nadzieję na pomyślny w przyszłości dalszy rozwój nie tylko infrastruktury kultury, instytucji kultury, ale wielu cennych inicjatyw organizacji pozarządowych, samych twórców i artystów.

Bowiem nie tylko nauką, poznawaniem prawdy, piękna i dobra parają się studenci, lecz jak głoszą kolejne, nieco zapomniane już strofy wywodzącego się aż z XVIII wieku hymnu akademickiego, brać akademicka wiwatując na cześć władz państwowych, akademii i grona profesorów, chwali także owe nieco przyziemne, jakże przyjemne doskonałości i uroki życia studenckiego, które bez zaplecza kulturalnego mogą przecież być znacznie uboższe: *Vivant omnes virgines, faciles, formosae vivant et mulieres, tenerae, amabiles, bonae, laboriosae!* czyli **Niechaj żyją wszystkie dziewczyny, przystępne, piękne, niechaj żyją i mężatki, delikatne, miłe, dobre, pracowite.**

Vivat academia! Scientia potestas est.

Tadeusz Sierny

Testament

witaj dzień uśmiechem
pisz do znajomych
rozśmieszaj urzędników

miej czas na spacer
dobre koncerty filmy
vlogi artykuły książki

patrz w gwiazdozbiory
przytulaj męża żonę
chłoń ciepło dziecka

słuchaj obu stron
jedną i napominaj
pokornie dodawaj sił

nie wymazuj młodości
śpiewaj dawne pieśni
chron w sobie prawdę

cierpliwie milknij
ufaj że wygra dobro
hamuj nieprawych

szanuj Eucharystię
spowiedź i gablotki
prowadź do chrztu

umacniaj dobrych
promuj skromnych
kochaj wszystkich

klękaj do spowiedzi
śpiewaj na ślubach
bądź na pogrzebach

to by było na tyle
jeśli dasz radę bądź
nie uciekaj za szybko

chodź na procesje
podnoś co upadło
rób krzyż na chlebie

będą Cię chcieli poznać
popytać powspominać
pouczyć się wieczności

nie hołub hołubionych
pierwszy wyciągaj rękę
nie połużniaj a śrubuj

22-03-1979 – 27-08-2019 – DD-MM-20YY

Ks. Bartłomiej Kuźnik – doktor w Katedrze Teologii Pastoralnej, Liturgiki, Homiletyki i Katechetyki na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, kapelan ks. abpa Damiana Zimonia, poeta, felietonista, prowadzi audycję *U progu dnia* i *Ślady* w Polskim Radiu Katowice. Autor książki *Moją pustynią świat. Studium dorobku kaznodziejskiego księdza doktora Stanisława Bisty* (Katowice 2017) oraz tomiku poezji *Więzi krwiste* (Katowice 2019). W numerze czerwcowym „Śląska” prezentowaliśmy jego wcześniejsze wiersze.

Wpływ kultury na wizerunek miasta

PIOTR USZOK

Magnificencjo Rektorze, Prześwietny Senacie, Członkowie Rady Uczelni wraz z jego Przewodniczącym, Drodzy Studenci i Doktoranci, Pracownicy Akademii Sztuk Pięknych oraz zacni goście.

Staję tutaj przed Państwem aa zaproszenie Jego Magnificencji Rektora, i jest to dla mnie wyjątkowym wyróżnieniem za co serdecznie dziękuję. Z pozycji inżyniera, którego łaskawość losu dopuszcza do zabrania głosu przed tak zacnym akademickim gronem staję przede mną nie lada wyzwanie i pytanie o to, co takiego interesującego może powiedzieć inżynier wobec prześwieconego grona profesorów, naukowców, artystów. Nie będę więc próbował wejść w „skórę” artysty, naukowca czy mistrza by pouczać znacznie mądrzejszych i doświadczonego, podzielię się raczej swoimi doświadczeniami, próbą zrozumienia tego, na jakiej pozycji znajdowała się kultura i nauka naszego miasta i regionu w latach minionych. Tak w okresie międzywojennym jak i powojennym. Czy był to stan właściwy, czy wymagał zmiany i jaka rola w tym wszystkim powinna być miasta.

Nie ukrywam, że w moim przekonaniu Śląsk zawsze był istotną częścią Polski, wiele się tutaj działo. Inwestowano w rozwój przemysłu, budowano mieszkania a dopełnieniem tego była rozbudowa bazy sportowej. Kultura i nauka była jednak tym, oczywiście w moim przekonaniu, co nie było przedmiotem szczególnego zainteresowania i troski władz centralnych.

Wato przypomnieć, że dopiero w 1968 roku powołano do życia Uniwersytet Śląski, kiedy np. w roku 1945 powołano Uniwersytet Łódzki oraz Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, a w roku 1965 Uniwersytet Rzeszowski.

Podobnie przedstawiała się sprawa

w w obszarze kultury. Akademię Sztuk Pięknych w Katowicach powołano do życia w roku 2001, kiedy powstanie np. ASP w Gdańsku i Łodzi datuje się na rok 1945.

Nie przytaczam tych danych by wywoływać żal i pretensje, przytaczam te dane raczej po to by wyciągać wnioski, by uświadomić sobie jaka na nas spoczywa odpowiedzialność i powinność za rozwój w tych obszarach. Szczęściem dla nas było to, że od roku 1929 funkcjonowało w Katowicach Państwowe Konserwatorium Muzyczne przekształcone w roku 1945 w Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną, oraz fakt, że po zakończeniu II wojny światowej Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia została reaktywowana w Katowicach jako Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia, tak Narodowa ... Warto zadać sobie przy okazji pytanie ile narodowych instytucji kultury mamy w naszym regionie?

Kiedy w roku 1998 przejąłem odpowiedzialność za miasto Katowice musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy wobec poważnych wyzwań związanych z likwidacją Kopalni Katowice, Huty Baildon i problemów innych zakładów pra-

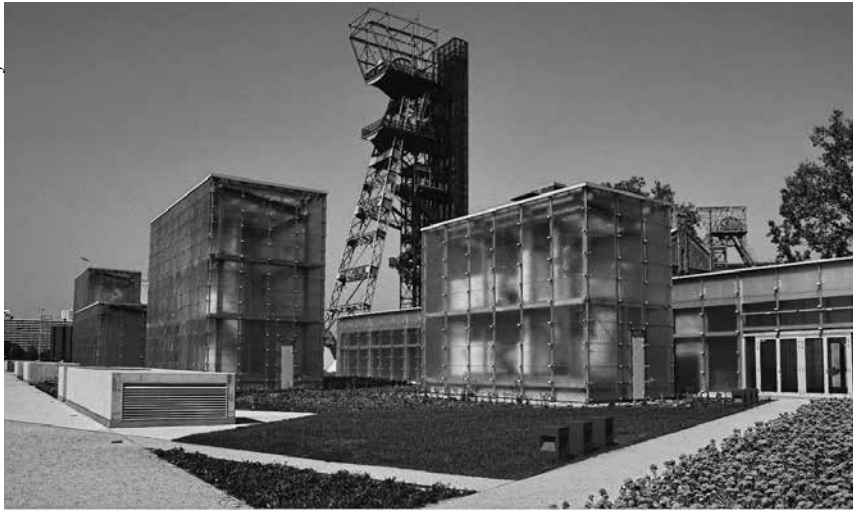
cy mam odpowiadać stricte za miasto rozumiane jako twór administracyjny i wynikającymi z tego wszelkimi uwarunkowaniami prawnymi, czy też moja odpowiedzialność rozciąga się znacznie szerzej, jest odpowiedzialnością rozumianą jako odpowiedzialność za całą społeczność związaną z tym miastem, niezależnie od miejsca ich zamieszkiwania.

Oczywistą sprawą było, że moja odpowiedzialność, szczególnie ta moralna, rozciągała się znacznie szerzej. Takie podejście wymagało ścisłej współpracy, dialogu z różnymi środowiskami. Głównym problemem, z którym musieliśmy się zmierzyć był brak właściwej bazy dla rozwoju kultury i nauki. Nie wystarczał wysoki poziom merytoryczny, naukowy i artystyczny, bez właściwej bazy dalszy rozwój był znacząco ograniczony.

W roku 1999 (pierwszy rok mojej prezydentury) kiedy zlikwidowano Kopalnię Węgla Kamiennego Katowice stanęliśmy przed nie lada wyzwaniem. W samym sercu miasta pozostał obszar postindustrialny o powierzchni około 20 ha. Nie było wtedy jasnej wizji zagospodarowania tych terenów, oczywiście pojawiły się podmioty, które chciały



for ASP



zagospodarować te tereny w sposób komercyjny. Intuicja podpowiadała jednak, by nie ulegać presji, tak też się stało. Zaczął się żmudny proces przejmowania tych terenów przez Miasto. Działania te zostały zakończone sukcesem za wyjątkiem terenów gdzie były obiekty kubaturowe KWK Katowice, one nadal pozostały własnością Katowickiego Holdingu Węglowego.

Miasto w latach 1998–2006 było skoncentrowane na przebudowie infrastruktury podziemnej, przebudowywane były układy drogowe, realizowano Drogową Trasę Średnicową. Czas, by szerzej zainwestować w przebudowę centrum miasta oraz nadać szerszy i bardziej współczesny wymiar instytucjom kultury w tej przestrzeni nastąpił w roku 2006.

Wtedy to w programie działań na lata 2006–2014 wpisano między

innymi takie zadania jak: modernizacja Sali koncertowej Górnośląskiego Centrum Kultury dla potrzeb Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, budowa Międzynarodowego Centrum Kongresowego, współpraca z Urzędem Marszałkowskim jako głównym inwestorem Muzeum Śląskiego, modernizacja Spodka.

Tak jak lokalizacja Międzynarodowego Centrum Kongresowego od samego początku była przesądzona to kwestie lokalizacji Muzeum Śląskiego jak i obiektu NOSPR-u były przedmiotem ciągłych dyskusji. W wyniku szerokiego dyskursu publicznego podjęto decyzję, by nowe Muzeum Śląskie było zlokalizowane na terenach po Kopalni Węgla Kamiennego Katowice. Dzięki temu, że w roku 2002 miasto Katowice podarowało Muzeum Śląskie-

mu nieruchomości przy ul. Ceglanej sprawa zmiany lokalizacji była ułatwiona. W dniu 30 grudnia 2004 roku Muzeum Śląskie dokonało zamiany swoich nieruchomości na nieruchomości KWK Katowice. Przy zaangażowaniu finansowym Miasta sprawa została sfinalizowana. W dniu 2 listopada 2006 nastąpiło podpisanie „Porozumienia w sprawie współdziałania na rzecz budowy nowego gmachu Muzeum Śląskiego w Katowicach”, pomiędzy Województwem Śląskim, Miastem Katowice i Muzeum Śląskim. Na podstawie porozumienia Miasto zobowiązało się do pozyskania gruntów niezbędnych dla realizacji obiektów Muzeum i przekazania ich Muzeum Śląskiemu oraz zrealizowania drogi dojazdowej do obsługi obiektów Muzeum.

Po podjęciu ostatecznej decyzji lokalizacyjnej Muzeum Śląskiego katowicki oddział SARP-u przygotował koncepcję przestrzennej lokalizacji obiektów Muzeum oraz planowanych do realizacji obiektów MCK i NOSPR. Pozwoliło to uruchomić proces inwestycyjny.

W dniu 15 czerwca 2007 nastąpiło ogłoszenie wyników międzynarodowego konkursu na koncepcję architektoniczną nowego gmachu Muzeum Śląskiego. Długo oczekiwana realizacja Muzeum zaczynała przybierać realne kształty.

Modernizacja Górnośląskiego Centrum Kultury dla potrzeb NOSPR też wiązała się z wieloma problemami. Ostatecznie z uwagi na uwarunkowania konstrukcyjne i budowlane





tego obiektu (brak możliwości uzyskania właściwej akustyki sali koncertowej) na posiedzeniu w dniu 23 lutego 2007 roku Rada Programowa na podstawie listu Rady Orkiestry przedstawiła propozycję budowy nowej sali koncertowej. Wtedy to zapadła decyzja w sprawie budowy nowej sali. Oczywiście ze względów proceduralnych Rada Miasta musiała to zadanie inwestycyjne uwzględnić w projektach kolejnych budżetów, i tak też się stało. Było to nie lada wyzwania. Wiadomym było, że bez uzyskania wsparcia środkami unijnymi realizacja tej inwestycji będzie prawnie niemożliwa. Otwartą kwestią była lokalizacja nowego obiektu. Z uwagi bardzo ograniczone ramy czasowe oraz dysponowaniem przez miasto terenami po KWK Katowice podjęto decyzję by tam ulokować nową siedzibę NOSPR.

W roku 2008 ogłoszono i rozstrzygnięto konkurs na budowę obiektu dla Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. Także w roku 2008 ogłoszono i rozstrzygnięto konkurs na budowę obiektu Międzynarodowego Centrum Kongresowego.

Podsumowując, u progu roku 2009 staliśmy przed nie lada wyzwaniem, budową wyjątkowych obiektów, które mogły w zdecydowany sposób zmienić postrzeganie miasta. Ważną kwestią było zadanie pytania mieszkańcom, czy taki kierunek działań akceptują, czy w ich odbiorze inwestycje te są Miastu i regionowi potrzebne. Badania te zostały zlecone a wyniki pokazywały, że obiekty te nie miały zbyt dużej akceptacji społecznej. Na 16 wskazanych – kluczowych inwestycji, budowa Międzynarodowego Centrum Kongresowego cieszyła się 2,44% poparciem, budowa sali koncertowej NOSPR-u 4,9% poparciem, natomiast budowa Muzeum Śląskiego poparciem na poziomie 0,21%. Trudno jednoznacznie wskazywać co składało się

na taki wynik ankiety, być może zbyt małe upowszechnienie informacji o potencjalnej wartości tych obiektów, może zbyt małe przekonanie o tym, że inwestowanie w kulturę w tak przemysłowym regionie nie do końca może być skuteczne a nawet zasadne.

Trzeba było dużej determinacji by nie skończyło się tylko na konkursach. W tamtym czasie przychylność mediów była bardzo ograniczona, wytykano, że przedstawiamy tylko wizualizacje a ich wdrożenie jest co najmniej wątpliwe.

Wpisując się w tę wielką przemianę od roku 2009 na terenach po KWK Katowice rozpoczyna się organizacja festiwalu Tauron Nova Muzyka natomiast w roku 2010 organizacja OFF festiwalu Artura Rojka zostaje przeniesiona z Mysłowic na Dolinę Trzech Stawów w Katowicach. Pojawiają też inne inicjatywy kulturalne jak na przykład Katowicki Karnawał Komedi.

Na sesji, która odbyła się w dniu 11 września 2009 roku Rada Miasta Katowice podejmuje uchwałę w sprawie ubiegania się o uzyskanie tytułu Europejskiej Stolicy Kultury. Miasto

składa aplikację. Podjęcie tej decyzji spotkało się z bardzo zróżnicowanymi reakcjami różnych środowisk, począwszy od akceptacji poprzez różnego rodzaju wątpliwości aż po całkowite zanegowanie tej inicjatywy, jako wykraczającej daleko poza nasze możliwości. Jakże wielkie było zdziwienie kiedy Komisja Konkursowa w dniu 13 października 2010 roku ogłasza, że Katowice przechodzą do drugiego etapu pokonując takie miasta jak Gdańsk czy Toruń.

21 czerwca 2011 roku tytuł ESK zostaje przyznany Wrocławowi, tak więc ostatecznie tego tytułu nie uzyskujemy.

Równoległe ze zmaganiem o uzyskanie tytułu ESK w roku 2010 odbywa się w Katowicach Kongres Kultury Województwa Śląskiego, niezwykle ważne wydarzenie dla naszego regionu. Na jego zakończenie sformułowano wiele bardzo cennych i trafnych wniosków, które zawarto w „Postulatach z Kongresowych dyskusji” oraz „Rekomendacjach Kongresu Kultury Województwa Śląskiego”. Niestety nie było tam zawartych rekomendacji dla rozbudowy infrastruktury dla instytucji kultury, co też nie dawało Miastu wsparcia w podejmowanych działaniach związanych np. z budową nowego obiektu dla Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. Wzmianka na ten temat znalazła się jedynie w Raporcie o muzyce klasycznej Mirosława Jacka Błaszczaka.

W roku 2011 został opublikowany raport międzynarodowej firmy PwC zatytułowany „Raporty na temat wielkich miast Polski”. Dotyczył on analizy wielu obszarów funkcjonowania polskich miast w latach 2006–2010. Moją uwagę szczególnie przykuła część dotycząca kultury i wizerunku. Pomimo powszechnego poglądu na temat miasta Katowice w aspekcie jego dziedzictwa po-





stindustrialnego, a co za tym idzie i wizerunku dużym zaskoczeniem, przynajmniej dla mnie był wskaźnik kapitału w obszarze kultury życia codziennego rozumianego jako oferowanego wyboru restauracji, hoteli, liczby kin, możliwości relaksu w parkach lub udziału w popularnych imprezach masowych. Jeszcze większym zaskoczeniem był wskaźnik kapitału w zakresie kultury wysokiej gdzie Miasto zostało sklasyfikowane na drugim miejscu po Warszawie oraz przed Krakowem i Wrocławiem. Wskaźnik ten był konstruowany w oparciu o budżet miasta na kulturę, liczba koncertów, festiwali filmowych, teatralnych muzyki poważnej, a także liczba uczestników największych koncertów. Wszystkie wskaźniki zostały odniesione do liczby mieszkańców. Na pewno na wynik ostateczny miał wpływ kontekst metropolitalny Katowic ale warto zaznaczyć, że z instytucji kultury Warszawy korzystają nie tylko mieszkańcy Warszawy, tak samo jest w przypadku Krakowa i Wrocławia. Oczywiście każde dane statystyczne można w różny sposób interpretować, tym niemniej niezależnie od sposobu podejścia i interpretacji wyników poziom miasta postrzegany poprzez kulturę był wysoki, w przeciwieństwie do wizerunku.

Wobec uwarunkowań oraz kontekstów, które przedstawiłem wcześniej, tereny po KWK Katowice stają się w latach 2011–2015 wielkim placem budowy. W roku 2011 rozpoczyna się budowa Muzeum Śląskiego oraz Międzynarodowego Centrum Kongresowego a w roku 2012 budowa siedziby wraz z salą koncertową Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia.

Równoległe z tymi inwestycjami trwa modernizacja Spodka oraz budowa nowego układu komunikacyjnego na tych terenach.

Lata 2014–2015 to zakończenie relatywnie dużych inwestycji a być może i przełomowych na terenach po Kopalni Węgla Kamiennego Katowice. Kopalnia, która nosiła imię naszego miasta, symbolizowała górnicze i przemysłowe korzenie, na ich podstawie była budowana siła Katowic. Nadszedł jednak czas zmian. Jak mówi chińskie przysłowie „Gdy wieją wichry zmian jedni budują mury inni budują wiatraki”. Nie zabrakło więc tych, którzy przystąpili do budowy murów jednak większość upatrując siły wiatru zaczęła budować wiatraki.

I tak owymi przysłowiowymi wiatrakami oprócz inwestycji realizowanych na terenach po KWK Katowice stały się także między innymi: zmodernizowany budynek Teatru Śląskiego, sala koncertowa wraz z biblioteką Akademii Muzycznej, zmodernizowany budynek Filharmonii Śląskiej, Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej, nowy obiekt Wydziału Radia i Telewizji, nowy obiekt Akademii Sztuk Pięknych.

Wiele instytucji kultury i nauki o dużym dorobku i kapitale dyspo-

nując już znacznie doskonalszą bazą materialną mogło stać się synonimem zmian Katowic i metropolii.

Miasto dostrzegając ten potencjał, w szczególności w obszarze muzyki w dniu 14 lipca 2015 roku składa aplikacje o uzyskanie tytułu „Kreatywne miasto UNESCO 2015 w dziedzinie muzyki”. Po ocenie wniosków przez międzynarodowych ekspertów w dniu 11 grudnia 2015 roku Miasto Katowice wchodzi do Sieci Miast Kreatywnych UNESCO.

Wszystkie wyżej przytoczone zdania skłaniają do refleksji na temat tego, jak kultura wpłynęła na rozwój Katowic i metropolii, czy wykorzystaliśmy daną nam szansę, czy zagrożenia, z którymi musieliśmy się zmierzyć umocniły nas, czy przeobrażenia, które nastąpiły dały nam poczucie wartości i godności. Każda ocena zapewne będzie subiektywna ale warto posłużyć się różnego rodzaju badaniami i publikacjami. Zapewne nie jest ich wiele ale pozwolę państwu, że przytoczę dane z publikacji, która ukazała się w roku 2017 a zatytułowana została „Efekt ESK, Jak konkurs na Europejską Stolicę Kultury 2016 zmienił polskie miasta”. Publikacja ta została opracowana przez Biuro Festiwalowe Impart 2016 oraz Uniwersytet Jagielloński. W odniesieniu do Katowic czytamy tam: „Niezwykła architektura i sporty rozgłos medialny, który towarzyszył powstaniu Strefy Kultury sprawiły, że zlokalizowane tam instytucje kultury niemal natychmiast wzbudziły zainteresowanie opinii publicznej. Jeśli jeszcze w 2013 roku, ostatnim, który NOSPR spędził w starej siedzibie, na jej koncerty przyszło 21,4 tysiąca widzów (zorganizowano wówczas 33 wydarzenia), to już w 2015 roku – pierwszym roku w całości w nowej siedzibie – koncerty NOSPR zgromadziły już 195-tysięczną publiczność (zorganizowano aż 266 imprez muzycznych)”. Równie





fol. ASP

wysoki sukces frekwencyjny zanotowało Muzeum Śląskie. Według danych tej placówki na przestrzeni 2014 roku muzeum odwiedziło 74,022 tysięcy osób natomiast w roku 2016 muzeum odwiedziło 176,071 tysięcy osób, a w roku 2017 — 211,452 tysięcy osób. Pokazuje to, jak niezwykle istotną rolę w rozbudzeniu zainteresowania odbiorców kultury pełni architektura miejsca.

Oprócz wydzwiku bardzo pozytywnego nie zabrakło krytyki, Strefa Kultury została nominowana do tytułu Betonowej Kostki. W uzasadnieniu podano, że „jest to przestrzeń monofunkcyjna, zupełnie oddzielona od miasta, nastawiona na ruch samochodowy”. Chcę wyraźnie podkreślić, co zresztą wielokrotnie publicznie mówiłem, że nie jest to projekt dokończony. Do roku 2014 został zrealizowany zaledwie w około 40%. Wokół znajdują się tereny, na których powstaną biurowce, budynki mieszkalne, hotel. I ta idea jest realizowana. Jak mówił francuski pilot, pisarz i poeta (Antuan de sainte Ksupe) Antoine de Saint-Exupéry „Umrze miasto, jeżeli budowa jego będzie zakończona. [...] doskonałość nie jest bynajmniej osiągnięciem celu”. Wieżę więc głęboko w to, że budowa Katowic nie jest i nie będzie zakończona, będzie ciągle trwała a potwierdzeniem tego jest zaangażowanie w rozwój miasta obecnych władz. Nie ukrywam, że moim marzeniem jest to, by w Strefie Kultu-

ry powstał Teatr Wielkiej Opery i Balletu. Wielokrotnie było to podnoszone przez środowiska muzyczne a szczególnym orędownikiem tej idei był nieodżałowany redaktor Tadeusz Kijonka. Miejsce na budowę jest, oczywiście na terenach po KWK Katowice. Warto nad tą ideą się pochylić, nawet w imię kolejnej nominacji do Betonowej Kostki.

W roku 2015 ukazał się kolejny raport firmy PwC. Być może to za krótki okres by oddziaływanie Strefy Kultury, której budowa zakończyła się właśnie w tym roku przełożyło się na bezpośrednie wyniki badań. Pochylmy się jednak nad nimi. Wynika z nich, że tzw. wskaźnik „Kapitału kultury i wizerunku” wzrósł w stosunku do roku 2011, przełożyło się to bezpośrednio na wzrost generalnego wizerunku miasta, jednak jak się wydaje nie aż tak mocno. Gdy przeanalizujemy wzrost tzw. wskaźnika „Kapitału i Wizerunku w zakresie kultury wysokiej” to dane są już bardzo budujące, nastąpił znaczny wzrost tego wskaźnika. Pod tym względem miasto Katowice wyprzedza wszystkie inne miasta Polski, nawet Warszawę

Dokonując różnych analiz warto zwrócić uwagę na wyniki Raportu zatytułowanego „z czym uczestnicy Europejskiego Kongresu Gospodarczego kojarzą Katowice”. Badania zostały przeprowadzone podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w roku 2016 i pokazały,

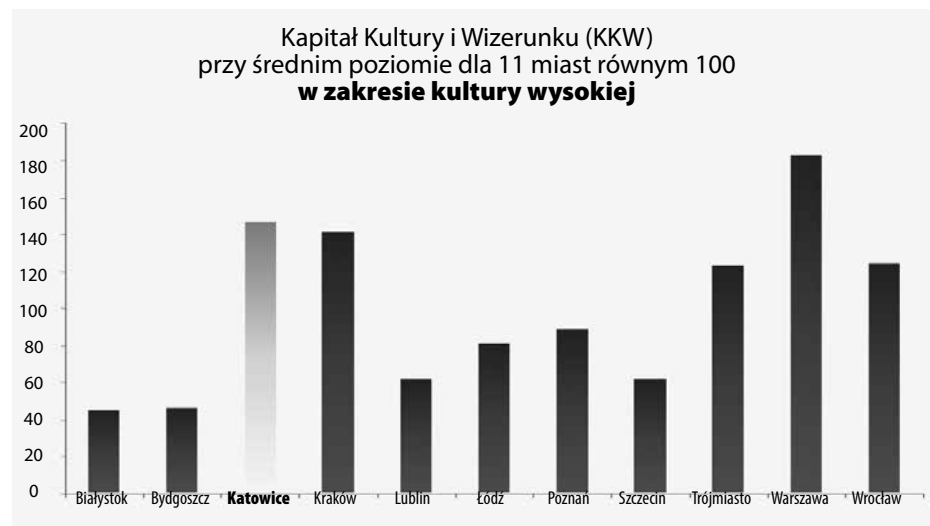
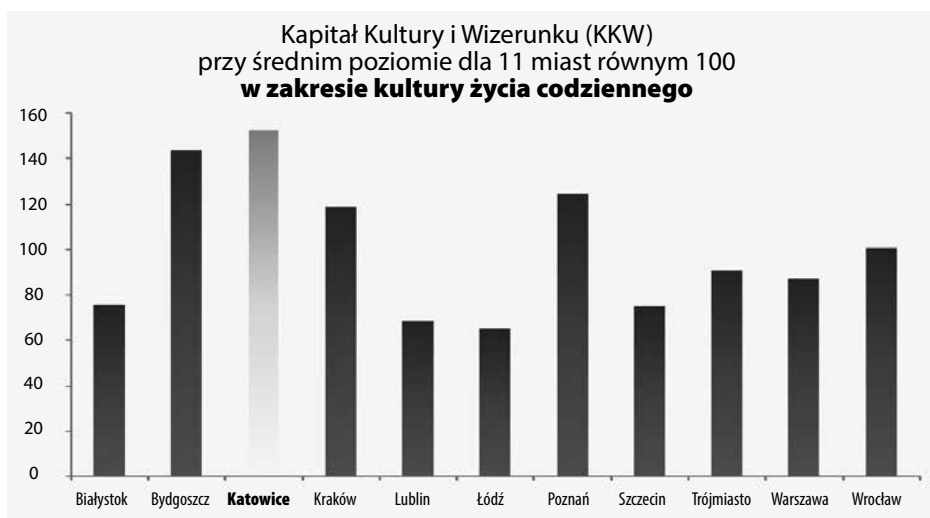
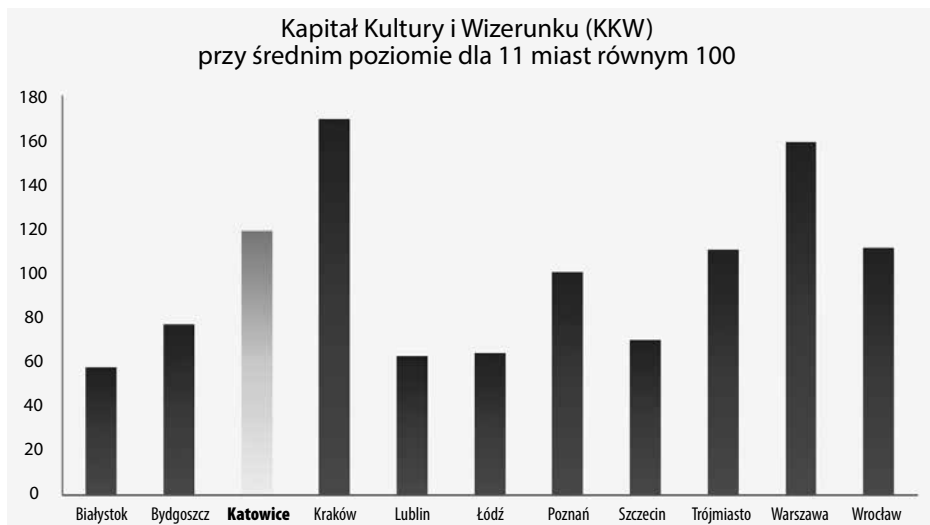
że na pierwszym miejscu znalazł się przemysł — 61%, na drugim biznes — 48% a na trzecim kultura — 47%. Interesująco wyszły wyniki z podziałem na osoby spoza aglomeracji oraz mieszkańców aglomeracji. Wynika z nich, że w Katowicach odbyła się „kulturalna rewolucja”.

Uczestnikom kongresu będących mieszkańcami aglomeracji katowickiej miasto kojarzy się z kulturą — 56% respondentów, bardziej niż z przemysłem — 50% respondentów i biznesem — 45% respondentów.

Postrzeganie naszego miasta i regionu przez uczestników kongresu nie będących mieszkańcami aglomeracji przez pryzmat kultury nie jest już takie wysokie. 37% uczestników kongresu nie będących mieszkańcami aglomeracji kojarzy nas z kulturą, 73% z przemysłem natomiast 50% z biznesem. I nad tym musimy ciągle pracować by to zmienić.

Ciekawe wnioski wypływają też z rankingu miast opublikowanego w roku 2017 przez DNA Miasta, Fundację Res Publica im. Henryka Krzeczakowskiego. Opracowanie zatytułowane „Kreatorzy rozwoju kultury miejskiej. Ranking” zostało sfinansowane przez Narodowe Centrum Kultury.

Zespół DNA Miasta z Fundacją Res Publica we współpracy z zewnętrznymi ekspertami porównał ze sobą 100 największych polskich miast pod względem warunków, jakie stwarzają dla rozwoju kultury.



Katowice zajęły piąte miejsce wyprzedzając Kraków i Wrocław. Mamy świadomość tego, że do danych statystycznych musimy podchodzić z pewną rezerwą, są co prawda twarde, są co prawda twardymi danymi statystycznymi lecz mogą nie uwzględniać różnych kontekstów szczególnie tych subiektywnych. Są jednak elementem kreowania opinii publicznej. Musimy też pamiętać o tym, że dane te nie są dane raz na zawsze, podlegają ewaluacji, zmieniają się bo przecież każde miasto podlega ciągłym i ustawicznym zmianom. Badania te, pokazują też jak wiele mamy jeszcze do zrobienia, Polska jeszcze ciągle postrzega nas przez pryzmat przemysłu, zatem myśląc o doskonałości oraz zmianie wizerunku naszego Miasta i regionu musimy mieć głęboką świadomość, że nie uczynimy tego bez nadania i ciągłego utrzymywania właściwej rągi kultury i nauki.

W roku 2019 Katowice zostały laureatem nagrody „Real Estate Impactor 2018” w kategorii „wizja zmieniająca oblicze miasta”. Doceniono udaną przemianę miasta, którą obserwujemy od kilku lat piśsze redakcja Rzeczpospolitej.

Warto też zwrócić uwagę na fakt, że przemianę zauważył także The Economist w artykule „In the black How the capital of Poland’s coal belt is reinventing itself”.

Kończąc to może zbyt inżynierskie i oparte na danych statystycznych wystąpienie chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy współuczestniczyli w tych procesach, dodawali miastu otuchy i nadziei, wspierali w chwilach trudnych.

Niech podsumowaniem tych refleksji nad rozwojem miasta będą słowa Ojca Świętego Jana Pawła II, cytując: „Człowiek żyje prawdziwie ludzkim życiem dzięki kulturze. (...) Kultura jest właściwym sposobem istnienia i bytowania człowieka. (...) Kultura jest tym, przez co człowiek jako

Konstruując ranking autorzy wzięli pod uwagę dane liczbowe dotyczące następujących obszarów (priorytetów) polityki kulturalnej: dostępność do kultury/uczestnictwo w kulturze i działalność miejskich instytucji kultury, otoczenie formalno-prawne działalności kulturalnej i finansowanie/zasoby kultury, dzia-

łalność pozainstytucjonalna (organizacji społecznych).

Zgromadzone dane (takie jak np. liczba muzeów, frekwencja w galeriach sztuki, bieżące wydatki na kulturę), które najlepiej reprezentują poszczególne obszary polityki kulturalnej, uwzględniono w przeliczeniu na liczbę mieszkańców. W rankingu tym

człowiek staje się bardziej człowiekiem: bardziej jest. Naród bowiem jest tą wielką wspólnotą ludzi, którą łączą różne spojwa, ale nade wszystko właśnie kultura. Naród istnieje „z kultury” i „dla kultury”. I dlatego właśnie jest ona tym znamienitym wychowawcą ku temu, aby bardziej być we wspólnocie, (...)

60-LECIE TEATRU NOWEGO W ZABRZU

Inicjatywy teatralne w powojennym Zabrze 1945–1959

ANDRZEJ LINERT

Powojenna historia Zabrze jest wyjątkowo gorzka i zawiła. W jego dziejach, jak w soczewce skupiają się tragiczne losy mieszkańców całego Górnego Śląska. Konsekwencje powstań śląskich oraz kataklizm II wojny światowej sprawiły, że w mniejszym lub większym stopniu dramatyczne wydarzenia tych czasów były udziałem tu niemal każdego mieszkańca. Powojenne doświadczenia spotęgowane dodatkowo ucieczką i wysiedleniem społeczności

niemieckiej oraz masowymi egzekucjami i gwałtami, dokonywanymi przez żołnierzy Armii Czerwonej, a następnie wywózkami górników do obozów pracy i w głąb ZSRR, przepełniły czarę goryczy, pozbawiając nadziei ocalałych i pacyfikując skutecznie poczynań społeczne pozostających przy życiu. Ten dramatyczny splot zdarzeń dodatkowo w latach powojennych skomplikowało osiedlenie się na terenie miasta kilkudziesięciu tysięcy Polaków prze-

siedlonych ze wschodu, a także sporej części imigrantów z Francji i ze Związku Radzieckiego. Problem zgodnego współżycia ludności, posiadającej zróżnicowaną tradycję i odmienne kody kulturowe, przy równoczesnej nieznajomości przez przybyłych złożonej problematyki śląskiej, rodziły nie tylko wzajemną nieufność, ale były źródłem licznych zatargów i konfliktów. Szczególnie złą sławą cieszyły się, będące postrachem miejscowej

Teatr Nowy w Zabrze. Fot. Lestat (Jan Mehlich)



ludności śląskiej liczne domy górnik a i hotele robotnicze. Zasiedlane przez „niebieskich ptaków” i awanturników, skłonnych do bójek i kradzieży, w powszechnym odczuciu społecznym były zaprzeczeniem śląskiej pracowitości i solidności. Nie można zatem dzisiaj inaczej niż poprzez pryzmat tragedii całego górnośląskiego regionu postrzegać historii miasta, w tym także powojennych dziejów jego teatru.

Zachodzące w skali kraju zmiany społeczno-polityczne i ustrojowe na gruncie teatralnym doprowadziły przede wszystkim do zmiany widowni. W wypadku Zabrza miały one szczególnie dramatyczny charakter. Miejsce inteligencji niemieckiej zajęło ciężko pracujące przez cały sześciodniowy tydzień polskojęzyczne środowisko robotnicze. Pomysł pójścia w tym czasie wieczorem do ocalałego w trakcie działań wojennych budynku Kasy na teatralny spektakl, w sytuacji kiedy następnego dnia zmuszonym się było o godz. 6.00 stawić w zakładzie pracy, był nie do zaakceptowania. Nie bez kozery, wszystkie przedwojenne liczne widowiska przygotowywane przez środowiska robotnicze na Górnym Śląsku odbywały się w sobotę i wyjątkowo w niedzielę. Nie dziwi zatem fakt, że powołany w 1959 r. do życia Teatr Nowy, przez pierwsze lata w siedzibie grał nadal wyłącznie w te dwa dni, a w pozostałe wyjeżdżał, licząc na atrakcyjność swojej sztuki w tzw. terenie.

W pierwszym powojennym pięcioletniu wszelkie cele i zainteresowania życiowe mieszkańców miasta podporządkowane zostały wyłącznie sprawom związanym z produkcją i wydajnością pracy. Rozbudzone teatralnie przed 1939 r. miasto, po wojnie zapadło w bolesny letarg. Formułowane wówczas wytyczne polityczne, pomijały problematykę społeczno-kulturalną. W praktyce jedynie w ramach działalności objazdowej, na scenie byłego już Kasy, przemianowanego na Dom Kultury Huty „Zabrze”, gościły teatry dramatyczne z Katowic, Sosnowca, Bielska-Białej i Opola, a z czasem także rozpoczynające swoją działalność teatry lalkowe dla dzieci.

Nie była to sytuacja zadowolająca, jeśli zważyć pozostającą w pamięci mieszkańców tradycję niemieckiego życia teatralnego miasta, a także sięgającą na terenie Zabrza ostatnich dziesięcioleci XIX stulecia tradycję polskiego niezawodowego ruchu teatralnego. Ten ostatni poddany administracyjnej kontroli, zatriął po 1945 r. nie tylko swoją naturalną żywiołowość, ale i autentyczność. Likwidacji uległy liczne przedwojenne stowarzyszenia i organizacje teatralne. Pozostali jedynie ostatni nieliczni, zdeorientowa-

ni nową sytuacją pasjonaci, pragnący wbrew istniejącym uwarunkowaniom politycznym, nawiązać do przedwojennej tradycji amatorskiego ruchu teatralnego.

Pierwsze tego rodzaju inicjatywy zrodziły się w 1946 r., kiedy to członkowie zasłużonego chóru „Lutnia” w Pawłowie, w sali Aleksandra Lesza wystawili J. I. Kraszewskiego „*Chwałę za wsią*”, z muzyką Zygmunta Noskowskiego. Z czasem zespół ten dał się poznać z wielu sprawnie i starannie przygotowywanych widowisk operetkowych. W pierwszych latach powojennych amatorskie zespoły teatralne do życia powołane zostały także pod egidą Komendy Ośrodka ZHP w Mikulczycach oraz w środowisku pracowników Zakładów Chemicznych i Koksowni „Jadwiga”. Do grona jednak przez długie lata najgłośniejszych i najprężniej działających należał zespół teatralny, kierowany przez Fryderyka Stena, na scenie zabrzańskiego Domu Kultury Huty „Zabrze”, w gmachu dawnego „Kasy”. Skupiona wokół niego grupa pasjonatów, wystawiła początkowo kilka popularnych i znanych w latach międzywojennych komedii, w tym Konstantego Krumulowskiego *Królową przedmieścia*, Moliera *Grzegorza Dynałą* i Aleksandra Fredry *Damy i huzary*. Po nich przyszła kolej na adaptację *Powracającej fali* Bolesława Prusa, następnie Antoniego Czechowa *Jubileusz*. Niestety zachodzące z końcem 1949 r. przemiany polityczne sprawiły, że z czasem w repertuarze jego pojawił się Borysa Ławrieniewa *Przełom* oraz Forowicza i Stena *Halo! Tu mówi Moskwa*, a w ślad za tym w 1950 r. Leona Kruczkowskiego „*Niemcy*”. Tekst dramatu na prośbę nikomu nieznanym robotników przysłał sam autor. Ten w istocie karkołomny pomysł realizacji trudnej współczesnej sztuki, przez pozbawionych jakiegokolwiek zawodowego przygotowania aktorskiego robotników, był konsekwencją przejętej przez państwo roli mecenas a i kontrolera ówczesnej działalności społeczno-artystycznej. Przed teatrami niezawodowymi wyznaczone zostały nowe zadania. W tym celu wszystkie jego poczynania teatralne przeniesione zostały do powstających świetlic i domów kultury. Państwo przejmując na etaty jego animatorów, objęło kontrolą działalność społeczno-artystyczną amatorów. Tym samym teatr ten utracił dotychczasowe swoje atrybuty wolnego teatru ludowego, stając się tubą celów propagandowych nowego ustroju politycznego, a powojenny Dom Kultury Huty „Zabrze”, przemianowany na Dom Kultury Hutnika, pełnił ważne funkcje polityczne. Obarczony zadaniami propagandowymi, zmuszony był realizować przede wszystkim cele oświatowo-

-dydaktyczne i propagandowe. Równocześnie w jego pomieszczeniach organizowane były oficjalne ceremonie państwowe, a także uroczystości pogrzebowe, pełnił w ten sposób funkcje pseudosakralne. Przykładem tego była m.in. odprawiona w jego wnętrzu świecka ceremonia pogrzebowa Wincentego Pstrowskiego, przy trumnie którego 21 kwietnia 1948 r. wartę honorową kolejno pełnili przedstawiciele władz państwowych, wojewódzkich, miejskich i związkowych. W latach 40., 50. i 60., w gmachu działała ponadto świetlica, a w godzinach popołudniowych wydawane były posiłki. Organizowane były także okoliczności imprezy i spotkania jubileuszowe. W tym kontekście teatr był jedną z form aktywizacji robotniczej społeczności hutniczej.

Ze zrozumiałych względów realizacja *Niemców*, w rok po prapremierze w październiku 1949 r. w Starym Teatrze w Krakowie, w Zabrze musiała zakończyć się klęską, mimo autentycznego zaangażowania jego realizatorów i przyznanej na przygotowanie sztuki przez Związek Zawodowy Hutników symbolicznej dotacji w wysokości 250 tys. zł. Finansowanie to miało w tym czasie już charakter obligatoryjny. Praktyka dotowania działalności amatorskiej z czasem przybrała całkiem pokaźne rozmiary. Przykładowo na przygotowaną w kolejności premierę sztuki Ewy Mandi *Bohaterowie dnia powszedniego*, podejmującą problematykę wytopu stali, Związek Zawodowy Hutników wyasygnował dotację w wysokości już czterech milionów złotych. W tych czasach była to sytuacja typowa, warunkująca w istocie możliwość jakiegokolwiek tzw. działalności społecznej.

Niestety efekty społeczne tego rodzaju twórczości amatorskiej były wysoce wątpliwe, mimo podejmowanych zabiegów organizacyjnych i ponoszonych kosztów finansowych. W samym tylko województwie katowickim tego typu dotacje otrzymywał m.in. działający pod kierunkiem Danuty Baduszkowej zespół Związku Zawodowego Kolejarzy w Czechowicach-Dziedzicach, następnie teatr niezawodowy w kopalni „Anna” w Pszowie i Reduta Śląska w Chorzowie. Tego rodzaju zespoły teatralne istniały na terenie całego kraju. Przykładowo w zbliżonym czasie i w podobnych uwarunkowaniach społecznych w Nowej Hucie w 1952 r. z inicjatywy inżyniera, pisarza i reżysera Jana Kurczaba do życia powołany został Teatr Nurt, dający początek niezależnej twórczości zawodowemu Teatru Ludowego. Kraków odmiennie niż przemysłowy i pozbawiony inteligencji humanistycznej Śląsk, determinował kierunek działania obu zespo-

łów. Na Śląsku to nie tyle podmiotywa działalność artystów: Krystyny Skuszanki i Józefa Szajny, ile zakłady pracy, huty i kopalnie, w wyniku nowej polityki kulturalnej państwa zobowiązane były nie tylko dotować własne domy kultury i świetlice, ale także sprawować kontrolę nad prowadzoną w ich okolicy działalnością społeczno-artystyczną. To rodziło sytuacje paradoksalne, czego przykładem były losy próbującego w 1952 r. zaistnieć w Rokitnicy na terenie Śląskiej Akademii Leżarskiej teatru studenckiego. Otóż nie mogąc liczyć na wsparcie ze strony macierzystej uczelni, studenci zwrócili się, z chwilą włączenia gminy w obręb granic miasta, o przyjęcie nad nim patronatu do Zespołu Dramatycznego Klubu Fabrycznego Huty „Zabrze”. Zespoły niezawodowe nie mogły bowiem samodzielnie sprzedawać biletów wstępu i w ten sposób zdobywać fundusze na swoją działalność. Możliwość pozyskania jakichkolwiek środków finansowych na działalność sceniczną istniała jedynie drogą dotacji celowej. W konsekwencji wsparcie, jakie w ten sposób otrzymali, pozwoliło zespołowi przygotować w efekcie jednorazowo premierę sztuki Jerzego Lutowskiego *Próba sił*. Pozostałe przykłady rodzących się na terenie miasta w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych inicjatyw teatralnych miały charakter sporadyczny i zanikały po kilku zaledwie miesiącach swej działalności lub roku. Przykładem tego były losy w 1952 r. teatrzyków „Taran” i „Złoty Kluczyk” oraz Zespołu Teatru Amatorskiego Nauczycieli, który m.in. w 1954 r. przygotował propagandową w swej wymowie sztukę Borysa Gorbatowa *Miłość ojców*.

Tymczasem teatr Fryderyka Stena początkowo występował pod nazwą Zespół Dramatyczny Klubu Fabrycznego Huty „Zabrze”, ponieważ od 1946 r. działał pod egidą Związku Zawodowego Hutników. U progu lat pięćdziesiątych należał już do najgłośniejszych teatrów niezawodowych w ówczesnym w województwie katowickim i od 1953 r. występował już jako Współczesny Teatr Hutniczy. Siłą rzeczy kontynuował na terenie Zabrza przedwojenną tradycję amatorskiego ruchu teatralnego, w tym również tradycję życia teatralnego w gmachu „Kasyna”, przemianowanego na Związkowy Dom Kultury Huty Zabrze. Zarówno w doborze repertuaru, jak i sposobie jego realizacji, wspierał się konsultacjami udzielanymi przez aktorów Teatru Nowego w Łodzi. Nie dziwi zatem fakt, że czerpał z ówczesnego repertuaru teatrów zawodowych. Pracujący pod dyktando młodego Kazimierza Dejmkę zespół łódzki, wyznaczając kierunki nowej socrealistycznej sztuki teatralnej, stawiany był

powszechnie za wzór niedoświadczonym i pozbawionym wiedzy amatorem.

Konieczność pozyskania przez zespół amatorski opieki merytorycznej i finansowej była w istocie praktyką eliminacji wszelkiej niezależnej działalności społeczno-artystycznej. Nie dziwi zatem fakt, że podejmowane na terenie Zabrza po wojnie inicjatywy teatralne miały charakter wyłącznie instytucjonalny i rodziły się z trudem i w efekcie stosunkowo rzadziej niż w latach międzywojennych. Nieco odmienna sytuacja miała miejsce w tym czasie w wypadku teatrów szkolnych, preferujących repertuar obowiązkowych lektur. Najciekawszym i z czasem największym dorobkiem legitymował się zespół Joanny Smalcowej, powstały w 1951 r. w Technikum Budowlanym. Generalnie jednak skutki realizowanej w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych polityki kulturalnej państwa okazały się być katastrofalne. Zaprzeczony został nie tylko cały dotychczasowy dorobek amatorskiego ruchu teatralnego, ale i zakłamanie uległo szlachetne słowo „amator”, oznaczające „miłośnika”. Teatr amatorski w zderzeniu z profesjonalną działalnością teatralną przybrał w odczuciu społecznym kształt amatorszczyzny. W polityce kulturalnej proces ten ewoluował początkowo od pluralizmu działań polityczno-społecznych w latach 1945–1949, do socrealistycznej monokultury w latach pięćdziesiątych. Zgodnie z teorią radzieckiego teoretyka Andrzeja Żdanowa postulowano, aby nowe teatry niezawodowe rozwijały się i kształtowały pod wpływem teatrów zawodowych. Powszechnie z uporem powtarzano, że nie ma teatrów amatorskich i zawodowych, są tylko teatry dobre lub złe. W konsekwencji amatorzy zobowiązani do naśladowania praktyk scen zawodowych, zatracili poczucie swej odrębności programowej i estetycznej. Oszukani i wykorzystani dla politycznych celów, skazani z czasem na klęskę, z uporem przez kilka lat realizowali w dobrej wierze potrzebę źle rozumianej sztuki teatru.

Próba korekty tego stanu rzeczy, jaka nastąpiła po przemianach politycznych w połowie lata pięćdziesiątych, na terenie Zabrza zaowocowała powołaniem do życia w 1956 r. amatorskiego zespołu teatralnego przy parafii Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny. W jego repertuarze znalazły się sztuki dotychczas zakazane. Zagrano je w licznych kościołach w kraju i poza jego granicami, w tym m.in. w Kościele Polskim w Paryżu i Asyżu. Były to m.in. *Jasełka*, *Pasja Męki Pańskiej* i *Obrona Jasnej Góry*. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych znajdujemy także ślady istnienia te-

atru Związku Zawodowego Kolarzy, działającego pod kierunkiem Franciszka Ilewicza. Z kolei od 1959 r. odnotowujemy pod kierunkiem Joanny Smalcowej ożywioną działalność teatralną, połączonej młodzieży męskiej z Technikum Górniczego i Technikum Budowlanego. Ten zasłużony dla Zabrza teatr szkolny, przez niemal 30 lat uprawiał w ramach klasy o profilu teatralnym wielorakie formy sceniczne, poczynając od sztuk pełnospektaklowych m.in. L. H. Morstina *Jaskółki*, *Listów Juliusza Słowackiego do Matki*, S. Wyspiańskiego *Nocy listopadowej*, A. Fredry *Ślubów panięskich* i *Gwałtu, co się dzieje*, a także Konopnickiej *Galileusza* oraz *Dziejów Cezarego Barryki* wg *Przedwiośnia* S. Żeromskiego, a na widowiskach poetyckich i teatrze faktu politycznego kończąc. Wielokrotnie nagradzany i wyróżniany, przez 30 lat kształtował wrażliwość teatralną zabrzańskiej młodzieży. W 1964 r. otrzymał m.in. nagrodę Ministra Kultury za całokształt osiągnięć artystycznych i ideowo-wychowawczych, w sumie za sprawą ponad 70 przygotowanych spektakli.

Osobne inicjatywy teatralne rodziły się w środowisku studentów w Zabrzu-Rokitnicy, gdzie m.in. wiosną 1955 r. na fali powszechnego ożywienia politycznego w kraju, powstał dwunastooosobowy teatrzyk satyryczny „Satyromecyna”. Z kolei w latach sześćdziesiątych także w ramach Śląskiej Akademii Medycznej odnajdujemy ślady Kabaretu „Cocoriko” oraz dowody powstania w 1961 r. i istnienia przez kilkanaście lat ceniowego Kabaretu „Sowizdrzał”.

Pojawienie się zatem w panoramie miasta w 1959 r. zawodowego zespołu Teatru Nowego nie spowodowało zaniku amatorskiej działalności teatralnej. Prowadzona była ona dalej w miejscowych domach kultury, świetlicach i szkołach, za sprawą wielorakich form teatralnej wypowiedzi.

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach 26 VI 1959 r. podjęło uchwałę nr 15/352 w sprawie powołania do życia Powszechnego Teatru Objazdowego w Zabrzu. W miesiąc później 21 lipca 1959 r. na podstawie Zarządzenia nr 31 zdecydowano o powołaniu do życia „Teatru Powszechnego w Zabrzu”, a następnie w dwa miesiące później Zarządzeniem nr 41 z 24 września 1959, decyzją Wojewódzkiej Rady Narodowej, nazwę zmieniono, na „Państwowy Teatr Nowy w Zabrzu”. ■

Fragment przygotowanej do druku monografii Andrzeja Linerta pt.: *Teatr w cieniu huty. Zarys historii Teatru Nowego w Zabrzu 1959–2019*. Książka ukaże się w Wydawnictwie Naukowym Śląsk w 2019 roku.



Opus magnum Małgorzaty Musierowicz

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Małgorzata Musierowicz zadebiutowała w roku 1975 powieścią dla młodzieży *Małomówny i rodzina*, którą nazwano „zerowym” tomem *Jeźycjady*; seria na dobre rozpoczęta wkrótce wydawnymi powieściami: *Szósta klepka* i *Kwiat kalafiora* jest dzisiaj czytana już przez trzy, nawet cztery, pokolenia czytelników, tworzących swoistą wspólnotę ludzi mówiących kodem zrozumiałym dla tych, którzy w świecie wykreowanym przez poznańską pisarkę poruszają się jak w przestrzeni dobrze znanej i własnej. Wprawdzie autorka ma na swoim koncie wiele bardzo różnych książek, to jednak utożsamia się ją z sagą o Borejkach, która swą sugestywności przyćmiła całą pozostałą twórczość.

Cykl nie zapowiadający się początkowo na realizowany z rozmachem projekt epicki z czasem rozrósł się i zaczął wrastać w polską świadomość czytelnictwa, zyskując uznanie nawet takich osobowości, jak Czesław Miłosz, Jacek Kuroń, Maria Janion, Marian Stala, Jerzy Turowicz, a przede wszystkim wybitny znawca dziejów polskiego teatru, pro-

fesor Zbigniew Raszewski. Ma też już poważny stan badań, by wymienić tylko opracowania Krzysztofa Biedrzyckiego, Anny Gomóły, Przemysława Dakowicza, Marka Kątnego, czy Barbary i Macieja Szargotów.

W roku bieżącym, we wrześniu łódzkie wydawnictwo „Akapit” wydało limitowaną (2 000 egzemplarzy) edycję *Jeźycjady* będącą rarytasem bibliofilskim a zarazem arcydziełem edytorskim. Dwadzieścia dwa tomy sagi Borejków od *Szóstej klepki* po *Ciotkę Zgryzotkę*, wszystkie w atrakcyjnej szacie graficznej i zgrabnym, poręcznym formacie, z czytelnym drukiem, zachęcają, by powrócić do pierwszych tomów i przeczytać jednym tchem całość serii, przeżywając wszystkie odmiany czasu i obserwując, co zmienne i co niezienne w „Polaków portrecie własnym”. W eleganckim fioletowym pudełku ozdobionym motywem klucza i wizerunkiem niezapomnianej Geniusi z *Opium w rosole* (podobno istnieje też wersja w prak-

tycznej torbie), zachwyca od pierwszego wejrzenia. O kształt szaty graficznej całości zadbała Emilia Kiereś, autorka niebanalnych opowieści dla dzieci, a prywatnie córka Małgorzaty Musierowicz zamieszczając na dole grzbietu każdego tomu jego wyjątkowe i niepowtarzalne logo, będące cełnym symbolem najsmakowitszych treści. I tak: będzie to w *Szóstej klepce*, nieszczęsna mysz, która, jak pamiętamy, „zasuszyła się” w maszynie do mielenia maku (na czwartej okładkowej ta mysz „wyje” do księżycy w pełni), w *Kwiecie kalafiora* – ów niepospolity kwiat o wybitnych walorach zapachowych, w *Opium w rosoli*, oczywiście waza z chochlą, w *Febliku* twarzowe wisienki kokieteryjnie zdobiące ucho młodej dziewczyny, a w *Ciotce zgryzotce* melancholijnie opadający liść. Ten motyw „grzbietowy” rozsnuty został na obie okładki, a jego niepowtarzalna rytmiczność na długo przykuwa wzrok. No i kolory tomów: seledynowe, szare, niebieskie, fioletowe; zawsze pastelowe, czyste, subtelne. Gdy ustawić wszystkie obok siebie, to widać jak prze-

myślana jest owa kolejność barw i jaki kreuje nastrój. U góry grzbietu znajduje się cyfra wskazująca kolejność tomu.

Emilia Kiereś w swym projekcie graficznym wprawdzie wykorzystwała ilustracje z poprzednich edycji powieści (jakże mogłoby być inaczej) z niepowtarzalną kreską Małgorzaty Musierowicz – ale w tym nowym kształcie powstała zupełnie nowa jakość estetyczna, z niczym nieporównywalna. Te książki cieszą oko i rękę i zanim otworzy się je, by zacząć czytać, chce się je pieścić dłonią i wzrokiem – zwyczajnie cieszyć nimi jak pięknym przedmiotem.

Pierwszy tom sagi, wspominana już *Szosta klepka* zaczynał się 1975 roku, w zdaniu otwierającym autorską narrację czytaliśmy „Dziesiątego grudnia 1975 roku, jak zwykle, w różnych punktach globu zegary wskazywały różny czas. W Poznaniu była piąta rano”. *Opium w rosale* otwiera data „Niedziela, 30 stycznia 1983”, na tle tej daty widać krzyże poznańskich kościołów, a pierwsze zdanie nas informuje: „W nocy spadł olbrzymi śnieg”. W jeszcze innym tomie, np. w *Tygrysie i Róży* czytamy „Czwartek, 18 lutego, 1999. Calutki Poznań zasypany został śniegiem, a wciąż jeszcze wichura dostarczała świeżych zapasów”; wreszcie w ostatnim (do tej pory) tomie serii przeczytamy: „1 września 2017, piątek. Wymarzony Dom ciotki Idy stał na zбочu, pod sosnami”, a rysunek pokazuje drogę wiodącą w głąb lasu. Niekiedy kolejność jest trochę inna, ale czas i przestrzeń porządkują całą narrację *Jeźycjady*, od pierwszego do ostatniego tomu, co daje czytelnikowi pewien komfort lekturowy, a być może i samej autorce pomaga w utrzymaniu konsekwentnego biegu zdarzeń (choć kiedyś nieco odmłodziła Anię i Łusię, co było dość zabawne). Te daty pomagają też dobrze orientować się, w którym momencie biografii bohaterów aktualnie się znajdujemy. W *Jeźycjadzie* zdarzenia rozwijają się linearnie, o przedakcji lub tym, co się dzieje równoległe, lecz w innej przestrzeni, często nas informuje np. korespondencja, zwłaszcza ta mailowa (czasem zbyt długa i opóźniająca bieg wydarzeń) lub wspomnienia protagonistów. I tak, gdy poznawaliśmy rodzinę Melanii i Ignacego, cztery Borejkówny były w wieku szkolnym, w tomie ostatnim, najstarsza z córek – Gabrysia – znów zostaje babcią. Gabrysia zawsze poważna i spokojna, nawet w trudnych sytuacjach, także teraz wydaje się starsza niż jest w rzeczywistości, ale może tacy powinni być filolodzy klasycyści. A Ida, która wybrała zawód laryngologa, zawsze nieco szalona „ciotka Zgryzotka”, w owych szaleństwach raczej ewoluuje, niż z nich wyrasta i wydaje się młodsza niż jest w rzeczywistości, co z laryngologią nie ma nic wspólnego. Natomiast w całej sadze lekarze są nie-

pospolici, gdyż wszyscy... „pisali bez błędów, cechowali się wysoką inteligencją i czytaniem” (*Ciotka Zgryzotka*). W serii, co znamienne, przybywa babć, bo Borejkowie są rozwojowi, ale pani Borejkowa „Mila”, jest wyjątkowa, rzec by można, że jest nadbabcią, do czego jeszcze przyjdzie powrócić. Dziadek, choć jest już pradziadkiem — jest jedyny. Zięciów toleruje, a pod koniec nawet wyznaje, że lubi ich „mieć”.

Nowe wydanie uświadamia nam, że już ponad czterdzieści lat jesteśmy gośćmi rodziny Borejków. Rodzina się wprawdzie zmienia, dynamicznie powiększa, część nawet opuszcza poznańskie Jezyce i wyprowadza na wieś w okolice Pobiedzisk i zmienia się w związku z tym krajobraz z miejskiego na bukoliczny (widać to w ilustracjach, ale przede wszystkim w pięknych opisach krajobrazu), ale miłości rodzinnej czas nie niszczy, a kultura i ta wysoka i ta życia codziennego, poczucie odpowiedzialności za swoje czyny i słowa oraz znakomite poczucie humoru przekazywane jest następnym generacjom. Gdy Ignacy junior w *Febliku* powie do Agnieszki „Słów trzeba używać precyzyjnie, w ich właściwym znaczeniu – inaczej fałszują rzeczywistość. A zafałszowana rzeczywistość wytwarza nowe fałszywe słowa. Tworzy się wielki obieg fałszu, który rodzi ogromne kłamstwo. A kłamstwo rodzi zło. Z tego wynika logiczny wniosek, że słowa niezafałszowane budują dobro...” – to usłyszymy w tej konstatacji wyraźne echo dziadkowych poglądów, nawet podobną składnię. Poruszająca jest również rozmowa dziadka z wnukiem Jędrusem o blokadzie w modlitwie. Zacytowanie znakomitego wiersza Johna Berrymana *Jedenaście zwróć się do Pana Boga* w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka (prywatnie brata Małgorzaty Musierowicz) „Władco i mistrzu piękna, cyzelatorze śnieżnych płatków, Niezrównany wymyślaczu rzeczy...” – dodaje rozmowie głębi, ale też oryginalnego piękna. Wprowadza też dialog między pokoleniowy niebanalny, dotykający spraw fundamentalnych.

Młodszy czytelnicy w *Kłamczusze, Kwiecie kalafiora czy Idzie sierpniowej* znajdą najlepszy, bo praktyczny, przewodnik po czasach PRL-u. *Opium w rosale* subtelnie (wiadomo miało przygody z cenzurą) lecz dość konkretnie pokazuje wstrząs wywołany stanem wojennym, a *Brulion Be-be* i *Noelka* – to już lata transformacji wraz z przejmującym obrazem wigilii dla bezdomnych na poznańskim dworcu. Wreszcie *Kalamburka* prowadzi nas w czasy okupacji (także na Wileńszczyźnie) i poznańskiego czerwca 1956 roku, mimo

dość skomplikowanej narracji jest sugestywna i postaci Pani Mili dodaje barw. W kolejnych tomach czas biegnie bardzo szybko, to nie tylko śluby, narodziny i rozstania, ale też nowoczesność wkraczająca do tradycyjnego inteligentkiego domu. Ignacy Borejko osiągnął perfekcję w postępowaniu z maszyną do mycia naczyń i kupujący żonie laptopa, telefon komórkowy (jeden wrzucony do wyschniętej studni żałośnie dzwoni), wreszcie USG, a obok tego emigracja zarobkowa najmłodszych do Anglii i wyjazdy na studia. Ale oprócz tych zewnętrznych oznak przemian, płynie drugi głębszy nurt ukazujący ewolucję psychiczną wszystkich postaci; będzie to dorastanie do dorosłości i odpowiedzialności, lekcje tolerancji wynikające z zetknięcia się z bezdomnymi rumuńskimi dziewczynkami, rastafarianami, z wszelką odmiennością.

Zawsze wszystko scala dom, który wprawdzie, jak już pisano, pączkuje, ale tam, gdzie pojawiają się Borejkówny zakładane są domy, które zawsze mają w sobie coś z atmosfery tamtego rodzinnego przy ulicy Roosevelta. Dom pisany dużą literą (jak w *Ciotce Zgryzotce*) przyciąga różne istoty tak jak Aurelię Jedwabińską (vel Genowefę Trombke) i wszystkich, którzy szukają poczucia bezpieczeństwa i ciepła. „Dom to dom” skonstruowała Laura, córka Gabrysi, zwana Tygrysem, gdy po ucieczce skruszona wraca do matki.

Melchior Wańkowicz w rozmowie z Krzysztofem Kąkolewskim powiedział: „Jestem filododem. Zasiadlam każdy nowy kąt sobą, swoją atmosferą, moimi fluidami, które ze mną przychodzi i z latami nabierają aromatu [...] Każdy dom, do którego rzuciły mnie losy, musi zrastać się ze mną” – tak jest też z Borejkami, dla których dom jest przestrzenią szczęśliwą, to ich topofilie.

Oczywiście będą wyjazdy i powroty, budowanie własnych rodzin i ognisk domowych oraz kolejne dzieci, ślubne i nieślubne, własne i cudze; zawsze chciane i kochane. Pan Ignacy ze wzburzeniem wytłumaczy Fryderykowi Schopeemu (*Czarna polewka*), skąd się „biorą” dzieci, gdy młody człowiek (z aspiracjami zawodowymi) powie, iż Róża złapała go w „pułapkę biologiczną” bo w domu Borejków nigdy nie mówiło się o sexie. Filipika Seniora będzie powalająca (a wnuk Józinek pomyśli „potęga wymowy”):

„Mój Fryderyku, przyczyną ciąży, jak uczy nas biologia, nie jest niedostatek określonych słów, lecz zgoła co innego [...]. Czytałem, że im częściej ktoś wypowiada słowo „seks” lub jego synonimy, czy też określenia tematycznie zbliżone, tym więcej wzbudza wątpliwości; obsesyjne nawracanie do tego tematu świadczy bowiem najczęściej – a potwierdzi ci to każdy lekarz – o dotkliwym niedosycie w tej dziedzinie”. Takie są bowiem

w tej sadze monologi i dialogi, od pierwszego do ostatniego tomu, ale zarazem jest w tym dyskretna polemika autorki z niektórymi krytykami.

A babcia powie płaczącej z tego powodu Róży, że jej matce, Gabrysi, też się przydarzyło niespodziewane macierzyństwo, ale ona nie płakała, bo „to była dzielna dziewczyna” – te proste lekcje reagowania na zaskakujące sytuacje życiowe niosą w sobie pokrzepienie, a zarazem pokazują, czym powinno być prawdziwe rodzinne wsparcie, realizowane praktycznie.

Stała jest miłość w tej rodzinie, ukochanie książek (Senior rodu wręcz stwierdził, że czuje się dobrze, wszędzie, gdzie są książki) i szacunek dla tradycji inteligentnych; będzie on przenikał do rodzin wszystkich Borejkiów, których dzieci, niemalże od niemowlęstwa przyuczane przez dziadka do łaciny i czytania Seneki, wysoką kulturą oddychają jak powierzem. On też przekaże wnukom dramatyczną lekcję szacunku dla książki: „Kiedys...gdy mnie zabraknie, nie róbcie z mojej biblioteki masy spadkowej. Proszę Was o to. Każda książka, jaka stoi na naszych półkach, jest cenna, wyjątkowa i potrzebna, bo każdą z nich czytał ktoś z waszych bliskich. Cieszył się tymi książkami, uczył się z nich, nad niejedną płakał, nad inną się śmiał. Jeśli sami nie będziecie ich chcieli, oddajcie je tym, którzy książki kochają” (*Język Trolli*). To bardzo piękna obrona książek przed niszczeniem, które spotyka obecnie tak wiele księgozbiorów. Taka lekcja dlatego jest poruszająca, bo jest prawdziwa i płynie z autentycznego przeżycia. W całej *Jeżycjady* nie ma papierowych postaci i wszystkie doznania są prawdziwe.

Poszczególne tomy są rozpoznawalne po tytułach; gdyby wymienić je jednym ciągiem: *Szosta klepka*, *Kłamczucha*, *Kwiat kalafiora*, *Ida sierpniowa*, *Opium w rosole*, *Brulion Bebe B*, *Noelka*, *Pulpecja*, *Dziecko piątku*, *Nutria i Nerwus*, *Córka Robrojka*, *Imieniny*, *Tygrys i Róża*, *Kalamburka*, *Imieniny*, *Język Trolu*, *Żaba*, *Czarna polewka*, *Sprężyna*, *McDusia*, *Wnuczka do orzechów*, *Feblik*, *Ciotka Zgryzotka* — to nie trudno zauważyć, że o ich podobieństwie decyduje podstawowy składnik formalno-gramatyczny, którym jest rzeczownik pospolity, przeważnie konkretny w liczbie pojedynczej, występujący w mianowniku z przydawką (przymiotną, dopełniaczową lub przymiową). Te przydawki czasem mają charakter wartościujący, czasem metaforyczny. Znajdziemy też tytuły w których pojawia się „i” zestawiające dwa słowa. Wiele tytułów zawiera charakterystykę postaci i wskazuje bohatera, ale nie wszystkie. Jednak są to przede wszystkim słowa — klucze, działające na wyobraźnię czytel-

nika i intrygujące go. W całym piśmiennictwie autorki imiona są nie tylko znakami bohaterów, lecz zawierają w sobie pewien zamysł artystyczny, nawet, gdy pochodzą z kalendarza — zawsze więcej znaczą — niż oznaczają. Dostrzec można wyraźnie ich magię; pisarka lubi imiona swoich bohaterów, zależy jej na tym, by czytelnik również je polubił. A genezę owych imion córek Melani i Ignacego Borejkiów: Gabriela, Ida, Natalia, Patrycja wyłożył nam senior rodu solennie uzasadniając w każdym razie swoją i żony decyzję. Po tych tytułach i imionach rozpoznajemy nieomylnie *Jeżycjadę*, a kolejne pokolenia będą ów namysł nad imionami dla swego potomstwa kontynuować, powtarzając oczywiście imiona seniorów rodu. W rodzinie Borejkiów pojawi się już wkrótce czwarte pokolenie, na świat przyjdzie kolejne dziecko, córeczka Róży, której na imię dadzą na cześć babci — Melania, Miła.

Z poszczególnymi tomami łączą się też sytuacje anegdotyczne, które żyją już własnym życiem, i na przykład czytelniczki *Szóstej klepki* z podejrzeniem spoglądają na makowiec, hasło (a właściwie już bon mot) „przyszlismy na rosółek” jest po dziś dzień obecne w wielu rodzinach urzeczonych *Opium w rosole*, czasem na wywiadówki chodzi „Żeromski – wuj”, a czytelniczki *Języka Trolu* chronią swe dzieci przed lekturą tej książki. Wprawdzie nie ma już okrągłych żarówek, ale pomysł jest, awansował nawet do poznańskiej legendy miejskiej. Natomiast zacytowany przy rodzinnym stole dwuwiersz, „kto młascze dostaje w paszczę” nadal ma niesamowitą moc sprawczą. Takich przykładów można by podać więcej i choć, co oczywiście, nie każda z książek niesie w sobie takie „przesłanie” – to przecież każda czymś zaskakuje.

Takim zaskoczeniem będzie też zamiana przestrzeni miejskiej na wiejską. Wprawdzie już sygnalizowano to powyżej, ale trzeba to zagadnienie bardziej rozwinąć. Gdy młodsza córka Borejkiów, Patrycja po mężu Górską, zwana Pulpecją, porzuci miasto i wraz z wybrankiem serca, Florianem, przeprowadzi się na wieś sprawia, że cała akcja *Jeżycjady* podzieli się na dwa tereny: młodzież zostanie w Poznaniu, starsi państwo i ich córki zaczną coraz bardziej gustować w swobodzie pól, lasów, leśnych jezior i urodzie małych miasteczek. Dom Patrycji i Floriana stoi w ogrodzie, „pośród wiekowych borów i rozległych pól błyszczą oczka czystych jezior”, śpiewają ptaki, pachną kwiaty, a róże barwią przestrzeń najpiękniejszymi kolorami. Róże to ukochane kwiaty Małgorzaty Musierowicz, które w jej powieściach zaczną odgrywać ważną rolę. Bardzo sensualistycznie opisuje ich zapach (jakże nie-

powtarzalnie „jej ogrody” pachą nocą), subtelność barw, elegancję kształtów, malarskość tła. W niezapomnianych *Frywolitkach* pisała o nich jak o bliskich przyjaciółkach: „...spotkałam nową różę: subtelną, białą z delikatnym rumieńcem, pachnącą mocno [...] cytryną i różą razem. Prześliczna!” – tak więc i w *Jeżycjady* zachwytny narrator posiada podobny odcień emocjonalny.

Malarskie talenty pisarki dochodzą zresztą coraz silniej do głosu i wyciskają piętno na całym świecie przedstawionym *Jeżycjady*. Najpiękniej w *Febliku*, który tyleż został napisany, co namalowany. Sensualistyczne opisy przestrzeni i miejsc, nawet przedmiotów, jak turkusowy wazon, niebo przechodzące od kobaltów do subtelnych szarości i piękne ekfrazy, to novum ostatnich tomów. Jedną z nich w *Febliku* zaczyna się od słów „Obraz był ciemnoszary, jak późny zmierzch albo wczesna noc...”, inna, będąca opisem obrazu przedstawiającego samotność, pokaże porażenie Ignacego – juniora nastrojem „... od brzegu do brzegu, szalało światło i wszystko nim było zalane, wszystko – z wyjątkiem tej jednej samotnej postaci” – tą postacią może być każdy człowiek. Pisarka perfekcyjnie operuje szarościami i ich tonacjami oraz światłem, cieniem i półcieniem, które przenikają świat. A do tych wszystkich kobaltów, turkusów, ugrów, ochr i sepii najpiękniejszych komentarzy dostarcza Konstanty Ildefons Gałczyński, którego poezją *Feblik* jest przesycony. Bohaterowie *Jeżycjady* kochają bowiem poezję i chętnie cytują stosownie do sytuacji strofy, raz to jest Gałczyński, raz Miłosz, kiedy indziej Barańczak.

Dwadzieścia dwa tomy. Czy nie pora zakończyć ten powieściowy serial, czy nie nudzi powtarzalnością sytuacji? Otóż sytuacji się nie powtarzają, raczej wciąż zaskakują. A czytelniczy są ciekawi, co będzie w tomie kolejnym w *Chucherku*? O wybitności zjawiska świadczą i ten fakt, że po każdym tomie w sieci pojawia się wiele złośliwości i przykrych słów pod adresem Małgorzaty Musierowicz, które wszakże świadczą o poczytności *Jeżycjady* jednak obok nich rzesze fanów błagają pisarkę, by jeszcze nie uśmiercała pana Ignacego Borejki, studentki polonistyki, kulturoznawstwa, bibliotekoznawstwa i innych kierunków humanistycznych wciąż chcą pisać prace magisterskie i licencjackie o okolicach Jeżyc i Pobiedzisk, a w rodzinach kochających czytanie nowe tomy serii są wyrwane z rąk (czasem dochodzi do kradzieży). Seria limitowana już staje się przedmiotem zazdrości, ponieważ istnieje zdrowy snobizm na Borejkiów. Czekamy więc, co będzie dalej i kiedy będą kolejne „limitowane serie”.

Klakson

– Nie ma klaksonu? Jak Sonia może jeździć bez klaksonu?
– Krzyczy... Spróbuję jej go naprawić.
Z filmu *Benzinho*

zapomniałem
zupełnie że
wciąż gdzieś
tam jesteś

czuwające pod
maską dźwięki
gotowe chronić
kruchutkie życie

dawno też tobą
nie poganiałem
dawno się tobą
nie odgrażałem

obym wytrzymał
do następnego
rokrocznego
technicznego

od kilku lat słyszę
cię jedynie tam
ale to diagnosta
ja nie naciskam

czy mi się wydaje
czy jest nadzieja
że wreszcie coś
zrozumiałem

z potrzeby dawania
innym cierpliwości
z chroniącej
nas opatrności

i pomyśleć że
przypomniał mi
o tobie uroczy
Benzinho Pizziego

trafiając idealnie
do mojej bramki
w swojej pięćdziesiątej
pierwszej minucie

Katowice, 13 września 2019

Wiklina

Jesteś coraz bardziej
do tego stopnia wyczuwalny
że aż się boję kupić
wiklinowy zestaw

jeszcze by mi zaczął
strzelać po Tobie
aż do samej nocy

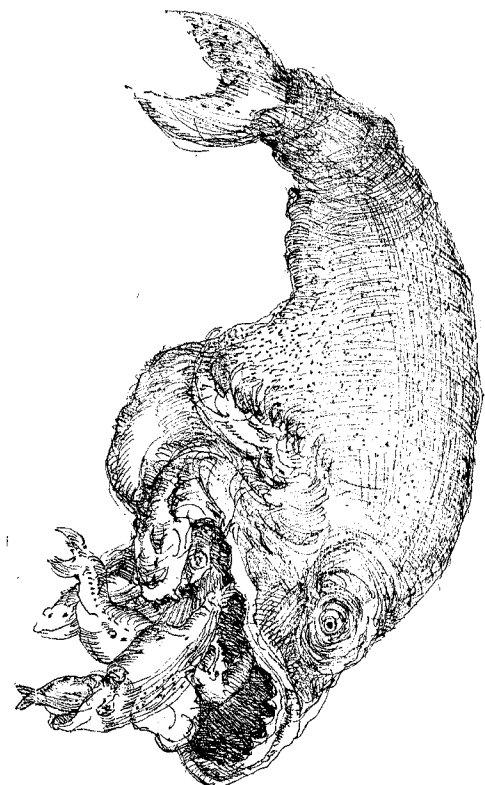
kocham Cię
i ani przez sekundę
nie żałowałem tej Miłości

przyjdź znowu na nieszpory
trzymaj w ryzach ascezy
umocnij mnie dla nich

bym do ostatnich dni
łamał Twój chleb
kleił potrzaskane

i sam
wytrwał
w wierności

Katowice, 15 czerwca 2019



rys. Bogna Skwara



Czy wiesz?

że pies potrafi zakryć łapą dowód swej winy
że pszczoła czuje gdy jest za ciężka od pyłku
że bardzo łatwo pomylić drozdy z lerkami

że w drzwiczkach do baku jest haczyk na korek
że koralik ferrytowy masz na wyciągnięcie ręki
że mandrylka to codzienność naszych dentystów

że opuszka to ona a brokuł to on
że atoli to jednak a ninie to teraz
że asap nie czeka a chillout ma czas

że przyroda technika i słowa mogą zranić
że przyroda technika i słowa mogą leczyć
że powyższe o wiele mniej ważnie niż to...

że w pociągach i w kolejkach do kas ucichło
że domofonom pozostały puste karteczki
że trzeba dziś szeptać osobowe dane

że coraz rzadziej patrzymy sobie w oczy
że sporo tracimy nie zagadując do obcych
że zaczęliśmy się bać słowa przyjaciół

że ciśnienie tak zacopowanego dobra rośnie
że wybucha w bocznych erupcjach bla bla car
że wielu ma tyle miłości ale nie ma komu jej dać

spod twardej lawy kolejnego Herkulanum
uwolnią nas kiedyś młoteczką badacza
od biurów korporacji od konsol playstation

zastygłych przy nich zwyczajnie zniecka
jak kursor po trzydziestu sekundach pulsu

Katowice, 5-9 czerwca 2019

Sen

Najpierw rozkoszne uczucie ulgi
w odciążonych łądźwiach.
Westchnienie szyi oddającej szczęśliwie
ciężar głowy poduszce.
Parę podsumowań urwanego zniecka.

Potem cisza.

Regularny szmer wędrującego powietrza:
wdech – wydech – pauza.

Ale tego już nie słyszą.

Nagle tacy sami:
przedszkolak i gangster,
prezydent i lekarz,
kibol i mniszka.

Ten sam rytuał dla wszystkich:
nagle skurcze mięśni,
podrygi ciała,
rapid eye movement
pod zmęczonymi powiekami,
tarmoszona co jakiś czas
i coraz bardziej rozgrzana kołdra.

To samo chrapanie,
to samo śnienie,
ta sama niewinność,
ta sama bezbronność.

Różnic nie za wiele:
ktoś samotny,
ktoś objęty,
ktoś spocony,
ktoś zziębnięty.

Kiedy porzucona pościel
będzie oddawała ostatnie resztki ciepła,
oni będą już w wirze działania,
różnym aż po dreszcz:

ktoś pozna literkę „r”,
ktoś adres ofiary,
ktoś podpisze ustawę,
ktoś ustawi leki,
ktoś ochrypnie po ustawce,
ktoś od psalmów w zimnej celi.

Zaśnieciem znów zatrą ślady,
przedziwnie równi w człowieczeństwie.

Z nadzieją poprawi im posłanie Bóg.

Katowice, kwiecień 2014

Zwykle puenty znajdują się na końcu; dzieje się tak zarówno w poezji, naukach ją opisujących, jak i czasem podczas spotkań, które mają na celu ją przybliżyć. Poezję przybliżyć jej czytelnikowi oraz – nie powinniśmy się dziwić, mimo że brzmi to dość zaskakująco – czytelnika przybliżyć poecie. Owa druga relacja zupełnie i świadomie przeoczona przez tradycję młodopolską i romantyczną, dzisiaj wydaje się być samym zyskiem dla autora (możemy również przypuszczać, że dla jego poezji również). Kiedy z doświadczenia poetyckiego usuniemy wszystkie powinności i służebności (właśnie względem tradycji i historii), poeta zostaje sam na sam z czytelnikiem. Z odbiorcą realnym, fizycznym, z krwi i kości, z czytelnikiem, który formułuje pytanie (ważny czytelnik to taki, który formułuje pytanie, którego autor sam by sobie nie zadał).

Zwykle puenty znajdują się na końcu, ale przekornie od podsumowania chciałbym właśnie zacząć. Na pytanie Agnieszki Strzeмиńskiej prowadzącej spotkanie *Pergamin wspomnień. Szkice o poezji Mariana Kisiela*, jego prelegenci, dr Elżbieta Wróbel, prof. Elżbieta Hurnik (UPH w Częstochowie) i prof. Krzysztof Kłosiński (UŚ) odpowiedzieli, że jest [Marian Kisiel] strażnikiem słów (dzięki przypomnieniu o nich, odżywianiu słów, których nie używamy), depozytariuszem innej energii i innego czasu i może wypowiedzieć się o swoich doświadczeniach w przekonaniu, że będzie to również ważne dla jego czytelników, dla innych, wreszcie kimś w rodzaju literackiego przewodnika, który zabiera w podróż po przestrzeni innych tekstów, lektur i tradycji literackiej, a zarazem jest poetą zwięzłości, konkretności, skupionym na „przywróceniu godności tego, co jest w nas” (ponieważ źródło wszelkich dóbr nie istnieje na zewnątrz).

To są konkluzje dużego kalibru zahaczające nawet o patos, od którego Marian Kisiel jako poeta, ale również badacz literatury stroni. Sprawa jest jednak poważna, nie każdy bowiem literacki twórca w tym kraju może pochwalić się monografią własnej twórczości opublikowaną w tak prestiżowym wydawnictwie jak *Słowo Obraz/Terytoria*. Owszem, znajdziemy tam Bruno Schulza i Witkacego, Ficowskiego i Miłosza, Bergmana i Hasa, Geneta i Gombrowicza, spróbujmy jednak znaleźć kogoś żyjącego. Marne szanse. Więc ta powaga, a nawet patos są trochę na miejscu. Poza tym *Pergamin wspomnień* jest również hołdem środowiska akademickiego złożonym niestrudzonemu badaczowi literatury, który zarówno odważnie promował nowe zjawiska poetyckie (np. antologia *Inny świat*) jak i upominał się o twórców, których przełom 89 roku niesłusznie wymazywał z historycznoliterackiej narracji. Dość wspomnieć Adama Czerniawskiego, Zdzisława Stroińskiego



Krótki błysk

RADOSŁAW KOBIERSKI

czy Wilhelma Szewczyka. Przyjrzyjmy się tytułom i podtytułom publikacji: *Czego nie ma w podręcznikach języka polskiego?*, *Szkice o poetach mniej obecnych* (podtytuł), *Śląsk inaczej* (materiały z I sesji śląskoznawczej). To upomnienie się o pisarzy zmarginalizowanych, o mniej obecnych – w kraju różne środowiska z różnym skutkiem próbowały w ten sposób reagować, wznawiając dzieła Mariana Pankowskiego, Witolda Wirpsy, Stanisława Czycha – zawsze budziło mój największy szacunek. Jednak nie jest to sytuacja jeden do jeden. *Pergamin wspomnień* nie jest żadną opłatą za przeżyty satysfakcję lekturową i naukową. Owszem – akademicy piszą o akademiku, takie są fakty, ale przecież przede wszystkim chodzi tu o fach, który nieczęsto towarzyszy historykom i metodologom, chodzi tu o drugie, nieoficjalne życie historyka i metodologa, być może nawet skrywane (pomimo faktów wydawniczych), skoro Krzysztof Kłosiński – nawet jeśli jego deklaracja nosi znamiona kokieterii – za uważa dopiero po latach.

Pamiętacie państwo słynny dialog między Filozofem a Kaowcem z Rejsu Marka Piwowskiego: „Nie mogę być jednocześnie twórcą i tworzywem?”. Otóż właśnie w połączeniu obu sfer: poetyckiej i krytycznej, zawodowej i pozazawodowej (jakkolwiek niejasne są te pojęcia i granice między nimi) tkwi zasadnicza trudność. Jeszcze całkiem nie tak dawno, bo w latach 90. ubiegłego wieku w prasie literackiej (i literackich kulturalnych) toczył się spór dotyczący zasadności i etyczności podejmowania obu zajęć jednocześnie. Skoro ktoś jest poetą, nie powinien publicznie zabierać głosu w sprawie innych poetów. Albo piszesz albo oceniasz.

Niektórzy radzili sobie z tym środowiskowym i etycznym ryzykiem, tłumacząc że krytyka już nie istnieje, a ktoś tę pracę musi wykonać. Dzisiaj temat już właściwie nie istnieje, a i Marian Kisiel zajmuje się raczej odległymi zjawiskami niż reagowaniem na współczesną „produkcję” poetycką. Zwracam jedynie uwagę na ten fakt, bo moim zdaniem zostawił on pewien wyraźny ślad zarówno w podejściu Mariana Kisiela do tematu własnej twórczości i mówieniu o niej (to pewien rodzaj zaniepokojenia czy może nawet podejrzliwości wyrażonej w stosunku do bycia poetą), jak i w samym środowisku akademickim, z którym profesor jest związany i z którym współpracuje – mam nadzieję, że zdziwienie Krzysztofa Kłosińskiego mogło udzielić się również innym literaturoznawcom.

Jednak nie da się ukryć, że ta zasadnicza podejrzliwość gruntownie wpłynęła na wiersze Mariana Kisiela. Pozwoliła powoli, konsekwentnie i klarownie rozwijać się pergaminowi wspomnień. Znaleźć punkty zaczepienia w konkretności, w codzienności, w intymnym przeżywaniu własnej, jednostkowej historii. Pozwoliła korzystać z zasobów erudycji, ale zarazem ta erudycja nigdy nie była celem w samym sobie. Goście, czytelnicy, którzy tłumnie zjawili się na wydarzeniu promocyjnym, mieli możliwość i okazję tej właśnie poetyckiej klarowności doświadczyć. „Więc trzeba to powiedzieć:/ani nowa treść,/ani metafora,/tylko krótki błysk [...] Tym jest poezja”.

Promocja książki *Pergamin wspomnień. Szkice o poezji Mariana Kisiela* – Katowice Miasto Ogrodów – 15 października 2019 roku. ■

Wspomnienia przy pergaminie

PAWEŁ SARNA

15 października 2019 roku w Mieście Ogrodów Katowice odbyła się promocja książki *Pergamin wspomnień. Szkice o poezji Mariana Kisiela pod redakcją Ewy Bartos, Pawła Majerskiego i Katarzyny Niesporek. Spotkanie, zgodnie z tytułem zbioru, miało charakter wspomnieniowy, a nad sceną górował wyświetlony na ekranie wielki obraz – zdjęcie okładki książki.*

Pergamin wspomnień ukazał się w 35. rocznicę wydania pierwszego tomiku poetyckiego Mariana Kisiela. W zbiorze zaprezentowano najobszerniejszy jak dotąd przegląd stanowisk krytycznych związanych z poezją autora *C'est la vie*. Badaczy i krytyków zainteresowała całość lirycznego dorobku twórcy. W książce zostały pomieszczone dwadzieścia trzy szkice oraz bibliografia poetycka i translatorska poety. Na monografię złożyły się artykuły o charakterze panoramicznym, analizy i interpretacje tomów, motywów, a także pojedynczych utworów. „Już pierwszy kontakt z zawartością tomu pozwala zauważyć przemyślany dobór autorów: obok uznanych sław z różnych uczelni obecni są także pracownicy młodszy, wśród nich uczniowie Profesora Mariana Kisiela, którym jest dane być żywym świadectwem kształtowania się jego szkoły naukowej. Urzeka założenie, że tym razem pisać się będzie i dyskutować nie o Profesorze, lecz o Poecie. [...] Problematyka rozpraw skupia się głównie wokół tego, co zawsze jest w wierszach Kisiela najważniejsze, czyli refleksji na temat wyobraźni, jej kreacyjnej roli w odmienianiu egzystencji. Konfrontacja Poety ze śmiercią, próby przewyciężenia jej władzy absolutnej, przeniknięcia poza jej granice, na drugą stronę żywota, jest miejscami tak przemożna, że wydaje się czasem niemal przekraczać granicę nieestosownej ciekawości, ulegać pokusie rujnowania cmentarnej powagi, zahaczania wizji o pogranicze obscenów, zbliżeń do groteski. [...] Autorzy tomu podejmują tematy wyobraźni i śmierci, piszą o uwięzionym w tych przestrzeniach Marianie Kisielu, o otaczającej aurze nocy, czasie dla Poety najbardziej «własnym» – czytamy w recenzji Aliny Kowalczykowej. We wstępie natomiast przeczytamy: „Tytuł książki zaczerpnięto z wiersza *Czułość*. Liryk został zainspirowany obrazem Zdzisława Beksińskiego [...] Widnieją na nim dwa splecione w uściśku ciała – metafora miłości wiecznej.

Ich skóra przywodzi na myśl pergamin, a kości – upływający czas. Dominujące na obrazie brąz, wyblakły pomarańcz i szarość kojarzą się z fotografiami w kolorze sepii. Dzieło to z jednej strony budzi w odbiorcy przerażenie, z drugiej zachwyt”.

Pomysł wydania monografii pojawił się kilka lat temu, tuż po rozpoczęciu innego projektu wydawniczego, który do dzisiaj jest z powodzeniem kontynuowany. Otóż w 2014 roku została powołana seria „Światy poetyckie” pod redakcją Mariana Kisiela i Tadeusza Siernego, a jej celem było i jest opisywanie poetów z Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego, Podbeskidzia oraz Jury Krakowско-Częstochowskiej XX i XXI wieku. Redaktorki Ewa Bartos i Katarzyna Niesporek podkreśliły: „[...] interpretując dorobek poetycki twórców często zapomnianych, którego my – szczególnie młodzi badacze – wcześniej nie mieliśmy okazji poznać, jednogłośnie uznaliśmy, że na opis swojej twórczości zasługuje ten, który o tych twórcach zawsze pamiętał i pamięta – tą osobą jest właśnie Marian Kisiel, nie tylko historyk literatury, krytyk literacki, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, nasz nauczyciel, ale także – co dzisiaj jest dla nas ważne – autor czternastu tomików poetyckich, w tym dwóch wyborów wierszy”.

W 2018 roku minęło 35 lat od wydania debiutu poetyckiego Mariana Kisiela, arkusza *Nie śnijcie mnie w waszych snach*. Dla redaktorów zbioru ważne było, aby *Pergamin wspomnień* ukazał się w okolicach tej symbolicznej daty. Wspomniany arkusz ukazał się nakładem Piwnicy Literackiej Remedium w Sosnowcu i zawierał piętnaście utworów. Od tego zbiorku zaczęła się droga poetycka Mariana Kisiela. Poeta opublikował dotąd czternaście zbiorów: *Nie śnijcie mnie w waszych snach* (1983), *Kronika nocy* (1992), *Gdy stoję tak nieruchomo* (1993), *Bliżej zimy niż lata* (1995), *Wypominki* (2009), *Czułość* (2011), *Było i się zmyło* (2012), *Droga* (2013), *C'est la vie* (2014), *Martwa natura* (2015) *Łazarz* (2016), *Uniesie nas wiatr* (2018), w tym dwa wybory wierszy *Nieuchronnie zbliżam się do was* (2015), *Wieniec dla zmarłych* (2017). Agnieszka Strzebińska, prof. Elżbieta Hurnik, dr Elżbieta Wróbel i prof. Krzysztof Kłosiński zastanawiali się, jakimi słowami można dzisiaj tę twórczość podsumować. Wśród licznych definicji przytoczono

ostatni akapit wstępu do *Pergaminu wspomnień*: „Marian Kisiel to «poeta doctus», «poeta myślenia», «poeta notujący daty», «poeta pamięci», «poeta elegijny», «poeta miejsca», «tropiciele tajemnic ustanowionych w słowie», «poeta zwięzłości», «poeta obrazów i natury», «poeta eschatologiczny», «poeta nocy, ciemności, snu», «poeta melancholii i metafizycznego zamyślenia”.

Profesor Marian Kisiel jest dla wielu osób przede wszystkim literaturoznawcą. Zajmują go między innymi takie tematy, jak: historia literatury jako nauka o literaturze, kultura literacka jako wyzwanie rzucone socjologii literatury, krytyka literacka jako wyznaczenie autobiograficzne, literatura emigracyjna jako spłot programów i postaw ideowych, poezja jako doświadczenie. Podczas spotkania prof. Krzysztof Kłosiński podjął ciekawy wątek relacji zachodzącej pomiędzy dwiema, przenikającymi się rolami twórczymi: uczonego i poety.

Spotkanie przy *Pergaminie wspomnień*, książce, która zamyka i podsumowuje pewien okres twórczości poety, wiązało się też z pewną ważną zapowiedzią. Jak wyjawiała Katarzyna Niesporek: „Myślę, że można tutaj uchylić rąbka tajemnicy, że Marian Kisiel kilka dni temu złożył do Wydawnictwa „Śląsk” swój piętnasty tom poetycki pt. *Zielone pola*. Zawarte w tym zbiorze wiersze przyjmują zupełnie inną formę wyrazu aniżeli dotychczas, otwierają nowy etap albo są co najmniej nowym załączkiem jego twórczości”.

Promocja stała się także okazją do podziękowania osobom i instytucjom, które wsparły wydanie książki. Wśród nich znaleźli się: Marcin Krupa, prezydent Miasta Katowice; Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek; Wiesław Janiszewski – burmistrz Miasta i Gminy Czerwionka-Leszczyny; Mariola Czajkowska, Dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury w Czerwionce-Leszczynach; Wiesław Banach, dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku; Wydawnictwo „Słowo/obraz terytoria” na czele z prof. Stanisławem Rośkiem; Agencja „Imago Public Relations”, autorzy artykułów oraz recenzentka tomu, prof. Alina Kowalczykowa. Spotkanie zakończył recital Jakuba Błokesza, który dla zebranej publiczności wykonał m.in. utwory z tekstami Mariny Sawki, Jurija Andruchowycza, Jaromira Nohavicy, Bułata Okudźawa, Edwarda Stachury. ■

Fragmenty i różne myśli

PIOTR CZAADAJEW

Przełożył MARIAN KISIEL

2 Nie ma innego prawa prócz prawa przedawnienia. W porządku moralnym, podobnie jak w przyrodzie, nie dzieje się dzisiaj nic innego, co nie działałoby się wczoraj. Związek łączący zjawiska porządku moralnego jest taki sam, jak w przypadku połączenia zjawisk fizycznych – ciągłości, następstwa. Nic nowego, nigdy.

3 Czy jest to prawo mego umysłu, czy prawo wszechświata, nie wiem tego i nie ma to dla mnie znaczenia. Wiem tylko jedno, że poza tym kręgiem nie mogę sobie niczego wyobrazić. Jak mogę w tej chwili mieć prawo, którego nie miałem w poprzednim momencie? Mogę, oczywiście, nabyć nowe prawo, ale mowa jest nie o tym prawie, ale o prawie do nabycia prawa, prawie pierwotnym, prawie, które daje prawo.

4 Tak więc, metafizyka prawa polega nie na tym, żeby udowodnić, do kogo należy to lub inne prawo, ale właśnie na tym, żeby pokazać, na czym polega to lub inne prawo z samej natury rzeczy.

5 Jeśliby, na przykład, urodził się człowiek z oczywistą wyższością nad całym swoim rodzajem, dałoby to mu naturalne prawo do wyższości. Ale ponieważ wszyscy ludzie rodzą się z tymi samymi zdolnościami, prawa naturalnego nikt mieć nie może. Jednakże, kiedy człowiek zostanie stworzony jako taki, w ciągu swojego życia może osiągnąć prawdziwą wyższość nad innymi ludźmi. Prawo autorytetu, z konieczności, jest w rękach niektórych z nas. Nie można go stworzyć, wszystko, co można zrobić, to o nim zaświadczyć. Ale prawo to należy nie do tej osoby, która została nim przypadkowo obdarzona. Zawiera się ono w prawdziwej mocy, którą ta osoba włada. Wątpić w to prawo jest tym samym, co wątpić w siłę, która nadaje ciężar ciałom, utrzymuje słońce, sprawia, że ziemia się kręci.

6 Taki jest początek, na którym opiera się cała władza w społeczeństwie, lecz stoi on, oczywiście, w opozycji do powszechnego rozumienia, nie jest wyrażony w jakiejś milczącej czy konkretnej umowie, jaką, naturalnie, można by zawrzeć dopiero po tym, kiedy społeczeństwo będzie w pełni zorganizowane.

7 Posiadanie dóbr materialnych również nie ma innych podstaw. Co robi ten, który kwestionuje prawo własności kogośkolwiek do czegośkolwiek? Udowadnia, że nie dysponował nim wcześniej, to wszystko.

8 Gdyby umiało się podciągnąć do pierwszego pierścienia, który dzierży Jowisz, można by dotrzeć do istoty rzeczy – zarówno prawa, jak i wszystkiego innego. A póki co przyznajemy, że na tym świecie przeszłość tworzy teraźniejszość. Dlatego początku i przyczyny każdego zjawiska przychodzi nam szukać w czasie. Poza czasem – nie ma nic.

9 W końcu, prawo może darować jedynie swobodę działania zgodnie z ogólnym prawem wszechświata, dlatego podstawowe okazuje się prawo samozachowania. Przecież ogólne prawo jest całkowicie zamknięte w ciągłości, stabilności istnienia. Ciągłość mechaniczna, ciągłość żywota, ciągłość intelektualna, ciągłość moralna to są wszystkie rodzaje istnienia na świecie. W jasnej idei tego istnienia zawarta jest reguła wszelkie-

go moralnego działania, tak samo, jak w jasnej idei życia fizycznego zawarte jest prawdziwe prawo fizycznego świata.

10 Jest coś tak niezbędnego w ludzkim rozumie, że gdyby z niego coś zabrać, nie będzie i samego rozumu. Dzięki temu czemuś rozum zaczyna poznawać na bazie doświadczenia: wszystkie jego kolejne działania nie są czym innym, jak tylko konsekwencją tego pierwszego działania.

11 To coś – to znane pojęcia, które są jak gdyby narzędziami rozumienia. Nazywają je właściwościami duszy. Ale czym są owe właściwości duszy? Czy jest w ludzkim umyśle cokolwiek innego prócz idei, tylko idei i zawsze tylko idei? Czy ludzki umysł nie jest czym innym niż całokształtem idei? A w jaki sposób może się w nim narodzić idea inaczej niż wypływać z innej idei? Dziwna fantazja! Chciałoby się sprowadzić źródło naszych idei do doświadczenia, empirii. Nie przechowujemy wspomnień o pierwszych latach naszego życia, jak więc chcemy prześledzić ludzką myśl przed jej narodzinami? Nie jest to możliwe. Skoro sami nie jesteśmy świadkami tego, co dzieje się z nami od samego początku, kto może być tym świadkiem? Aby obserwujący dziecko dociekliwy filozof mógł zrozumieć to, co dzieje się w mózgu dziecka, musiałby być zarówno filozofem i dzieckiem, albo zachować wspomnienia o tym, co działo się w jego własnym mózgu w tym czasie. Po co to wszystko? Badajcie zarodek w łonie matki, a nie w świetle dnia – tam zaczyna się życie.

12 Pytacie: kiedy w ludzkiej istocie pojawia się rozum? Co ja o tym wiem? Wiem tylko tyle, że w żadnym momencie swojego życia człowiek nie miałby więcej inteligencji niż w okresie życia łonowego, gdyby nie została mu ona dana z zewnątrz.

13 Każdy system psychologiczny, ideologiczny, antropologiczny itd. nie chce widzieć nic więcej prócz odrębnego człowieka, indywiduum, jednego wśród siebie podobnych, ale fizjologia, historia naturalna – to jeszcze nie jest filozofia. Tylko filozofia zna człowieka jako dzieło samego człowieka w następstwie dziejów.

14 Próżność rodzi głupca, buta – gniew. Jeden i ten sam człowiek będzie głupi lub okrutny w zależności od tego, czy włada nim próżność czy buta. Poczekajmy chwilę, atak minie, a znów będzie roztropny i uprzejmy.

15 W przeważającej mierze ludzie nie wydają się nam takimi, jakimi są naprawdę, ale takimi, jakimi sami ich tworzymy. To dlatego, że zawsze bierzemy pod uwagę ich próżność lub ich butę. Ale jeszcze bardziej powinniśmy pienić się na siebie za wszystkie nasze niepowodzenia w relacjach z podobnymi sobie.

16 Uważnie przypatrując się sobie, odkrywasz, że czasami byłeś głupi nie do poznania, czasami zły ze strachu, a czasami tak dobry i mądry, że chciałbyś się sam sobie pokłonić. I dlaczego? Dlatego, że czasami bywasz próżny, czasami arogancki, a czasami ani taki, ani taki. Być może człowiek nigdy nie jest jednocześnie próżny i arogancki, nie wiem tego. Gdyby osiągnął taki stan, stałby się zarówno głupi, jak i okrutny, a wte-

dy nie mógłby już powrócić do swojego prawdziwego stanu ducha, ponieważ w jego duszy nie pozostałoby nic, co posłuchałoby mu do własnego oświecenia – ani serca, ani rozumu.

17 Człowiek znajdujący się w takim stanie, że jego próżność jest bezustannie pobudzona, a jego pycha bezustannie urażona, nigdy, nawet we śnie, nie będzie tym, kim jest naprawdę. W każdej minucie życia będzie tym, kim stworzył go fatalny zbieg okoliczności, w jakie popadł. I tak tworzą się te nieprzystępne natury, tak bolesne dla innych, tak nieszczęśliwe dla siebie. Często można je spotykać w towarzystwie. Nierzadko są to ludzie dobrzy, czasami nawet godni, ale wyniszczeni przez swą nieszczęśliwą gwiazdę i małoduszność, nie pozwalającą im wyzwolić się spod władzy okoliczności. Nienawidzą ich, [tymczasem] trzeba się nad nimi ulitować.

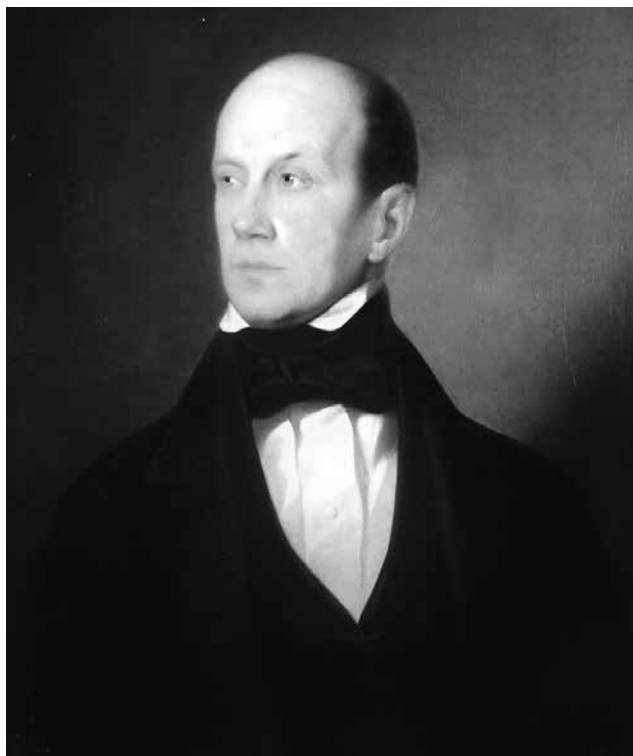
18 Najkorzystniejszym stanem dla uspokojenia namiętności, dla pełnego zapanowania nad własnymi umiejętnościami jest, według mnie, świadome podporządkowanie, dobrowolnie oddanie się prawdziwemu autorytetowi. Wielu ludzi, na przykład, bardzo pożąda tego, by znaleźć się pod wpływem człowieka, którego sądy i charakter nauczyli się szanować. Żeby być szczęśliwymi, muszą jedynie umieć podporządkować się życiu w cieniu cudzego umysłu. Jednak właśnie tego nie chcą. Lepiej być nieszczęśliwym niż podległym. Taka jest większość ludzi.

19 Czy należy rozpatrywać natchnienie jako zjawisko na tyle nadprzyrodzone, że mogłoby zniszczyć zwykły bieg natury? Wcale nie. Wystarczy rozpatrywać je jako następstwo bezpośredniego działania nieznannej zasady na siły natury moralnej. Doświadczają one niewspółmiernie większego nacisku od tego, jaki miałyby w swoim poprzednim stanie.

20 Gdybyśmy tylko rozumieli, że to wywyższenie mocy umysłu pochodzi nie od stworzenia, ale od stwórcy; że jest zgodne z jednym planem ogólnym; że okazuje się, jak każda boska emanacja, działaniem nie osobowym w stosunku do działania uniwersalnego, pozostalibyśmy do końca prawosławnymi, a ponadto mielibyśmy tę przewagę nad skrajnym dogmatykami, że lepiej od niego rozumieliśmy przedmiot jego wiary. W ten sposób wiedza, otrzymana w objawieniu, byłaby niczym innym jak tylko wiedzą wyższą w porównaniu z tą, którą nabywamy zwykłym rozumem; w żadnym zaś wypadku wiedzą nadprzyrodzoną.

21 Objawiając się ludzkiemu umysłowi, Bóg nie objawia się w pełni: nikt nie widział twarzy Ojca. W konsekwencji porządek nie został naruszony: uderzające spotkanie sił natury i nic więcej. Pierwotnie objawiony wstrząs i kolejny raz odnowiony tą samą ręką, która go wcześniej wyzwoliła. Gdzie więc jest cud?

22 Przy czym, czy dobrze są znane wszystkie metody poznania, którymi włada dusza? Czy znane są wszystkie kombinacje, wszystkie możliwe przejawy jej właściwości? Dlaczego w pewnych epokach, przy szczególnych zbiegach okoliczności, w naturze człowieka nie mogłyby się rozwinąć czy przebudzić nowe siły i nowe zdolności? Kiedy indziej natomiast zgasnąć z powodu niedostatku pokarmu czy ćwiczeń? A następnym razem pojawić się ponownie – i zawsze zgodnie z planem nakreślonym przez opatrność? I znowu, gdzie jest cud? W końcu, jeśli w człowieku jest coś, co nazywa się wolną wolą, nie ma wątpliwości, że powinna ona mieć jakąś analogię, jakąś tożsamość z wyższą wolą, która jest także, ni mniej, ni więcej, potęgą wolności. I jak dowiedzieć się wówczas, ile ta ludzka wola może otrzymać siły, energii, bezmiaru, kiedy spotyka się z inną wolą, łączy się z nią i się w niej traci?



Piotr Jakowlewicz Czaadajew. Mal. A. Kozina

23 Cudzoziemca, który przybył do Anglii bez przygotowania, bez uprzedzenia, nieprzyjemnie uderza mechanizm tej maszyny przemysłowej, która stanowi życie zewnętrzne Anglików. Nie ma z kim wymieniać myśli. Niewiarygodny ruch, oto wszystko, co znajduje, ale nic takiego, co budziłoby jego empatię. I dzieje się tak dlatego, że w Anglii przejawia się jedna tylko aktywna myśl; zaduma, myśl spokojna chroni się w zakamarkach duszy lub bliskich związków rodzinnych; tutaj trzeba jej szukać. Jeśli jednak uzyska dostęp do tego sekretu, zapewne ponownie odrzuci go ta dziwna mieszanka powściągliwości i ekscentryczności, która stanowi charakterystyczną cechę angielskiego charakteru i która może tak łatwo wprawić w zakłopotanie nowo przybyłego podróżnika. Ale jeśli zostaniecie przyjęci w domowym ognisku starej Anglii, rozleje się na was wiele cichych radości i sympatii, które wynagrodzą wam nudę pierwszego przyjęcia, a jeśli kiedykolwiek uda się wam wśród angielskiej rodziny, w pięknym wiejskim domu, na zielonym trawniku ze wspaniałymi dębami i bukami, wypowiedzieć słowo *home* tak samo, jak wypowiada je rodowity mieszkaniec Anglii, nie wiem, ale sądzę, że nie będziecie żałować utraconych wspomnień o waszym kraju, choćby tym krajem była miła Rosja.

23a W Niemczech wiecznie pływają po bezbrzeżnym oceanie abstrakcji. Niemiec czuje się w nim bardziej domowo, bardziej swobodnie niż na lądzie, dlatego niepowściągliwość myśli dochodzi tam do skrajności. Jest to zrozumiałe. Co wstrzyma lot czystej myśli, bezcielesnej, do niczego nie zastosowanej? Gdzie jest niebezpieczeństwo? Kiedy myśl chce się wcielić w życie, spełnić w praktyce, kiedy z tych wysokości, na które się wzniosła, zlatuje do rzeczywistości twierdzeń, nie wystarczają jej nieograniczone przestrzenie wszechświata. Unosząc się poza granice tego, co rzeczywiste, dąży do wszystkiego, co większe i dalsze i nie ma możliwości, aby ją zatrzymać.

24 Trzeba jednakże przyznać, że w tych niekończących się wędrówkach duszy jest niezwykła przyjemność. I myślę, że tylko zapominając o rzeczywistości, zaniedbując ją, dusza może zrealizować cały ten poryw, do którego jest powołana, i ostatecznie osiągnąć stan najwyższego poznania, dostępnego jej w tym ogryzku bycia, który jest zmuszona spędzić na ziemi.

25 Słowo! Czym jest słowo? Spójrzcie na sternika; prowadzi statek wśród podwodnych skał, z własnej woli kręci nim jak unoszącym się na wodzie kawałkiem drewna; sprawia to kilka słów, które od czasu do czasu wypowiada. Tym jest słowo. Spójrzcie na pole bitwy, gdzie sto batalionów porusza się jednocześnie i pędzi na wroga; sprawia to jeden znak, jeden gest generała. Znowu słowo. Wyobraźcie sobie ten głos, jeszcze potężniejszy, rozbrzmiewający w nieskończoności natury wyraźniej niż może to sprawić jakikolwiek głos ludzki w ograniczonej przestrzeni. I właśnie ten głos jest Słowem doskonałym. Dlatego słowo jest głosem skutecznym, głosem tworzącym.

26 Wyobrażają sobie, że proroctwa Pisma Świętego są wyłącznie zwykłymi przepowiedniami, zwiastującymi przyszłość, i tylko tym. Wielkie nieporozumienie. Są to nauczania, istotne części nauki, odnoszące się do wszystkich czasów i do wszystkiego innego.

27 Duch Święty, przemawiając ustami swoich proroków, nie zmienił ludzkiej natury. Tym samym, serce człowieka zostało kiedyś stworzone w taki sposób, aby mógł on przewidzieć przyszłość tylko poprzez odjęcie go od znanej teraźniejszości i przeszłości: serce człowieka, racjonalne z natury i działające z własnej mocy, nie może postąpić inaczej, jeśli nie przestanie być tym, czym jest. Właśnie to trudne połączenie przyszłości z przeszłością i teraźniejszością, ukryte przed większością ludzi, dane było ujrzeć prorokom Izraela o wiele wyraźniej niż pozostałym śmiertelnikom. A ponieważ ten związek był stały, konieczny i absolutny, naturalne jest, że i dzisiaj jest tak samo; i jutro tak będzie, i zawsze; absolutnie identyczne okoliczności, stany prowadzą zawsze do absolutnie identycznych wyników. Dlatego przepowiednia proroka należy do wszystkich czasów, wszystkich miejsc, tylko żebyśmy my ją umieli w odpowiedni sposób przyjąć.

28 Oczywiście, nie jest łatwo zrozumieć ściśle podobieństwo epok. Tylko głębokie uczucie, wewnętrzna świadomość dróg Boga, wynikająca z nieskończonego posłuszeństwa wobec przejawów Jego wyższej woli, może je wykryć. Ta sama najwyższa zasada, która tworzy dar proroctwa, zapewnia również zrozumienie proroctwa. Prorok i jego tłumacz w hierarchii umysłu znajdują się na tej samej linii. Prorokiem jest ten, kto doskonale rozumie proroka.

54 To, co poganie nazywali mądrością, cnotą, najwyższym dobrem, my nazywamy niebem.

55 Wiem bardzo dobrze, skąd do mnie przychodzą złe myśli; tylko szaleńcy myślą, że wiedzą, skąd do nich przychodzą dobre.

56 Chrześcijańskie miłosierdzie: rozum pozbawiony zdolności odniesienia do samego siebie.

57 Dobrze urządzony rozum tak samo naturalnie skłania się ku wierze, posłuszeństwu, jak głupio urządzony rozum odrzucający każdą wiarę, opierający się wszelkiemu posłuszeństwu.

57a Filozof czyni z Boga prawo, harmonię, wszechświat, nie wiem co jeszcze; potem mówi: bóstwa nie można zrozumieć. Myślę sobie tak. Jak ja pojmem tego Boga — niespójnego, pomnożonego do nieskończoności, rozum i materię jednocześnie? Przecież wcale nie jest to ten Bóg, który jest, to Bóg, którego stworzono. Z najprostszej idei, uczyniono najtrudniejszą; prawdę mówiąc, to zdumiewające, że nie wiemy, jak wbić ją sobie do głowy.

57b Znamy tylko małą cząstkę naszego bytu, tę, która odnosi się do prawdziwego życia; dobrze wiemy, że trwa znacznie dłużej, a przy tym wszystkim — rzecz niesłychana! — chcemy zrozumieć prawo naszego bytu również w całej jego pełni.

58 Panteista nazywa świat „Wszystkim”. Sugeruje, że jest idealny. Przyczynę i początek wszystkiego odnajduje we „Wszystkim”. To „Wszystko” jest wieczne, nieskończone, rozumne, obejmuje wszystkie czasy, wszystkie przestrzenie. W końcu, wszystkie atrybuty, które deista znajduje w Bogu, panteista znajduje w swoim „Wszystkim”.

Cóż, niech tak będzie. System jest całkowicie spójny i można go rygorystycznie udowodnić. Trzeba tylko uznać „Wszystko” — a reszta będzie tylko niezbędnym wnioskiem od tak ustalonego początku.

Ale wszystko to sprowadza się, oczywiście, do zastąpienia jednego słowa innym, tak aby Spinoza mógł być w pełni religijny i bez wątplenia taki był; w rzeczywistości, czytając go, mimowolnie porywa nas coś niezwykle pobożnego, co widać poprzez matematyczną śmiałość jego argumentacji i sprawia tym większe wrażenie, im mniej się go spodziewamy. Zresztą, panteizm jest w każdym przesadnym wielbieniu przyrody; starając się wszędzie widzieć świadomość, zamienia wszystko w świadomość i tym sposobem okazuje, że cały wszechświat jest jednym wielkim rozumem, jak u panteisty. Spójrzcie na Bonnetta, Paleya i innych.

59 Instynkt zwierzęcy i instynkt ludzki to dwie zupełnie różne rzeczy. Pierwszy to impuls fizyczny lub zmysłowy; drugi to niejasne postrzeżenie umysłu, które miesza się z doznaniem tylko dlatego, że jest niejasne, ale w rzeczywistości jest od niego zupełnie inne. Człowiek nie posiada takiego instynktu, jaki posiada zwierzę; to wykluczałoby rozum; posiada go w swoisty dla niego sposób. U człowieka sam instynkt niczego nie determinuje; działa w nim tylko w połączeniu z jego rozumem, którego energię czasami wzmacnia, a czasami osłabia. U zwierząt instynkt jest jedyną podstawą całej ich aktywności; dlatego właśnie jego moc jest w nich tak potężna, a w niektórych przypadkach jakby nawet przewyższa moc ludzkiego rozumu.

60 Co jest potrzebne do tego, aby wyraźnie widzieć? Nie patrzeć przez siebie.

61 Czym jest chrześcijaństwo? Nauką życia i śmierci.

62 Co to jest porządek publiczny? Tymczasowe lekarstwo na tymczasową chorobę.

63 Co robią ustawodawcze, polityczne, prawne i im podobne instytucje? Naprawiają zło, jakie wyrządziły.

64 Kim byli barbarzyńcy, burzyciele starożytnego świata? Chrześcijanami.

65 Czym byłby świat, gdyby nie przyszedł Jezus Chrystus? Niczym.

66 Czy zdarzyło się komuś zobaczyć we śnie, że dwa razy dwa jest pięć? Nie. Po co mówić, że we śnie nie używamy naszych umysłów?



fol. Maria Korusiłowicz

67 Co robią z myślą we Francji? Wyrażają. W Anglii? Jest wprowadzana w życie. W Niemczech jest trawiona. A jak postępują z nią u nas? Nijak; i wiecie dlaczego?

68 Ludzie wyobrażają sobie, że są społeczeństwem, kiedy zbiegają się w miastach lub innych ogrodzonych miejscach. Jakby tłoczenie się, zbijanie się w kupę, trzymanie się stada jak barany, oznaczało życie w społeczeństwie.

69 Jakies pięć lat temu poznałem we Florencji mężczyznę, którego naprawdę polubiłem. Spędziłem z nim tylko kilka godzin; godzin nie bardzo, to prawda, przyjemnych i dobrych; i nie umiałem jeszcze wyciągnąć z tego człowieka wszystkich korzyści, jakie można byłoby wyciągnąć. Był to angielski metodysta, który, jak się zdaje, osiadł na misji na południu Francji; ale kiedy się z nim poznałem, właśnie wrócił z Ziemi Świętej. Było w nim dziwne pomieszanie żarliwości i pobożności, żywego zainteresowania wielkim tematem jego troski — religią, i obojętności, chłodu, dystansu wobec wszystkiego innego. W galeriach Włoch wielkie dzieła sztuki zupełnie go nie poruszyły, ale szczególnie zainteresowały go małe sarkofagi z czasów pierwszych wieków Kościoła. Patrzył na nie i myślał o nich z entuzjazmem; widział w nich coś świętego, wzruszającego i głęboko pouczającego, i pogrążał się w myślach, które w nim wzbudziły. Tak więc spędziłem z tym człowiekiem tylko kilka godzin — czas podobny do krótkiej chwili; od tego czasu nie mam o nim żadnych wieści. I co z tego! Z tym człowiekiem rozmawiam obecnie częściej niż z kimkolwiek innym. Nie ma dnia, żebym go nie wspominał; i zawsze z podnieceniem, z myślą, która pośród tylu moich wielkich smutków, pośród wielu rozczarowań podtrzymuje mnie na duchu. Oto prawdziwe towarzystwo dla rozumnych istot; oto jak dwie dusze naprawdę wpływają na siebie: przestrzeń i czas nie mogą tutaj nic zrobić.

70 Często słyszy się, jak mówią o starcu — stał się dziecinny, biedaczek! Nie, rzecz w tym, że on jeszcze nie opuścił dzieciństwa. Spójrzcie na jego życie: zawsze był dzieckiem, a teraz przedłużył tylko to, czym zawsze był.

71 Błogosławiony byłby człowiek, gdyby mógł stamtąd powrócić. To niemożliwe! Ustanowiony porządek wymaga, aby on stale szedł i szedł do przodu, ani jeden krok do tyłu, bezustannie do przodu i aby ściubił we własnej głowie) grzech za grzechem. Ale po śmierci, wtedy — tak, dokładnie wtedy — boskie miłosierdzie — trzeba mu zaufać — pozwoli mu zatrzymać się na chwilę, przepatrzyć przeszły czas, a może nawet cofnąć się nieco.

72 Wiemy przecież, że istnieje religia chrześcijańska; ona nie uznaje czyścica; chce, abyśmy, podwinawszy nogi, przeskoczyli bezpośrednio z tego życia do tego innego, gdzie wszystko jest niezmiennie, nieodwołalne, nie do poprawienia. Okrutna doktryna, nawet bardziej okrutna niż kłamliwa.

73 Jeśli chcecie wiedzieć, czym jest dusza zwierząt, to (proszę o wybaczenie) zwróćcie uwagę na to, co dzieje się w was.

74 Zwróćcie uwagę, że nawet najbardziej inteligentne zwierzę niczego nie dowiedzie. Jeśli czasami widzimy wahanie zwierzęcia zanim przejdzie do działania i jego jak gdyby myślenie, to przecież nie znamy granicy jego wrażeń i tego, jak daleko mogą posunąć się w tym stworzeniu, które je kontroluje. Zwierzęta naśladują czysto zmysłowo, prawie mechanicznie, i jeśli moglibyśmy to w pełni zrozumieć, wyjaśniłoby nam to, co się w nich dzieje, tak że nie było najmniejszego powodu do nieporozumień. Sami naśladujemy wiele rzeczy całkowicie mechanicznie, wcale tego nie wiedząc; nieświadomie przyjmujemy nawyki ludzi, z którymi żyjemy; dostosowujemy do siebie ich przyzwyczajenia, naśladujemy ich ruchy, a nawet ich in-

tonację. W tym wyraża się nasza czysto zwierzęca natura. Jeśli chodzi o pewną zdolność doskonałości, którą znajdujemy u zwierząt, to dla jej objaśnienia nie trzeba uciekać się do doznań; za wystarczające objaśnienie posłuży prawo życia organicznego. Czyż rośliny nie mają swoich nawyków? Moglibyśmy zaszczyć w nich również nowe, gdybyśmy lepiej znali ich strukturę — stworzyłyby to naukę sadzenia; stąd byłby też ruch do przodu, jak u zwierzęcia.

Buffon i inni przyrodnicy powiedzieli mniej więcej to samo. Konieczne jest jednak zwrócenie szczególnej uwagi na naukę płynącą z doświadczenia, z naszej własnej natury. Albowiem najważniejszą sprawą dla nas jest zrozumienie, że człowiek w ciągu całego dnia wcale nie pozostaje człowiekiem; daleko mu do tego.

Buffon, jeśli mnie pamięć nie myli, odmawiając zwierzętom jakiegokolwiek rozumu, przypisuje im jednocześnie swego rodzaju świadomość własnej istoty. Dziwna myśl! Czy ja sam zawsze mam tę świadomość? Co więcej, czy nie powinienem podjąć pewnego wysiłku, żeby dojść do tej świadomości? Czy zwierzę naprawdę posiada coś takiego, czego ja nie posiadam? Bzdury!

75 Powtarzamy bez przerwy: jak możemy być nieszczęśliwi? Czyż nie jesteśmy stworzeni na podobieństwo Boga?

76 Tak, wszystko odbija się w umyśle. Nie ma w naturze takiego prawa, które nie powtórzyłoby się w moim Ja. Wszystkie zjawiska fizycznego świata są powielane w świecie intelektualnym. Myśl sama w sobie odtwarza wszystkie ruchy natury. Ale myśl wie, ale natura nie wie. Życie myśli jest poznaniem, życie natury jest pasywnym ruchem. Kiedy myśl przestaje być świadoma, przestaje istnieć. Oto dlaczego Zbawiciel powiedział: Życie wieczne polega na tym, aby poznać ciebie, mój Ojciec.

77 Człowiek przez całe życie może wierzyć w zniszczenie swego bycia; ale na minutę przed śmiercią nigdy w niego nie wierzył i nigdy nie uwierzy. W tej samej chwili, kiedy czuje, że się rozpada, czuje, że nadal istnieje. Oto, wierzę w to, jest tutaj wielki początek wszechobecnej stabilności bytu, na ten raz wyrażonego w najwyższym stopniu naszego Ja.

78 W naturze istnieje plastyczna siła, tworząca określone formy. Jest to, prawdopodobnie, prawdziwy początek życia, ucieleśniający w sobie wszystkie naturalne siły. Nigdzie nie pojawia się ona tak wyraźnie, jak w krystalizacji: tam trzeba ją studiować i o niej myśleć. Krystalizacja to naprawdę dziwne zjawisko. Czysta geometria! I zwróćcie uwagę, że tak działa natura w formowaniu ciał pierwotnych: niezmierny temat do przemyśleń.

79 Istnieje siła rozumu i odpowiadająca jej siła wyobraźni. Czy te dwie siły uniwersalnej natury nie są bliższe sile twórczej, czy nie najlepiej ją naśladują? Całkiem możliwe.

80 Co robią, odmawiając modlitwę? Darują życie swojej duszy: prawdziwie boski trud. Ten, który obdarzył życiem niezliczone dusze, ten, który nie przestaje darować go wiecznie, ten, który do końca czasów nie będzie robił nic innego, jak zawsze i wszędzie rozprzestrzeniał, siał życie — jest Bogiem, czy nie? Was o to pytam.

81 Czym jest umysł? Nie znam innego umysłu niż swój własny; nie nazywam go rozumem; nazywam go marnością: powiedzcie, czyż nie mam nad nim władzy?

82 Czy uważacie, że człowiek lepiej od natury rozumie śmierć niż narodziny? Oczywiście, że nie. Widzi, jak wokół niego istoty rodzą się, giną, a wśród nich — istoty jemu podobne; nie wie, czy wcześniej istniały w innej postaci, zanim uzyska-

ły obecną postaci; nie wie, czy będą żyć, jeśli ją utracą; jednak w pewien sposób pragnie zrozumieć śmierć, ponieważ się jej boi. Boi się jednakże nie cierpienia, ponieważ nie wie, czy będzie cierpienie; nie boi się także zniweczenia, bo co przeraża pod koniec istnienia? Wychodzi na to, że dowiedział się, nie wiem jak, że po śmierci nadal będzie żył. Ale nie wie, jakie będzie to drugie życie, a życie w tym nowym życiu, w sposób odmienny od teraźniejszego, wydaje mu się przerażające. Oto jeszcze jedna z wielkich legend, które powstały w niepamiętnych czasach dokładnie tak samo, jak fundamentalne idee ludzkiego umysłu, których również sam sobie nie przekazał, ale które powinny być mu zostać przekazane w czasie, gdy we wszechświecie tworzyło się rozumienie.

83 Ale czym jest śmierć? Niczym innym, jak tylko chwilą w życiu człowieka, kiedy przestaje czuć siebie w swoim ciele – i niczym więcej.

84 Ani nieśmiertelność duszy, ani jej bezcielesność nie mogą być ściśle udowodnione. Ale można udowodnić, jakie jest jej istnienie po tej chwili, którą nazywamy śmiercią; i nic więcej nie potrzeba dla ogólnej moralności.

85 Chrześcijanin nieustannie przenosi się z ziemi do nieba i z nieba na ziemię, i kończy tym, że osiedla się w niebie.

85a. Istnieje więcej uzasadnionych przekonań niż wątpliwości: oto, co oznaczają wzniosłe słowa św. Pawła: miłość [милосердие] wszystkiemu wierzy.

86 Nikt nie uważa, że ma prawo cokolwiek dostać, bez zadania sobie trudu przynajmniej wyciągnięcia po to ręki. Jest tylko jeden wyjątek – szczęście. Uznaje się za całkowicie naturalne bycie szczęśliwym, nie uczyniwszy nic w celu jego zdobycia, tj. żeby na nie zasłużyć.

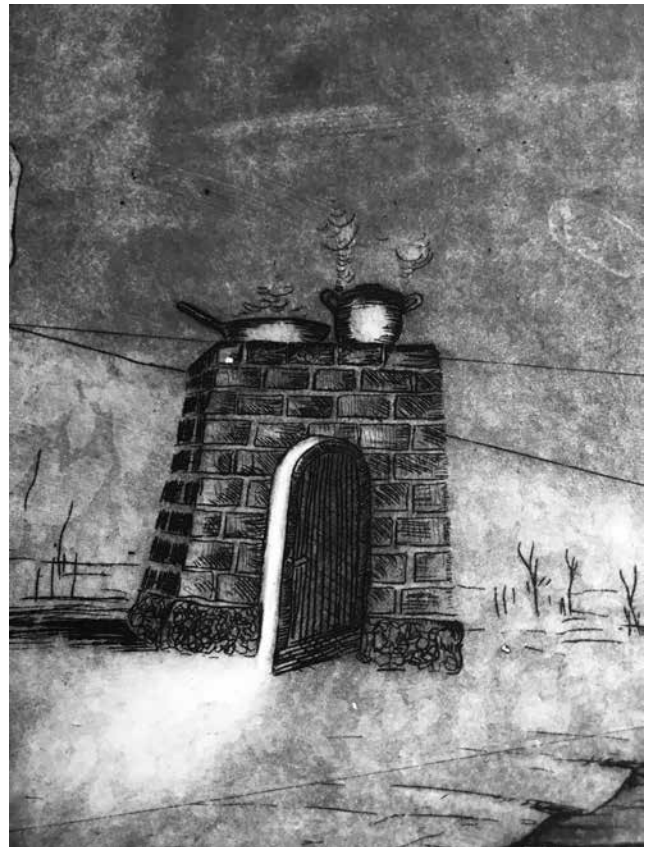
87 Jedynym sposobem wiary w Boga jest pokładać w nim nadzieję: oto dlaczego nie wierzy ten, kto się nie modli.

88 Chrześcijańska nieśmiertelność to życie bez śmierci, a wcale nie życie po śmierci.

89 Kochałeś tego niedawno zmarłego człowieka, szanowałeś go. Teraz zaś jest on dla ciebie smutnym wspomnieniem, wspomnieniem smutnym i, być może, jednocześnie jasnym. Ale już go więcej nie kochasz, już go więcej nie szanujesz, tylko go pamiętasz. Bo jak, w swej istocie, kochać i szanować proch? Ale jeśliby przypadkiem ten człowiek wciąż żył, nie wiem gdzie – w jakimś odległym kraju, w jakimś nieznanym kraju? Jeśliby tylko był nieobecny, jak wielu z twoich przyjaciół? Dlaczego więc nie odczuwasz do niego tych samych uczuć, jakie odczuwałeś wcześniej? Nie widzę tu żadnych przeszkód. A kult świętych. Wierzyć poważnie, sumiennie w nieśmiertelność duszy i nie szanować ludzi godnych naszego szacunku tylko dlatego, że nie żyją tutaj, na ziemi, czy nie jest to absurdalne?

90 Czy pamiętasz, co ci się przydarzyło w pierwszym roku życia? Nie, mówisz. Cóż więc dziwnego w tym, że nie pamiętasz, co się z tobą działo przed narodzinami?

91 Jest powiedziane, aby kochać bliźniego, ale dlaczego? Dlatego, abyśmy kochali kogoś innego, prócz nas samych. To nie jest moralność, tylko zwykła logika. Cokolwiek bym uczynił, między prawdą i mną zawsze jest coś: to coś jest mną samym; prawdę zaślaniam sobie sam. Dlatego jest tylko jeden sposób, aby ją odkryć – oddalić siebie. Dobrze byłoby, aby często powtarzać sobie to, co, wiecie, powiedział kiedyś Aleksandrowi Diogenes: Odejdź, przyjacielu, zaślaniasz mi słońce.



92 Jedynie oko miłosierdzia jest jasnowidzące: oto cała filozofia chrześcijaństwa.

93 Co produkują ludzie, żyjąc razem? Azot: zabijają się nawzajem.

94 Czy czujesz, jak rodzi się w tobie prawda? Nie. A kłamstwo? Oczywiście.

95 Cała moja istota burzy się na myśl o tym, że przypisujemy Bogu jakiś rodzaj niezdolności. Robimy tak za każdym razem, kiedy wyobrażamy sobie wieczne prawa, nieruchomy porządek, przedustawną harmonię, wieczną materię, monady, żywioły lub cokolwiek innego. Zawsze zakładamy, że Bóg nie jest w stanie tego oddalić, czy o tym mówimy czy nie.

96 Kartezjusz, jak wiadomo, nie mógł znieść myśli o ograniczeniach boskiej mocy. Jeśli zaś o mnie chodzi, to nie mogę w nią wątpić; lęk, jaki zawsze czułem przed tą myślą, był gwiazdą mojego życia.

97 Bez względu na to, jaką definicję nadano bytowi organicznemu, zawsze będzie on w pełni obowiązywał na całym świecie. Przyrodę podzielono na organiczną i nieorganiczną. Ciało niebieskich nie można przypisać do żadnej z tych kategorii, ale biorąc pod uwagę ogrom przestrzeni, w której się poruszają, na razie zostały zamienione na matematyczne punkty. Jeśli zaś chodzi o planetę, na której żyjemy, znamy tylko jedną z jej zewnętrznych powłok, i ta powłoka stała się przedmiotem szeroko zakrojonej nauki. Co można temu przecistawić? Czy empiryzm nie jest w pełni usatysfakcjonowany tym podziałem? Czego chcieć więcej?

98 Wy wszyscy, którzy nie wierzycie w chrześcijaństwo, uważacie się za bardzo silnych. Wiedźcie więc, że nawet ta moc, którą tak bardzo się chwalicie, z uwagi na to światło, w jakim przedstawia się wam chrześcijaństwo, jest o wiele bardziej nierozdzielna od tego, by być chrześcijaninem niż od tego, iżby nim nie być. Boicie się uprzedzeń i przesądów, a to właśnie

w niewierze, a nie w wierze, tkwią uprzedzenia i przesady. Powiedźcie, jak staliście się tym, kim jesteście? Czy nie tak samo, jak lud staje się chrześcijańskim? Czy nie tak samo, jak lud, powtarzacie katechizm, nie rozumiejąc go? To, co oświadczacie z taką pewnością, czyż nie jest wyobrażeniem tego, co sami wymyśliliście? Biedni ludzie! Rozejrzyjcie się: czy ksiądz w kościele nauczył was tego?

99 Kiedy filozof wypowiada słowo człowiek, czy zawsze dobrze wie, co chce powiedzieć? Nie sądzę.

100 Człowiek rodzi się tak samo, jak inne zwierzęta; różni się od nich jedynie organizacją charakterystyczną tylko dla niego samego i dzięki której stanowi szczególny gatunek w królestwie zwierząt. To, oczywiście, nie jest jeszcze człowiek rozumny, czyli człowiek wykształcony, to szczególna istota, dla której nie ma miejsca w przyrodzie. Pisząc traktaty o ludzkim rozumie, staramy się wyjaśnić, jak człowiek–zwierzę staje się istotą rozumną. Jest tu złudzenie i niejasność. Człowiek–zwierzę staje się człowiekiem rozumnym nie z konieczności, ale przez przypadek.

101 Hipoteza o człowieku–zwierzęciu – mówię: hipoteza, ponieważ takiego człowieka nikt nigdy nie widział, ponieważ on, urodziwszy się pośród sobie podobnych, ani przez chwilę nie może pozostać taki, jaki się urodził – hipoteza ta, powtarzam, jest bardzo przydatna dla naukowej patologii i dla filozoficznej higieny. Ale co ma z nią zrobić filozofia w prawdziwym tego słowa znaczeniu? Kiedy zajmuje się tym filozofia, to z filozofii ludzkiej przekształca się w filozofię zwierząt i staje się już działem historii naturalnej, która bada zwyczajnie zwierząt, rozdziałem o człowieku w zoologii.

102 Naród rosyjski jest narodem śpiewającym, a nie mówiącym. W jednej na cały głos śpiewanej rosyjskiej piosence zawiera się więcej rosyjskiego życia niż w całym stosie rosyjskich latopisów.

103 Przedłóżcie NN, aby ustanowił nagrodę za znalezienie idei zrodzonej w Rosji.

104 Niech mi powiedzą, co stworzył złoty środek lub co pomogło mu zabłysnąć. Oto jest pytanie.

105 Chcecie stworzyć słowiański świat; dlaczego by Tatarom nie pomóc później w stworzeniu świata tatarskiego? Porównajcie przeszłe losy tych dwóch ras, a zobaczycie, że Tatarzy mają większe szanse na sukces niż wy. Ugruntowali się jako zdobywcy, jako budowniczości. Mahometanizm stał się przestarzały, to prawda, i dopóki pozostaną Mahometanami, nie będą mogli w pełni pojawić się na światowej arenie, ale niech pewnego dnia przejdą na chrześcijaństwo – a zobaczycie! Dziwna przyszłość, oczekiwany wszechświat – półświat słowiański i półświat tatarski. Pan–sławizm i pan–tataryzm; od tam dwóch wiodące idee ludzkości. Trzeba przyznać, że system ten nieoczekiwanie upraszcza postępek społeczeństwa ludzkiego.

106 Mówią o Rosji, że nie należy ani do Europy, ani do Azji, że jest to szczególny świat. Niech tak będzie. Ale trzeba jeszcze udowodnić, że ludzkość, oprócz dwóch stron, określonych słowami – zachód i wschód, ma także trzecią stronę.

107 Wolę biczować swoją ojczyznę, wolę ją denerwować, wolę ją upokarzać, nie ją oszukiwać.

108 Rosyjski liberał to bezmyślna muszka, poruszająca się w promieniu słońca; to słońce jest słońcem zachodu.

109 Za każdym przedmiotem w naturze kryje się coś, co wkłada w niego nasz umysł lub nasza wyobraźnia; i to jest owo niewidzialne, które artysta powinien wcielić w swoje dzieło, ponieważ ono właśnie nas dotyka, ekscytuje, a nie sam przedmiot, który kontemplujemy.

110 Biada narodowi, którego niewolnictwo nie zdołało upokorzyć; został on stworzony by być niewolnikiem.

111 Hrabia de Maistre mawiał: „Przesada jest prawdą uczciwych ludzi”, to jest ludzi z przekonaniem, ponieważ uczciwy człowiek nie może ich nie mieć

112 Wrogość jest śmiertelna w retoryce, chyba że powoduje urazę lub pogardę.

113 Są twarze, na których napisano „nie”; człowiek z przekonaniem instynktownie od nich się odwraca.

114 Są natury pozbawione zdolności do potwierdzenia cokolwiek, które boją się wypowiedzieć fatalne „tak”, jak młoda dziewczyna, rzucona nieubłaganą wolą rodziców w objęcia znieprawionego człowieka.

115 Słowo brzmi tylko w życzliwym środowisku.

116 Słowo to kwiat, który kwitnie tylko w współodczuwającej atmosferze.

117 Ludzie, którzy zawsze pięknie mówią, nigdy nie są oratorami.

118 Są głupcy tak niepłodni, że i słońce geniuszu nie jest w stanie uczynić ich płodnymi.

119 Są umysły tak kłamliwe, że nawet wyrażona przez nich prawda staje się kłamstwem.

120 Tylko choroba jest zaraźliwa, zdrowie – nie; to samo z błędem i prawdą. Oto dlaczego błąd rozprzestrzenia się szybko, a prawda jest tak powolna.

121 Bóg stworzył piękno, żeby pomóc nam go zrozumieć.

Piotr Czaadajew (1794–1856), rosyjski filozof i eseista, jeden z najwybitniejszych myślicieli doby romantyzmu, był prekursorem ruchu okcydentalistów (zapadnicestwo), który programowo opowiadał się za wprowadzeniem Rosji w krąg cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Osip Mandelsztam pisał, że myśl Czaadajewa ustawia się w poprzek tradycyjnego myślenia rosyjskiego, on sam zaś symbolizuje „pogłębione rozumienie narodowości jako najwyższego rozwoju osobowości oraz Rosji jako źródła absolutnej wolności moralnej”. W swoich pracach Czaadajew poszukiwał Boga w historii, a średniowieczny katolicyzm uważał za najdoskonalszą postać chrześcijaństwa. Za publikację pierwszego z ośmiu swoich listów filozoficznych, decyzją cara Mikołaja I został uznany za niepoczytalnego, zmuszony do leczenia i osadzony w areszcie domowym. Jego poglądy doceniono dopiero w XX wieku, choć wciąż w niektórych kręgach rosyjskich uważa się go za antypatriotę. Publikowane tutaj rozmyślenia otwierają zbiór *Fragmety i różne myśli (1828–1850)*, składający się z 232 uwag na temat sztuki, historii i religii. Jest to niejako „skróć” myśli filozoficznej Czaadajewa. Tutaj przedstawiamy fragmenty 2–28 i 54–121.

Posegregowani

LUCYNA LEŚNIEWSKA

Wychodzę z samolotu – ciepło południowej Grecji głaszcze moje odkryte ramiona, dając nadzieję, na zapomnienie o codzienności i czynnościach, które brudzą jej poszczególne warstwy.

Idąc po płycie lotniska w Salonikach, wpatruję się w drżące powietrze, roztopiające się w czterdziestostopniowym upale i zastanawiam się, jakim cudem nadal czuję chłód samolotowej klimatyzacji i dotyk Jacka, który trącił mnie poprawiając torbę na ramieniu.

Natalka przytula pluszową brązową małpkę, kupioną zeszłego roku na wakacjach w Turcji. Kiedy jeszcze wszystko było jak zawsze – prosto, normalnie, gdy mieściliśmy się w ramach przykładowej rodziny.

— Witaj, Chakidiki! — mówię, obraca się za mną kilka osób.

Jacek rozciąga usta w krzywym grymasie, mierzy mnie pogardliwym wzrokiem. Zmarszczki wokół oczu pogłębiają się.

Kiedyś powtórzyłyby przywitania, żegnając się z pracą na czas urlopu. Zawsze zazdrościłam mu tej umiejętności, rozdzielania każdej dziedziny życia, w sposób poukładany, jak zakładki w segregatorze – niebieska praca, zielona sport, żółta sportkania ze znajomymi, czerwona rodzina.

Wchodzimy na teren lotniska — parami, rodzinami. Nikt nie zawiera znajomości na ten ułamek chwili. Pewnie i tak się już nie spotkamy, po co więc wymieniać uprzejmości typu: „ale gorąco”, „w Polsce było dużo chłodniej”.

Cierpliwie czekamy na walizki. Jacek się nie odzywa, chociaż zapewniał, że wszystko będzie jak zawsze! Te wakacje będą równie udane jak poprzednie, a jednak nie. Nie jest aktorem! Tak łatwo go przejrzeć! Przyglądam się mu i widzę, że zaszła w nim zmiana. Postarzał się? Ma trzydzieści dziewięć lat, tak samo jak ja, ale ja chyba nie mam tylu siwych włosów? Moja fryzjerka pewnie wie lepiej, ale tak! Moje włosy przy skroniach nadal pozostają marchewkowo rude. Jego włosy poprzeplatane są szarymi nitkami, jakie mróz maluje na szybie zwiastując ochłodzenie.

— Mamy już wszystkie. Możemy iść. — oznajmia Jacek. Ciągnie za sobą dwie walizki, ja trzymam torebkę i Natalkę za rękę.

Kierujemy się w stronę wyjścia, gdzie rezydentka biura podróży z uśmiechem, słodkim jak dojrzała pomarańcza, pokazuje miejsce zbiórki. Idziemy za tłumem, w takt kręcących się kółek walizek. Jestem pewna, że w każdej z nich spakowane jest to, co najlepsze – ziewna sukienka, używana tylko w upalne dni, bawełniane koszulki, strój kąpielowy, zakrywający niedoskonałości i wygodne sandały, które nie robią pęcherzów. Chcemy czuć się bogato i wyjątkowo. Zdjęcia na Insta muszą być w odpowiedniej oprawie, świetle i klimacie. Niech zazdroszczą mi tego wszystkiego, chociaż nie wiedzą o mnie nic! Niech widzą, co chcą widzieć, mnie też wtedy jest łatwiej.

Odbieramy kopertę z informacjami dotyczącymi pobytu. Ubezpieczenie, numer do rezydentki. Jacek zawsze ma wszystko pod kontrolą. No może nie wszystko, ale teraz mamy wakacje i obiecaliśmy sobie o tym nie mówić – o tym niepotrzebnym łachu, spakowanym przez czystą nieuwagę!

Wsiadamy do autokaru. Przed nami prawie godzina jazdy, ale widoki za szybą są ładne. Zachłannie wpatruję się w nie i zastanawiam się, jak to będzie. Z pewnością nie po staremu – ale czy po „nowemu” znaczy lepiej?

Jacek zajmuje miejsce przede mną i Natalką. Nie rozmawiamy, przecież nie będziemy się przekrzykiwać, żeby robić pozory. I na to przyjdzie pora. A jednak żałuję, że nie może być po staremu. To tak jakbym nie mogła zmieścić się w ulubio-

ną sukienkę, może trochę „schodzoną”, ale wygodną. Szkoda! Do nowej będę musiała się przyzwyczaić i upewnić, że nie widać w niej tego, że nie mam już dwudziestu lat.

W końcu jest i nasz hotel, zgrabny, żaden moloch. Już na pierwszy rzut oka przypada mi do gustu. Ustronne miejsce, z dala od miasta wszystkim nam dobrze zrobi. Może jest szansa, że nie udusimy się oparami własnego nieszczęścia? Może w końcu spojrzymy na siebie w innym świetle? Południowym, spokojnym. Bez wymagań i wyrzeczeń – wczasy All inclusive. Czy miłość też jest w pakiecie? Nie doczytałam. Jacek pewnie wie, ale nie zapytam o to, jeszcze nie teraz.

Rozpakowujemy walizki, pokój jest przestronny z widokiem na piniowy las, w jednym miejscu przeredzony przez trąbę powietrzną. Połamane, suche czubki szpecą krajobraz, ale przecież to nie wina biura podróży, że żywioł pokazał swoją moc akurat w tym miejscu. Zdjęcie do katalogu zrobiono wcześniej, po co uaktualniać, skoro to był jeden incydent. Być może już nigdy się nie powtórzy.

— Ładny. A ty co myślisz? — pytam Jacka, który rozgląda się jakby coś zgubił.

— Jest jak w folderze, jedynie to łóżko... — urywa w połowie zdania. Wiemy, o co chodzi, ale kiedy rezerwowaliśmy wakacje byliśmy jeszcze prawdziwym małżeństwem, które spało na małżeńskim łóżku.

— Zapytasz w recepcji, może coś z tym zrobią. Nie będziesz spał przeciw na łóżku dla Natalki, jest zbyt małe.

Przebieramy się w stroje kąpielowe i idziemy na basen. Mijamy ludzi, wymieniając nieśmiało uśmiechy. Natalka podskakuje podekscytowana, pod pachą trzyma dmuchane kółko.

— Co myślisz? Może tam? — Jacek wskazuje miejsce blisko kąpieliska, gdzie pod palmami znajdują się leżaki. Przytakuję. Kierujemy się w tę stronę. Podchodzi do nas polska animatorka. Przedstawia się:

— Ania. — Imię pasuje do długowłosej blondynki o delikatnych rysach. Chyba dopiero rozpoczyna turnus, bo jej cera jest jasna, prawie biała. Ania wygląda jak anioł. Ciekawe, czy greckie słońce nie spali jej na raka?

— Jeśli mają państwo ochotę odpocząć, zapraszam córkę do „BawiClubu”. Znajduje się za budynkiem przy drugim basenie. — Ania wskazuje miejsce. Uśmiecha się dziewczęcym, żeby nie powiedzieć dziewczęcym uśmiechem. Przykuca i zwraca się do Natalki.

— Chcesz iść do „BawiClubu”? Mamy tam wakacje z Dorą. Lubisz Dorę?

— „Dora poznaje świat”? — Natalka jest już kupiona i zapomina, że na wakacje przyjechała z nami. Rzuca koło na chłodny trawnik i odchodzi z Anią.

Też kiedyś mieliśmy z Jackiem nasz własny „BawiClub”, który mieścił się w pokoju hotelowym. Natalka miała swoje zabawy, my swoje — dla dorosłych, którzy na moment wakacji, tracili odpowiedzialność i dawali ponieść się szczeniackim igraszkom. Uśmiecham się na wspomnienie tych momentów.

— Z czego się śmiesz? — pyta Jacek.

— Uśmiecham się do ciebie. Nie mogę?

Jacek rozkłada nasze ręczniki na leżakach. Rozglądam się po urlopowiczach. Obserwuje nas kobieta, niewiele starsza ode mnie, nosząca tak na oko rozmiar czterdzieści sześć. Uda jej, że czyta książkę, ale to jedna z tych turystek, która jak sobie już kogoś upatrzy, to nie spuszcza z niego oczu. Musi o nim wiedzieć wszystko. Puszczam do niej szeroki uśmiech, żeby wiedziała, że jestem czujna. Staje przed nią mężczyzna, niski, krępy, łysiejący na czubku głowy. Stawia na stoliku piwa, jed-

no zdążył już do połowy wypić w drodze na leżak. Coś mówi, ona go ignoruje i zatapia nos w książkę. Ogromne okulary nawet nie drgnęły, jakby je miała przyklejone do twarzy. Wygląda w nich jak mucha tse-tse.

Kładę się na leżak i sięgam po krem do opalania.

— Posmarujesz mi plecy? — Podaję Jackowi tubkę.

Jacek rozwiązuje górę mojego bikini. Pamięta, że nie lubię mieć odbitych pasków i paseczków – to tak nieładnie wygląda w odkrytej sukience!

Mucha tse-tse nie odrywa od nas, zamaskowanych przez okulary, oczu. Jacek przesuwa dłońmi po moich plecach jak namiętny kochanek.

Mąż Muchy tse-tse zdążył już wypić piwa i właśnie jest w drodze po następne. Barman, widząc go, przygotowuje to, co stały klient zwykle zamawia. To buduje relacje – znajomość drugiej osoby.

— Jacek, myślałeś może... — Jego ręce zastygają tuż koło mojego karku. Spiał się, bo czuję się, z jaką wbił w moją skórę palce.

— Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał.

A ja nie wiem dlaczego przyszła mi na myśl ta stara suszarka na pranie – kiedy ją kupowaliśmy lata temu, zapewniano nas o jej solidności. „Właściwie to nie ma się w niej co zepsuć”. Zaufaliśmy. I faktycznie przez lata spełniała swoje funkcje bez zarzutu, aż tydzień przed urlopem nie wytrzymała pod naporem intensywnego prania. A to pościel zmieniłam, ręczniki wygotowałam, a to ubrania na urlop odświeżyłam... I się rozkraczyła! Tak zwyczajnie, powiedziałabym nawet, że po ludzku, nie wytrzymała. W pierwszej chwili chciałam ją wyrzucić, w sklepie widziałam nowszy model, ale Jacek uprał się, że poskleja plastikowe elementy, które łączyły całą konstrukcję. Udało mu się. Ciekawe jak długo będzie nam służyć taka posklejana?

— A może udałoby się to skleić? Z suszarką na pranie ci się udało.

— Kasia, co ty bredzisz?

Jacek kładzie się obok na leżaku z twarzą zwróconą w moją stronę. Przyglądam mu się i odkrywam nową zmarszczkę. Mimo niej nadal jest przystojny, zadbany i poukładany. Takiego męża chciałam, sama sobie go wybrałam.

Jacek przymyka hipnotyzująco niebieskie oczy. Jeśli zaśnie, nie uda mi się z nim porozmawiać, chociaż obiecałam nie poruszać tego tematu na wakacjach. Dla Natalki, ale ona jest w „BawiClubie”, też moglibyśmy być w swoim.

— Żałuję, że nie spędzimy następnych wakacji razem, ale cieszę się z tych.

— Uhm... — Mruczy coś pod nosem i udaje, że zasypia. Przecież wiem, że nie śpi! Zamknięte powieki drżą jak liście osiki na wietrze.

— Co mogę zrobić, żeby było jak dawniej?

— Potrafiś cofnąć czas i podjąć inną decyzję?

Milczę. Bo odpowiedź jest oczywista.

— No widzisz? Czyli nic.

Jacek kładzie się na brzuchu i odwraca głowę, a ja czuję, że znów tracę z nim kontakt. Jest księgowym, a księgowi są skrupulatni. Ale przecież są tylko ludźmi, a nie zaprogramowanymi komputerami.

— Co robisz, kiedy pomylił się w pracy? Na pewno popełniłeś jakiś błąd i użyłeś korektora.

— Nie używam korektora, kiedy się pomylę. Przekreślam błąd, robię parafkę i idę dalej.

Cały Jacek — schludny i oczekujący, że bilans zysków i strat zgodzi się z jego przewidywaniami.

— Użyłabym korektora. Nie lubię kiedy jest nakreślone. Po co ktoś ma wiedzieć, jaki głupi błąd popełniłam. Nie wstydzisz się czasem?

— Czego mam się wstydzić? Błąd to błąd – przekreślony czy „zakorektorowany”. Każdy widoczny na swój sposób.

— Skoro jesteś takim dobrym pracownikiem, nie zastanawiasz się, dlaczego popełniłeś błąd?

— Kasia, do czego zmierzasz, bo chyba nie nadążam? — Otwiera oczy.

— Powinieneś zapytać dlaczego, nie uważasz?

— Powinieneś zapytać, dlaczego przespałaś się z sąsiadem z naprzeciwka?

Odwracam głowę w stronę Muchy tse-tse. Drgnęła, przewróciła stronę książki. Pewnie zazdrości mi, że mój mąż leży blisko mnie, że jest zadbany, schludnie ogolony, że nie źłopie czwartego piwa tuż przed obiadem. Odkłada książkę i zaczyna wcierać krem z filtrem. Ja mam męża, który mi w tym pomógł, jej podpira bar.

— Nie zapytam dlaczego, bo to nie powinno się zdarzyć — mówi Jacek.

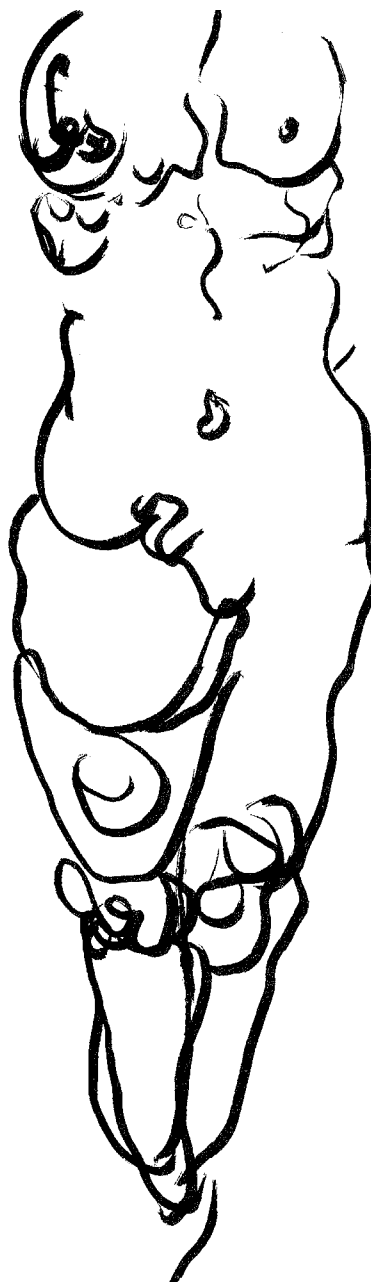
— Pomyliłam się. Nigdy nie przypuszczałam, że popełnię taki błąd.

— Mielśmy o tym nie rozmawiać. Zbyt dużo wydaliśmy na te wakacje, żeby sobie je psuć. Trzymajmy się tego, co postanowiliśmy.

— Ale suszarkę udało się posklejać. Jeszcze nam posłuży.

— A ty coś się tak uparła na tę suszarkę! To tylko rzecz.

— Tamto to nie była miłość. Ciebie kocham. Wtedy zwy-



rys. Bogna Skwara

czajnie się pogubiłam.

Jacek przymyka oczy. Zmarszczka na czole pogłębia się.

— Kasia, gdybym potrafił zapomnieć...

— Nie każe ci zapomnieć, ale może uda ci się już o tym nie myśleć? Zrobić parafkę i iść dalej?

Jacek odwraca ode mnie wzrok, czego nie potrafię znieść. Lubię dobrze wyglądać, lubię kiedy mnie podziwiał, lubię gdy w jego spojrzeniu tańczy iskra zachwytu.

Zawsze byłam taka poukładana! Wzorowa uczennica, kulturalna dla znajomych, grzeczna i życzliwa. Długa znajomość z Jackiem upewniła mnie, że nie wychodzę za mąż zbyt pochopnie. Decyzja o dziecku była przemyślana i świadoma. Po urodzeniu Natalki zostałam w domu, żeby nasze życie funkcjonowało jak należy.

Raz na dwa tygodnie wyciągałam wszystko z szaf i układałam kolorami. Kiedy otwierałam garderobę, panował w niej ład i porządek, z którego byłam dumna. Jacek to doceniał, bo też lubił, kiedy wszystko było na swoim miejscu.

I dwa lata temu wprowadził się do naszego bloku malarz – artysta. Na początku myślałam, że jest objęty pomocą opieki społecznej, bo dziurawa biała podkoszulka „flejowato” wychodziła ze zbyt szerokich dżinsów. Wydawał mi się niedomyty, potargany i nieuczczony.

— Jestem Gabriel. Wiesz, że mogłabyś być moją żoną? Uwielbiam malować rudzielców.

Bezczelny łażęga! Bezzelnie niepoukładany!

Ale ta nieskładność, jego chaotyczność, niechlujność i oplamione ubrana, ukradkiem wkradały się w moją głowę, myśli i wyobrażenia.

— Dobrze. Tylko jeden akt.

Przyszłam do jego mieszkania — jasnego, ale zagraconego puszkami farb, drewnianymi stelażami i opartymi o ścianę, podobraziami.

Gabriel ściągnął podkoszulek, wziął pędzel i zaczął nim energicznie machać. Sunął nim po białej powierzchni płótna, odrywając wzrok, żeby mi się lepiej przyjrzeć. Siedziałam jak sparaliżowana. Gabriel podszedł do mnie i zsunął ramiączko zielonej sukienki, delikatnie całując nagie ramię. Ten kilkudniowy zarost, którym podrapał moją skórę, był tak niespotykany! Jacek golił się codziennie, wklepywał balsam w podrażnioną skórę, skrapiał ją Sauvagem. Gabriel pachniał potem i farbą, która niezliczoną ilością kropek, pokrywała jego ciało.

Byłam ciekawa, co z tego będzie. Ten chaos tak mnie podniecał, mącił porządek w którym żyłam!

Sięgnął po szeroki pędzel, zamachnął nim kilkakrotnie, nakrapiając farbą obraz.

— I co ty na to? — zapytał, odwracając w moją stronę zamalowane płótno.

Abstrakcja, w której dopatrzyłam się wygiętego w łuk ciała, przechylonej głowy w bok, kręconych włosów zasłaniających jędrne piersi, była prośbą ciała błagającego o więcej. Zobaczyłam siebie taką jaką byłam przed laty – pełną wiary we własne JA.

Gabriel podszedł do mnie, pogłodził palcami usta, szyję i obojczyki. Włożył rękę między uda, zacisnęłam ją. Drugą, przyciągnął mnie do siebie. Pogłodziłam jego policzek, złapałam za chłodny guzik jeansów i wtedy ten akt... Ten brudny akt!

Powiedziałam Jackowi o zdradzie, bez szczegółów oczywiście. Nie potrafiłam znieść tego bałaganu w mojej głowie. Łudziłam się, że to właśnie Jacek pomoże mi go posprzątać.

Kiedy się dowiedział, wyciągnął walizkę (kupiliśmy ją na rodzinne wyjazdy, pojemną, wyposażoną w praktyczne przegródki) i wrzucał do niej to, co weszło mu pod rękę. W tamtej chwili, koszule straciły elegancję, walizka — przeznaczenie.

— Przecież to trzeba poukladać! — krzyczałam.

Ale Jacek rzucił we mnie resztą trzymany ubrań, podszedł do komody z bielizną i wyciągał szuflady, jedna po drugiej. Wysypywał ich zawartość, jakby na dnie ukryte było to czego szukał.

— Uspokój się, Natalka śpi — Uklękłam i zaczęłam zbierać pomieszczone kolorowe majtki i bokserki.

— Czego ci brakowało?! — Jacek zamachnął się i zrzucił z mahoniowej półki ślubne zdjęcie. Złapał za wybebeszoną komodę i przewrócił ją — huk obudził Natalkę.

— Dłacego ksycycie? — Wysła z pokoju i potarła piastką zaspiane oczka.

— Nic kochanie się nie dzieje. Przygotowujemy się do remontu.

Odprowadziłam ją do łóżka. Jacek nie przestawał demolować mieszkanie. Ale jeśli to miało mu pomóc? Położyłam się obok Natalki. Ciepło jej ciała było takie pocieszające! Jacek wyszedł. Zabrał tylko kluczyki z auta.

Całą noc segregowałam to, co było porozrzucane po podłodze i zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś zapanuje w tym domu porządek i czy będzie mnie cieszyć? Co jeśli Jacek nie wróci? A wakacje mieliśmy już zapłacone, zaproszenie na wesele kuzynki przyjęte. Co teraz? Nie mam siły zmieniać tego, co zostało wcześniej ustalone.

Jacek wrócił nad ranem, zastał mnie w łazience – zbierałam kawałki szkła po perfumach, którymi uderzył o wykafelkowaną powierzchnię. Tej szczyrby w ceramice nie da się już niczym zamaskować. Można jedynie wymienić, ale jak wyciągnąć jedną płytkę z idealnie ułożonego wzoru?

— Jacek, wybac mi. Proszę. To był tylko raz i nigdy z nikim nie powtórzę tego błędu.

— Jestem zmęczony, później pogadamy. — Spuścił głowę, potarł dłońmi nieogolone policzki.

Nieumyty w brudnych ubraniach wszedł do łóżka i zasnął.

Przyglądałam się mu, zastanawiając co mną kierowało? Młodość ma swoje prawa. Może wtedy powinnam bawić się, próbować, zmieniać, popełniać błędy, które dałyby mi naukę na resztę życia. Teraz nie jest na to pora, bo mam przydzielone miejsce z odpowiednimi funkcjami.

Położyłam się obok Jacka, objęłam go w pasie. Moje dłonie intensywnie pachniały piżmowym Sauvagem, a jednak tym razem zapach nie wzbudzał we mnie namiętności, a jedynie mdłości i ból głowy.

Delikatny wiatr przynosi lekki, cytrusowy zapach. Wdycham go, próbując związać z nim jakiegokolwiek wspomnienie. Może te nie będzie ostatnie? Jacek zmienił perfumy. Ciekawe, czy w wyborze pomagała mu jakaś młoda pracownica perfumerii?

Wiążę górę bikini i podnoszę się z leżaka.

— Posmaruję ci plecy. Lepiej, żebyś się nie spalił jak w zeszłym roku. Pamiętasz?

— Uhm...

Wylewam na dłoń biały płyn i zaczynam masować skórę Jacka. Jestem skupiona, kontroluję każdy ruch, jak podczas prasowania bawełnianej koszuli. Chcę, żeby sobie przypomniał jakie to uczucie, kiedy niepewnie idziemy w nieznanym kierunku. Obrysowuję jego ramiona, kark, uszy, jakbym była niewidoma i chciała go lepiej poznać, na zawsze zapamiętać. Dłoń bez oporów sunie po umięśnionych barkach, kciuki dotykają linii kręgosłupa. Masuję okolice nerek, końcówki palców wsuwam pod gumę kąpielówek. Zatrzymuję się w oczekiwaniu na reakcję. Kiedyś Jacek powiedziałby, że to czas na „BawiClub”. Teraz milczy, ale nie każe mi przestać. Wracam do masowania karku i ramion, składam pocałunek na zaczerwienionym płątku ucha.

W oddali słyszę głos Natalki. Macha do mnie.

— Mamusiu, ale było super! Pani powiedziała, że tak będzie codziennie.

Ania uśmiecha się, jest taka młoda! Co ona może wiedzieć? To są tylko wakacje — zaplanowana część naszego życia, gdzie obcy ludzie dbają o to, żeby były dla nas miłym wspomnieniem.

Odwracam się i patrzę na Muchę tse-tse. Teraz już nawet nie udaje — wpatruje się we mnie, a ja jestem pewna, że mi zażdrości. Ale czego? ■

Pierwsze powstańcze boje

Godów, 20 sierpnia 1919 roku

GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

17 sierpnia 2019 roku minęła 100. rocznica wybuchu I Powstania Śląskiego, które zapoczątkowało walkę zbrojną i polityczną o powrót Górnego Śląska do odrodzonej, po latach zaborów, Rzeczypospolitej Polskiej.

Był to czas niezwyklej odwagi, żarliwego patriotyzmu i wojskowej dyscypliny. Podczas tego powstania nie było spektakularnych zwycięstw, ale miało ono znaczenie stokroć większe, gdyż mówiło światu o istnieniu ludu polskiego na rubieży Rzeszy Niemieckiej, która pomimo klęski w I wojnie światowej, nadal stanowiła potęgę militarną.

Na początku maja 1919 roku utworzo-

fot. arch. autora



Alfonsa Zgrzebnioł — Komendant Główny POW GŚL. Fotografia wykonana w latach 30. XX wieku.

ny został w Piotrowicach na Śląsku Cieszyńskim sztab Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska (dalej: POW GŚL.), natomiast w Bytomiu funkcjonował Komitet Wykonawczy, sprawujący władzę w imieniu Komendy Głównej na Górnym Śląsku. Komenda Główna w Piotrowicach była władzą naczelną organizacji, a bytomski Komitet Wykonawczy był tylko jej ekspozyturą terenową.

Wskutek dwukrotnie wyznaczonego, a następnie odwołanego przez Wojciecha Korfantego terminu wybuchu powstania, mocno ucierpiała mobilność organizacji, podupadł autorytet Komendy Głównej, natomiast Komitet Wykonawczy w Bytomiu był pod silną presją komendantów powiatowych chcących natychmiastowego wybuchu powstania.

Na rozkaz Komendanta Głównego POW



Jan Wyglenda — Zastępca Komendanta Głównego POW GŚL. Dowódca oddziału powstańczego, który zdobył Godów 20.08.1919 roku. Fotografia wykonana w latach 30. XX wieku. Fot. arch. autora.

GŚL. Alfonsa Zgrzebnioka, 1 lipca 1919 roku siedziba sztabu Komendy Głównej została przeniesiona z Piotrowic do Strumienia. Było to poddyktowane, z wysokim prawdopodobieństwem, środkami bezpieczeństwa.

11 sierpnia 1919 roku w Górnośląskim Rejonie Przemysłowym wybuchł strajk generalny, tego samego dnia w godzinach wieczornych przewodniczący Komitetu Wykonawczego POW GŚL. Józef Grzegorzek zorganizował zebranie komendan-



Józef Grzegorzek — Przewodniczący Komitetu Wykonawczego POW GŚL. w Bytomiu. Fotografia wykonana w latach 20. XX wieku.

tów powiatowych, na którym po bardzo burzliwych obradach uchwalono rezolucję, cyt.: „ (...) Obecni na zebraniu w dniu 11 sierpnia 1919 r. w Bytomiu komendanci powiatowi i grono wybitnych funkcjonariuszy P.O.W. G.ŚL., ze względu na straszny terror ze strony niemieckiej, żądają od Komendy Głównej P.O.W. G.ŚL., ażeby wydała rozkaz rozpoczęcia powstania na dzień 18 sierpnia 1919 r.

W razie niepodzielenia tego zdania przez Komendę Główną, zebrani uchwalają rozwiązać organizację. (...)”.

12 sierpnia 1919 roku Józef Grzegorzek wraz z Wiktorem Rumfeldem i Stanisławem Mastalerzem, przybył do Komendy Głów-



Członkowie POW GŚL. z obozu w Piotrowicach, weterani walk o Gólkowice i Godów w I Powstaniu Śląskim. Wrzesień 1919 roku.

fot. arch. autora

fot. arch. autora

nej POW GŚl. aby przekazać dowództwu rezolucję. Komendant Główny POW GŚl. Alfons Zgrzebniok, dwa dni wcześniej został pilnie wezwany do Warszawy, z której powrócił dopiero 19 sierpnia 1919 roku. W tym czasie zstępował go Jan Wyglenda — Pierwszy Zastępca Komendanta Głównego POW GŚl., który natychmiast zorganizował odprawę sztabu Komendy Główniej.

Po trwającej kilka godzin naradzie Jan Wyglenda zdołał przekonać delegatów Komitetu Wykonawczego o konieczności

fot. arch. autora



Maksymilian Iskala — członek dowództwa „nowej” Komendy Główniej POW GŚl. w Piotrowicach. Wydał rozkaz pisemny o wybuchu I Powstania Śląskiego na terenie powiatu pszczyńskiego i rybnickiego. Fotografia wykonana w drugiej połowie lat 70. XX wieku.

odłożenia daty wybuchu powstania. Było to podyktowane przede wszystkim dużą dysproporcją sił między POW GŚl. a nieprzyjacielem. W tym miejscu, dla lepszego zobrazowania tego faktu, przytoczę dane z raportu Posterunku Wywiadowczego Nr 2 Wojska Polskiego w Sosnowcu. Zestawie-

fot. arch. autora



Mikołaj Witczak — członek Sztabu Komendy Główniej POW GŚl. w Strumieniu. Dowódca drugiej grupy powstańczej podczas walk o Godów 20.08.1919 roku. Fotografia wykonana w latach 30. XX wieku.

nie sił i środków przedstawiało się w kwietniu 1919 roku w następujący sposób.

Siły POW GŚl.: zaprzysiężeni członkowie — 10,5 tys.; ciężkie karabiny maszynowe — 14 szt.; broń ręczna — 2362 szt. (karabiny, pistolety, rewolwery, sztucery i dubeltówki); granaty — 116 szt.

Grenzschutz: żołnierze zawodowi — 20,6 tys.; ciężkie karabiny maszynowe — 543 szt.; armaty — 109 szt. Do tego Grenzschutz dysponował 35 samochodami pancernymi oraz kilkoma pociągami pancernymi z doświadczonymi w walce załogami, które pochodziły z arsenału *Reichswehry*.

Delegaci przyjęli argumenty przedstawione przez Jana Wyglendę i powrócili do Bytomia z rozkazem odwołującym wybuch powstania.

W ciągu kilku dni po powrocie delegacji ze Strumienia, prawie wszyscy członkowie bytomskiego Komitetu Wykonawczego, zostali aresztowani przez funkcjonariuszy Sicherheitspolizei (dalej: Sipo). Było to bardzo dotkliwe uderzenie w kadrę dowódczą POW GŚl. na terenie Górnośląskiego Regionu Przemysłowego.

W Piotrowicach został utworzony obóz dla członków POW GŚl., których Niemcy zmusili do opuszczenia terenu Górnego Śląska i schronienia się na Śląsku Cieszyńskim. Peowiacy, na czele ze swoim dowódcą Józefem Michalskim nie wchodzili w skład Komendy Główniej, jednak część z nich brała udział w odprawie z delegacją Komitetu Wykonawczego z Bytomia, która przybyła z rezolucją o wybuchu powstania.

Za namową delegatów Komitetu Wykonawczego utworzyli oni, 15 sierpnia 1919 roku, „nową” a w zasadzie drugą Komendę Główną POW GŚl. z siedzibą w Piotrowicach. W skład „nowego” dowództwa weszli m.in. Andrzej Herzog, Maksymilian Iskala, Franciszek Marszoliłk, Józef Michalski, Jan Szczepański i Józef Zieleźny.

W tym samym dniu „nowe” dowództwo wyznaczyło datę wybuchu powstania w nocy z 17 na 18 sierpnia 1919 roku. Na tą decyzję, najprawdopodobniej miały wpływ m.in. takie wydarzenia jak aresztowanie przez Sipo członków bytomskiego Komitetu Wykonawczego POW GŚl. oraz krwawy incydent w Mysłowicach, gdzie 15 sierpnia, na terenie tamtejszej kopalni żołnierze Grenzschutzu otworzyli ogień do górników, domagających się wypłat swoich zaległych pensji. W wyniku tego zdarzenia zabiło 10 cywilów w tym 13-letniego chłopca.

Sygnalem do rozpoczęcia walki zbrojnej miała być olbrzymia detonacja materiałów wybuchowych w rejonie Piotrowic. Z kolei rozkaz pisemny wydał Maksymilian Iskala, podpisany tylko hasłem „Gwiazda”. Rozkaz, poprzez łączników, otrzymało tylko kilku dowódców w powiecie pszczyńskim i rybnickim.

Zastępca Komendanta Głównego POW GŚl. Jan Wyglenda, po otrzymaniu informacji o planowanym wybuchu powstania, wysłał rozkaz odwołujący działania zbrojne w powiecie rybnickim i pszczyń-

skim. Rozkaz dotarł do oddziałów w miejscach koncentracji w powiecie rybnickim, natomiast nie otrzymano go w powiecie pszczyńskim, w konsekwencji czego 18 sierpnia wybuchły walki.

18 i 19 sierpnia 1919 roku do Komendy Główniej POW GŚl. w Strumieniu zaczęły spływać meldunki o przebiegu walk oddziałów powstańczych z Grenzschutzem i Sipo.

W Paprocianach, w powiecie pszczyńskim, powstańcy dowodzeni przez Wiktora Szczygła rozbili baterię artylerii polowej Grenzschutzu. Powstańcy zdobyli cztery działa (w tym dwa uszkodzone, prawdopodobnie przez obsługę) oraz wzięli do niewoli artylerzystów wraz z ich dowódcą kpt. Paulem Goese. Poza tą akcją na terenie tego powiatu nie doszło do większych działań bojowych ze strony oddziałów powstańczych.

Jan Wyglenda odwołując rozkaz wybuchu powstania wiedział, że rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej niż założenia organizacyjne. Co oznacza, że POW GŚl. liczyła wg niego tylko ok. 7,5 tys. zaprzysiężonych członków i wiele do życzenia pozostawiało uzbrojenie. Odczuwalny był brak broni maszynowej, granatów, amunicji oraz artylerii.

Pomimo tego powstanie wybuchło i w tych okolicznościach Jan Wyglenda zdecydował się je poprzeć wszystkimi siłami, jakie w tym czasie znajdowały się pod jego rozkazami. Postanowił przyjąć taktykę działań zaskoczenia i atakować przede wszystkim strażnice i posterunki Grenzschutzu w pasie granicznym.

20 sierpnia 1919 roku miał miejsce pierwszy, zwycięski wypad na strażnicę Grenzschutzu w Godowie. W noc poprzedzającą, oddział powstańczy z Piotrowic uderzył na strażnicę w Gołkowicach, tracąc przy tym 21 ludzi (poległych i rannych). Powstańcy zostali zmuszeni do odwrotu do Piotrowic na Śląsk Cieszyński. Atak ten spowodował, że Niemcy wycofali z całego pasa granicznego swoje patrole zwiadowcze i skoncentrowali się na obronie, większymi oddziałami, miejscowościami lub wiosek oddalonych ok. 1 kilometr od granicy.

Jan Wyglenda zaplanował zdobycie strażnicy i stacji kolejowej w Godowie. W tym celu podzielił swoje siły na dwie grupy. Pierwsza, dowodzona przez Mikołaja Witczaka miała za zadanie obsadzić pagórek na skraju lasu skrzyszowskiego i wspierać ogniem ckm-u i broni ręcznej natarcie powstańców z drugiej grupy na pozycje nieprzyjaciela. Druga grupa, dowodzona przez Jana Wyglendę miała dokonać bezpośredniego natarcia na strażnicę i stację kolejową.

W Piotrowicach pozostało kilka osób m.in. dr Emil Cyran i ks. Józef Palarczyk, których zadaniem była organizacja bieżącej pracy sztabu Komendy Główniej POW GŚl.

W momencie, kiedy powstańcy Jana Wyglendy byli gotowi do wymarszu powrócił z Warszawy, Komendant Główny POW GŚl. Alfons Zgrzebniok wraz z ks. Pawłem Brandysem, który wygłosił krót-



Żołnierze Grenzschtutzu z załogi strażnicy w Godowie. Lato 1919 roku.

kie przemówienie do powstańców i udzielił im błogosławieństwa.

Ok. godz. 24 oddział powstańczy ruszył marszem ubezpieczonym z Piotrowic w kierunku granicy. W Gołkowicach Jan Wyglenda liczył na zasilenie oddziału przez mieszkańców zaprzysiężonych w POW GŚł. Spotkało go jednak rozczarowanie, ponieważ do maszerującego przez tę miejscowość oddziału nikt nie dołączył a łącznicy wysłani z rozkazami o stawieniu się do oddziału członków POW GŚł. już nie powrócili. W wyniku tego oddział Jana Wyglendy liczył 50 ludzi a Mikołaja Witczaka — 20.

20 sierpnia 1919 roku ok. godz. 4 nad ranem, powstańcy opanowali most na rzece Szotkówce, gdzie zostali ostrzelani przez nieprzyjaciela a przedpole zostało oświetlone racami świetlnymi. W tym momencie, od strony Jastrzębia na stację w Godowie wjechał pociąg, ckm z grupy Mikołaja Witczaka otworzył ogień. Pociąg nie zatrzymując się, przejechał przez stację i pojechał w kierunku Rybnika.

Natarcie powstańcze rozwijało się pod ogniem dwóch ciężkich karabinów maszynowych wroga, wzdłuż drogi do Skrzyszowa i północnego brzegu rzeki Szotkówki. Odcinek ten został sforsowany przez powstańców po upływie ok. godziny. Powstańcy zdobyli szturmem budynek strażnicy, pozycje polowe i zabudowania stacji kolejowej, bronione przez żołnierzy Grenzschtutzu.

Zwycięski atak na pozycje nieprzyjaciela był możliwy dzięki bardzo celnemu ogniewi z ckm-u z grupy Mikołaja Witczaka, którego dowódcą i celowniczym był Herman Stania.

Ok. godz. 6 rano miejscowość została całkowicie opanowana przez powstańców. Do niewoli trafił 1 oficer, 4 podoficerów i 6 szeregowych oraz zdobyto 2 ciężkie karabiny maszynowe, amuni-

cje i granaty.

Liczba żołnierzy Grenzschtutzu, którzy wycofali się do Wodzisławia, na podstawie informacji od wziętego do niewoli ich dowódcy ppor. Kurta-H. Petersona, to ok. 54 ludzi.

Straty oddziału Jana Wyglendy wyniosły 6 poległych i 12 rannych, natomiast wróg nie licząc wziętych do niewoli, miał 9 poległych.

Jeńcy zostali odprowadzeni do Piotrowic przez grupę Mikołaja Witczaka i przekazani żołnierzom Wojska Polskiego.

W czasie, gdy powstańcy przeszukiwali miejscowość aby wyłapać ukrywających się jeszcze nieprzyjacielskich żołnierzy, od strony Wodzisławia nadjechał niemiecki pociąg pancerny a na drodze od strony Łazisk pojawiła się kolumna samochodów pancernych i ciężarowych Grenzschtutzu.



Powstańcy podczas walk na terenie powiatu rybnickiego w I Powstaniu Śląskim. Sierpień 1919 roku.

W tej sytuacji oddział Jana Wyglendy został zmuszony do opuszczenia Godowa i wycofania się marszem ubezpieczonym w kierunku Skrabeńska a następnie do Piotrowic na Śląsk Cieszyński.

Rozbicie w Godowie oddziału Grenzschtutzu spowodowało, ze strony Niemców, natychmiastową akcję odwetową wobec cywilów podejrzanych o współpracę lub sympatyzowanie z powstańcami.

Na podstawie informacji zebranych przez dr Alojzego Pawelca w akcji odwetowej funkcjonariusze Sipo rozstrzelali w Godowie 3 osoby, w Jastrzębiu 5, w Markłowicach 2, w Koszycach 2 a w Radlinie 1 osobę.

Z wojskowego punktu widzenia walka o Godów nie miała większego znaczenia taktyczno-operacyjnego, ale było to drugie, po Paprocanach, zwycięstwo powstańców.

24 sierpnia 1919 roku, po ośmiu dniach krwawych i zaciętych walk, powstanie na Górnym Śląsku zostało przez Niemców krwawo stłumione. I Powstanie Śląskie, pomimo poparcia przez ludność narodowości polskiej nie przybrało masowego charakteru, a jego zasięg terytorialny był zbyt mały. Zwycięzeni, lecz nie pokonani powstańcy musieli schronić się na terytorium Polski. W wyniku tzw. „Beruhigung des Landes” (z j. niem. uspokajanie kraju) na obszarze objętym walkami, niemieckie władze wprowadziły stan obłężenia wraz z sądownictwem doraźnym. W wyniku tych działań zostało rozstrzelanych lub powieszonych ok. 2,5 tys. powstańców, a ok. 22 tys. osób narodowości polskiej zostało zmuszonych do opuszczenia Górnego Śląska. ■

Grzegorz Grześkowiak, dziennikarz specjalista falerystyki wojskowej. Od ponad dwudziestu pięciu lat zajmuje się historią Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, Policji Województwa Śląskiego II RP oraz Zbrodnią Katyńską. Autor i współautor książek, periodyków i artykułów o Śląskiej Policji II RP, Powstaniach Śląskich oraz martyrologii Śląskich policjantów w aspekcie Zbrodni Katyńskiej. Współpracuje z krajową i zagraniczną prasą historyczno-wojskową, muzeami, telewizją oraz stowarzyszeniami i grupami rekonstrukcji historycznej.

Grał już z Baltic Neopolis Orchestra, Płocką Orkiestrą Symfoniczną, oczywiście z poznańską Le Quatro Staggioni, z którą w 2012 roku zarejestrował cały muzyczny projekt; powstały wówczas słynne symfoniczne aranżacje przebojów (m.in. Sen o Wiktorii, Złoty Paw, List do M, Czerwony jak cegła, Whisky, Harley mój) jak i utworów z „evergreenowego cienia” (Szara mgła, Gorszy dzień, Do przodu czy Ćma barowa). Grał również z Orkiestrą Kameralną AUKSO poszerzoną o muzyków Filharmonii Śląskiej i NOSPR-u. Warto jednak zwrócić uwagę, że pomysły na połączenie sił formacji bluesowej z brzmieniem i aranżacją symfoniczną jest starszy o kilkanaście lat. Dżem – bo o nim oczywiście mowa – dwa razy, już bez Ryska Riedla (z Jackiem Dewódzkim w roli wokalisty) wystąpił w Operze Śląskiej w Bytomiu – w 1998 i 1999 roku – i wtedy też został zarejestrowany materiał na dwa krążki Dżemu w Operze. Przytaczam ten fakt nie tylko gwoli historycznej ścisłości, to właśnie w Bytomiu zaprezentowano aranżę śląskiego kompozytora, Andrzeja Marko, które były – o ile się nie mylę – także podstawą edycji w 2012 roku oraz wszystkich późniejszych koncertów i wykonań.

Nie inaczej sprawa się przedstawiała z wydarzeniem chyba długo oczekiwanym przez fanów bluesa, fanów Dżemu i jego mariażu z symfonicznym backgroundem (trzeba było, proszę państwa, wysłuchać tych niekończących się braw i owacji przed pojawieniem się muzyków na scenie, żeby pojąć skalę owego oczekiwania) – zespół zagrał w końcu z Narodową Orkiestrą Symfoniczną w Katowicach. Nawet gdyby okazja nie była niemal podwójna – sto pięćdziesiąte czwarte urodziny miasta i wigilia czterdziestolecia zespołu – należało to w końcu kiedyś zrobić. Zaanonsować tych sześciu muzyków na Scenie Koncertowej NOSPR-u, ogłosić to w mediach, po czym z zalem zawiadomić, że wszystkie bilety zostały już dawno wyprzedane.

No więc tak, nieśmiertelne aranże Andrzeja Marko wybrzmiały po raz kolejny, chociaż zmieniły się orkiestra, scena i dyrygent – NOSPR poprowadziła w piątek druga batuta Rosyjskiej Orkiestry Narodowej, należąca do Aleksandra Humali. Być może nawet oklapła nieco siła wokalu Macieja Balcara (jeśli porównać go z występami w Warszawie, Płocku czy Gdyni), ale nie aż tak, żeby na tym widowisko miało bardzo stracić. Głos to instrument kruchy, gdzie mu do litego drewna gitara Otręby i Styczyńskiego czy do trwałości stalowych strun, z którymi ovedrajwy, deleje i inne przestery robią, co zechcą. Być może jest nawet tak, że stare pudła i wiosła coś z cza-



Dżem symfonicznie

RADOSŁAW KOBIERSKI

sem zyskują, coś głębszego, jakieś inne szlachetne brzmienie, ale z głosem jednak bywa odwrotnie.

Taki Jerzy Styczyński na przykład w ogóle nie musi używać głosu. Jest jak Slash dla Guns'n'Roses – niestrudzenie pracuje w tle, a czasem na pierwszym planie (trudno powiedzieć, gdzie jest Slash a gdzie solówka, oni są po prostu jednością). Styczyński ani Beno Otręba nie muszą nawet nabiegać się po scenie. Balcara powinien się „pokazać”. Czasem wyskoczyć w górę, jak prawdziwy bluesman i rockman w jednym i niekoniecznie odnowić sobie przy tym kontuzję nogi. Więc jego, frontmana zespołu zadanie jest trudne, odpowiedzialne a nawet niegodne pozazdrosczenia. Nie będę się czepiał obniżonej mocy, chociaż przyznam, że kiedy Dżem na samym początku zagrał „A jednak czegoś żal”, a Maciej Balcara zaśpiewał „pomyślcie chłopcy, co nam zostało” i kiedy usłyszałem i odczułem chwilę później ten „spadek” mocy (nie wiem, być może przestrzeń NOSPR-u wcale nie jest łatwa dla wokalu, nie miałem okazji wcześniej tego doświadczyć, nie mam więc porównania), pomyślałem serio, że taki już będzie cały koncert. Ale nie. Dżem się rozgrzewał i rozgrywał – chociaż oczywiście aranże symfoniczne (symfoniczujące) mają swoje ograniczenia; dają fajny background w postaci zapętlonych smyczkowych fraz (Ćma barowa) albo rzucają jakąś uwerturę (Paw), jeszcze gdzieś indziej współtworzą główny temat, ale za daleko nie pozwolą odlecieć – Dżem rozkręcał się i rozchodził po kościach i wspomnieniach, które zdąży-

ły już mocno przyblaknąć. Nawet jeśli współtworzył je klimat kultowych dla Śląska i na Śląsku miejsc związanych z bluesem. Takiej Leśniczówki na przykład, Kocyndra, nie wspominając o Spodku. I prócz tych w oczywisty sposób ważnych spraw jak wykonanie, kontakt z publicznością (nawet w tak nobliwym miejscu jakim jest NOSPR Maciek Balcara pozostaje z ducha „Riedlowy”, kiedy rzuca ze sceny „Pora rozruszać tę budę”), zaproszenie do udziału pracowników hospicjum Cordis (to oni zapalili pierwsze światełka tego wieczoru, z reguły są tymi, którzy je gaszą), to właśnie aspekt wspólnotowy – śmiem twierdzić – jest zjawiskiem nadrzędnym. Utwory Dżemu są częścią tej mapy, w wielu miejscach już przetartej lub wręcz nieistniejącej, po której – jako jej rówieśnicy – poruszamy się łatwiej niż po współczesnych lokalizacjach. Na drogach tej mapy jesteśmy jak baletnicy (czy może nawet lunatycy), w nowoczesnym polu cała ta gracia gdzieś się gubi. Nawet jeśli mamy świadomość tego, że tamten spór z rzeczywistością dzisiaj już do niczego nie pasuje (choć pasuje bardziej niż nam się zdaje), że tamten świat szaro-szary spotkać dziś można wyłącznie w enklawach, z chęcią po raz kolejny do niego wchodzimy. To jest też odpowiedź na pytanie, dlaczego Dżem przetrwał. Dlaczego nie zmiotła go ze sceny popkultura i showbiz. Oni byli i są autentyczni. Autentycznie również pozostają oddani sprawom i źródłom bluesa. Dlatego żadna kooperacja nie jest w stanie tej muzyki wykastrować. Może być tylko mniej lub bardziej udanym tłem. ■



fot. Przemysław Jendroska



fot. Przemysław Jendroska



Żyją obok nas od zawsze. Czasem zaglądamy do nich na krótką chwilę. My, z głośniejszej codzienności, nieustannego pośpiechu, Oni zanurzeni w rzeczywistości pasywnej, pozbawieni pełni uczestnictwa w życiu, zamknięci w pozorach egzystencji, skazani na rezygnację i zależność od innych. Opowieść o nich zawsze jest zajmująca, bo odnajdujemy w niej sprawy, o których wiemy wszystko, znamy je na pamięć i za każdym razem nic z tym nie robimy.

W sztukach Martyny Majok, pochodzącej z Bytomia, amerykańskiej dramatopisarki polskiego pochodzenia, scenarzystki, laureatki nagrody Pulitzera w dziedzinie dramatu w 2018 roku; los ludzi wykluczonych społecznie i ekonomicznie, skazanych na marginalizację, niepełnosprawnych stanowi główny obszar zainteresowań. Tematami jej utworów scenicznych są również trudne doświadczenia emigrantki, jak się okazuje bardzo uniwersalne w swej wymowie, podejmowane także przez innych pisarzy, stąd niektórzy szukają powinowactw z twórczością Janusza Głowackiego, *nota bene* najpopularniejsza sztuka Majok *Cost of Living* została wystawiona w tym samym teatrze, w którym w 1987 roku pokazano jego *Polowanie na karaluchy*. Utwory artystki znajdziemy w repertuarach teatrów amerykańskich, ale również Kanady, Australii, Nowej Zelandii, a nawet Izraela czy Rumunii. Obecnie, po długim oczekiwaniu, trafiają także na polskie sceny.

W pierwszym pełnospektaklowym dramacie *Ironboud* (2014), inspirowanym historią matki autorki, śledzimy losy imigrantki z Europy Wschodniej, jej doświadczenia trudnego życia poza ojczyzną i nieustanne starania o poprawę sytuacji materialnej. W nowszym utworze *Queens* (2018) otrzymujemy portret dwóch pokoleń imigrantek z różnych krajów, z których każda na przestrzeni kilkunastu lat, wynajmowała tę samą suterенę w tytułowej nowojorskiej dzielnicy. Twórczość Martyny Majok to także jednoaktówki, scenariusze, czy praca nad muscalem o losach rodzin pracowników elektrowni atomowej w Czarnobylu wysiedlonych po wybuchu reaktora.

Ten zaangażowany w sprawy społeczne teatr, skupiony na problemach codzienności, stanowiący szczególne doświadczenie dla każdego cierpliwego widza, możemy teraz oglądać w Teatrze Śląskim. Wspomniany *Koszt życia* (2016) w adaptacji i reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, to rozwinięta sceniczna wersja jednoaktówki *John, who's here from Cambridge*, ukazująca relację dwóch par: bezrobotnego kierowcy ciężarówki Eddiego ze sparaliżowaną wskutek wypadku żoną Ani oraz chorego na porażenie mózgowe zamożnego studenta Johna i jego opiekunki Jess.

Bogajewska w sposób niezwykle prosty lepi z tego historię ludzkiego niespełnienia, tęsknoty za drugim, niekochania, rozpacz i nadziei na odmianą niesprawiedliwego losu. Ktoś powie, że to ciąg banałów, ale czy życie w formie nieobecności, ciągłego czekania na pomoc, walki o własne miejsce na ziemi nie zmierza się w tym



Martyna Majok „Koszt życia”, Teatr Śląski w Katowicach

fol. Przemysław Jendroska

Kwartet na słowa, gesty i milczenie

WOJCIECH LIPOWSKI

kierunku? Eddi, grany bardzo wyraziście i ekspresyjnie przez Mateusza Znanieckiego, powie w pewnym momencie do sparaliżowanej żony, że żyją zamknięci, odcięci od reszty świata niczym w papierowej torbie. Po dwudziestu latach i jednym roku wszystko się skończy, pozostanie już nie miłość, ale przywiązanie. Cierpiąca Ani we wzruszającej interpretacji Kariny Grabowskiej, wyrzuci go ze swego życia, po czym przyjmie na nowo, już w odmiennej konstelacji, gdy czule gesty opiekującego się nią męża będą mieć zupełnie inne znaczenie niż kiedyś, gdy była zdrowa. On sam jeszcze w prologu spektaklu wykrzyczy swą skargę do świata siedząc w wannie. Nie usłyszy go nikt.

Niepełnosprawny John w drugim wątku sztuki, grany przez budzącego podziw kunsztem aktorskim Kamila Suszczyka, spotka na swej drodze niespokojną i impulsywną opiekunkę Jess, w tej roli Aleksandra Przybył, przyjmie do pracy i rozpocznie grę, która oboje zaprowadzi donikąd. Jemu nie rozwikła żadnego problemu kobieta, która zjawiała się w kalekim życiu, z kolei Jess nie pomoże praca u Johna. Cóż z tego, że nabierze wprawy w codziennej pielęgnacji jego ciała skoro nie otrzyma nic, nawet możliwości zamieszkania na kilka godzin w mieszkaniu, aby poczuć czym jest prawdziwy dom. Próbę wejścia do niego podejmie dopiero w epilogu, ale już w innym miejscu życia z innym człowiekiem.

Sztuka Martyny Majok to propozycja dla widzów wytrwałych, zdolnych do empatii,

przygotowanych na spotkanie z ludzkim cierpieniem. Zajmując miejsce na widowni sceny kameralnej jesteśmy na wyciągnięcie ręki od trudnych spraw ludzkiej egzystencji, w które przyszło nam zajrzeć, a może odnaleźć własne doświadczenia. Trzeba skupienia, by w gąszczu urwanych zdań, czasem wykrzyczanych emocji, ale też spojrzeń, gestów i zwykłego milczenia postaci, odnaleźć drogę do sedna pokazanej przez Bogajewską na scenie rzeczywistości, która staje się naszym udziałem. Bo przestaje być w końcu istotne czy niepełnosprawni bohaterowie dramatu mają trudniej w życiu niż ich zdrowi partnerzy, czy los emigranta jest gorszy od ludzi żyjących w swoich ojczyznach. Wszyscy w równym stopniu ponoszą koszty własnych wyborów, podjętych kiedyś decyzji, zawiązanych relacji. I nigdy nie będzie inaczej, nawet gdyby można przeżyć wszystko od nowa. W wierszu *Albo* Julii Hartwig czytamy: „Mówią, że gdyby było im dane/przeżyć to wszystko po raz drugi/nie zmieniliby niczego/a przecież nie mają się za szczęśliwych/pogodzili się więc z życiem/i zdążyli pokochać siebie”.

Martyna Majok
Koszt życia
Reż. Małgorzata Bogajewska
Teatr Śląski w Katowicach
Premiera 20.09.2019



Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Wspomnienia rektora

Od zeszłego roku Instytucja Silesia przygotowuje się do jubileuszu 90-lecia katowickiej Akademii Muzycznej, prowadząc cykliczne spotkania z byłymi rektorami uczelni. Na początek bieżącego roku akademickiego przypadło spotkanie z urzędującym w latach 1978–1981 profesorem Leonem Markiewiczem. Prowadząca spotkanie Grażyna Brewińska odkryła, że Profesor jest rok starszy od Uczelni! Było więc co wspominać. Wysłuchaliśmy relacji na temat przebiegu rektorskiej służby Profesora, która przypadła na niezwykle trudny czas niepokojów społecznych i zapaści ekonomicznej kraju, potem zaś mieliśmy okazję wysłuchać opowieści o muzykach, z którymi Leona Markiewicza łączyły więzy przyjaźni i którym poświęcił swoje książki. Ożyli więc we wspomnieniach Michał Spisak, Grzegorz Fitelberg, Henryk Mikołaj Górecki i Karol Stryja. Jeszcze raz dowiedzieliśmy się, jak wspaniałymi byli muzykami i jak wiele trudu włożyli we współtworzenie wysokiej kultury muzycznej na Śląsku, i to nie tylko w oficjalnym obiegu instytucjonalnym, ale i w sferze ruchu amatorskiego. Specyfiką śląskiej kultury muzycznej jest bowiem, jak mocno podkreślił Markiewicz, to, że oba nurty cechuje profesjonalizm, stąd też łatwiej niż gdzie indziej o łączność między nimi. Pokazał to prelegent na przykładzie relacji między młodym Stryją jako dyrygentem chórów amatorskich (przynajmniej z nazwy) a prominentnym kapelmistrzem Grzegorzem Fitelbergiem. Także mówiąc o specyfice katowickiej uczelni muzycznej zwrócił uwagę przede wszystkim na sprawne funkcjonowanie kadr przygotowujących pracowników dla ruchu amatorskiego oraz na niezwykle wysoki poziom kształcenia muzyków-instrumentalistów orkiestrowych. Profesor poświęcił także sporo uwagi własnej koncepcji nauczania i upowszechniania muzyki, kładąc nacisk na pasję i indywidualny stosunek zarówno do samego przedmiotu, jak i odbiorcy wykładu czy prelekcji. Spotkanie przebiegło w bardzo serdecznej i pogodnej

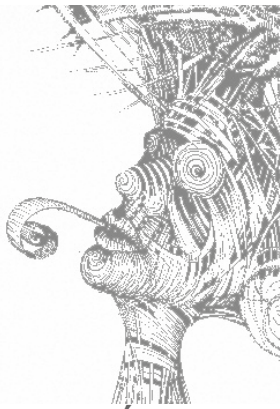
Profesor Markiewicz. Dekada muzyki

atmosferze. Muzyką uświetnili ją skrzypk Adam Mokrus i pianistka Krystyna Makowska.

Dekada muzyki w Cieszynie

Już po raz trzydziesty odbyła się w połowie października (16–25) transgraniczna Dekada Muzyki Organowej, Chóralnej i Kameralnej organizowana wspólnie przez Dom Narodowy w Cieszynie i Kass Střelnice w Českým Těšínie. Imprezę tę rozkręcił ongiś nieżyjący już organista Zygmunt Antonik, stąd większość jej imprez do dziś odbywa się w kościołach, do czego dwujęzyczne miasto nad Olzą wydaje się wprost stworzone, jako „mały Ołomuniec” – miejsce z mocno wpisana w pejzaż architekturą sakralną, stworzoną przez potężne niegdyś kongregacje klasztorne. Obecnie dyrektorką festiwalu jest Grażyna Durlow, związana z Instytutem Sztuk Muzycznych działającego tu Wydziału Zamiejscowego UŚ – przed reformą nazywającego się Artystycznym, po reformie – Wydziałem Sztuki i Nauk o Edukacji. Instytut pozostał jednym z najważniejszych partnerów imprezy. Dekadę otworzył występ orkiestry „Camerata Impuls” prowadzonej od lat przez Małgorzatę Kaniowską, następnie prezentowały się uczelniane zespoły. Wystąpiły cieszyńskie chóry kościelne obu wyznań, pojawili się też lubiani soliści. Przy udziale licznej publiczności przebiegł wtorkowy koncert „Muzyka mojej duszy”, w trakcie którego wystąpili kontratenor Marcin Ciszew-

ski, wirtuoz fletni Pana Dumitru Harea oraz organistka Ewa Bąk. Wszyscy troje są doskonale znani naszym słuchaczom, zarówno jako soliści, jak i grupa, którą tworzą, prezentując się na koncertach w całym kraju, ale szczególnie często w naszym regionie. We wnętrzu małego, starego kościoła św. Trójcy położonego w polskiej części miasta zabrzmiały utwory reprezentujące najróżniejsze style i epoki, zarówno znane, jak i rzadko grywane (tu na przykład zaprezentowana przez Ewę Bąk czteroczęściowa sonata Leopolda Mozarta (ojca Wolfganga Amadeusza). Nie zabrakło utworów Stanisława Moniuszki (zresztą obecnego i na innych festiwalowych koncertach) – wszak trwa jeszcze Rok Moniuszkowski. Usłyszeliśmy – w silnie nacechowanym emocjonalnie wykonaniu Marcina Ciszewskiego – przeróbkę pieśni *Ojciec nasz* (w oryginale kompozycja przeznaczona jest na cztery głosy) oraz – w wykonaniu Ewy Bąk – opracowanie organowe pieśni *Kto się w opiekę*, pochodzące ze zbioru *Pieśni Naszego Kościoła z harmonią Stanisława Moniuszki na organy ułożone do grania przy Mszy czytanej przez znaczone*. Zbiór ten ma charakter użytkowy, Moniuszko pisał swe opracowania dla przeciętnych, prowincjonalnych organistów, stąd ich faktura jest bardzo prosta, przeważnie figuracyjna. Utworek znakomicie broni się, jeśli go umiejętnie zarejestrować, co też udało się Ewie Bąk. Nie jestem zwolenniczką grania klasyki na instrumentach ludowych (do których należy fletni Pana, po naszymu zwana multankami), najbardziej zatem podobał mi się Dumitru Harea w folklorystycznej miniaturze *Skowronek* autorstwa rumuńskiego skrzypka i kompozytora Grigorasa Dimicu (oryginalnie przeznaczonej dla skrzypiec), zwłaszcza że wzbogacił ją zabawną improwizacją naśladującą ptasie głosy. W Cieszynie odbywa się dość dużo koncertów, a tutejsi słuchacze nie są naiwni. Tym bardziej cieszą entuzjastyczne oklaski, jakie zwieńczyły koncert.



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

„Pierońsko komedyjo”

Niebożowy to wieś w powiecie wodzisławskim, w gminie Lubomia. Mieszka w niej Łukasz Jerzy Porwoł – multiinstrumentalista, autor tekstów piosenek i kompozycji muzycznych, miłośnik teatru, pomysłodawca i autor wielu programów artystycznych wystawianych w regionie, człowiek pióra, autor wielu sztuk teatralnych. Ostatnią z nich, zatytułowaną „Pierońsko komedyjo”, wydaną w rodzinnej miejscowości, napisał rymem w gwarze śląskiej regionu wodzisławsko-rybnickiego. Przeczytałem ją z niekłamanym zainteresowaniem, bo jest ona bardzo cennym dokumentem językowym, zapisem żywej mowy tej części dialektu śląskiego. Z owym zapisem zaś autor poradził sobie świetnie!

Już imiona osób pojawiających się w sztuce wprowadzają nas w charakterystyczny śląski pejzaż językowy: Zeflik – to przecież typowo śląskie zdrobnienie Józefa, Bercik – Norberta, Roberta, Francik – Franciszka, Holdek – Reinholda, Lojzik – Alojzego, Tonik – Antoniego, Ziguś – Zygmunta Cila – Cecylii, Marika – Marii, Dorka – Doroty, Gustla – Augustyny, Wilym zaś, Rołza i Berbla to gwarowe warianty Wilhelma, Róży i Barbary.

Wszystko w tekście Łukasza Porwoła rozgrywa się skuli przyjazdu do rodziny Ani, córki Rołzy i Zeflika, z galanem pochodzącym z Sosnowca. Skuli, czyli „z powodu”, z galanem, czyli „z narzeczoną”. W akcję wprowadza czytelników Starzik – ojciec Zeflika, zwracający się do szumnie („ładnie, pięknie”) wystrójonych dziołch i szwarnie łobleczonych karlusów („ładnie ubranych chłopców”) bez zbędnego tuplikowania – „tłumaczenia”.

W mieszkaniu wszystko jest pokludzone – „uporządkowane, poukładane”, bo Ania galana piyrszy roz przikludzi – „pierwszy raz przyprowadzi”. Wszyscy

mają więc *mocka do zrobienio* – „wiele do zrobienia”, a i w wannie na tę okoliczność muszą się *cioprać* – „kąpać się”.

Zabiegana Rołza prosi farorza, by mówił do słuchawki *pomalszy* – „wolniej”, a męża, by *za mocka niy dogadywoł* przyszedłemu zięciowi. Ten z kolei skarży się na proboszcza: *Kej cie farorz we wsi trefi i te swoji ślypia w cia* („w ciebie”) *wlepi, to niy zawrze mu sie kopara, gorszy plotkorz, niż staro baba*.

Mniej lub bardziej ekspresyjne wyrażenia i zwroty – typowe dla gwar śląskich – pojawiają się w kolejnych dialogach: *gyombo łozrato* – „gębo pijana”, *chycne lato* – „upalne, gorące lato”, *boś dycki pod szalom piyrszy stoł* – „boś zawsze pod windą kopalnianą pierwszy stał”, *lepszy kajś na kuloku siupnyć* – „lepiej gdzieś ma okrągłym klocku usiąść”, *tobys mone nabroł ochoty* – „tobys może nabrał ochoty”, *co mie tak cołki czos szterujesz?* – „co mnie tak cały czas drażnisz?”, *skończ już drzistać te duperzwance!* – „skończ już mówić te bzdury!”, *już niy brónczysz jak stary dzied* – „już nie narzekasz jak stary dzied”, *już niy umioł poschróniać* – „już nie umiał pochować”, *jak sam przidzie, to go spierónia!* – „jak tutaj przyjdzie, to na niego nakrzyczę, zwyzywam go!”, *beblosz i beblosz* – „gadasz głupstwa”, *niy bydź taki pośmiywny* – „nie bądź taki prześmiewny”, *przismyczy ci warszawskiego lesera* – „przyprowadzi ci warszawskiego lesera”, *Marika mi wykłupie, że mie jeszcze niy ma w chalupie* – „Maryjka mnie wytrzępie, że mnie jeszcze nie ma w domu”, *kóniec ślepania!* – „koniec picia!”, *bydom sie na nim łonaczyć* – „będą się na nim kochać, uprawiać seks” (*łonaczyć* – jedno ze słów-znaczeniowych wytrychów), *skończyłś te swoji tyrtanie?* – „skończyłeś to swoje gadanie?”, *i żeś sie chcioł do mie przichlybić* – „i chciałeś mi się

przypodobać”, *my już w jednym pryku spali* – „myśmy już w jednym łóżku spali”, *niy bydom za mocka ślepać* – „nie będą za dużo pić”, *szłoby mocka ksióńzek naszkryflać* – „dałoby się wiele książek napisać”, *musza teraz amoloka pomymlać* – „muszę teraz wziąć do ust cukierek miętowy”, *jo szkopyrc* – „przewróciłem się”, *Marika mie potym w chalpie zejrzala* – „Maryjka mnie potem w domu ujrzała, zobaczyła”, *same grucze na gowie* – „same guzy na głowie”, *szły z Marikóm łobile zbierać* – „szły z Maryjką zboże zbierać”, *ciamia na łodpustach* – „jem na odpustach”, *ty lepszy Pón Bóczka niy sztychej* – „ty lepiej Pana Boga nie podjudzaj”, *na kerchów sie niy śpiychej* – „na cmentarz się nie spiesz”, *nikerzy drziszczom blank gupoty* – „niektórzy wygadują czyste głupstwa”, *niy bydź fest pofyrtany* – „nie bądź całkiem zwariowany”, *za mocka przy nim niy wajom* – „za bardzo przy nim nie narzekam”, *spóra piynkności szkodzi* – „złość piękności szkodzi”, *ale mie tropi rojmatyka* – „ale mnie męczy reumatyzm”, *niy ma wos to gańba, ślimtoki?* – „czy wam nie wstyd, beksy, nieudacznicy?”, *już żeś napochoł* – „już nabroiłeś”.

Są w „Pierońskiej komedyji” i takie charakterystyczne śląskie słowa, jak *moplik* – „motorower”, popularne wykrzyknienie *do pieróna kandeogo!*, *kamerlik* – „komórka”, *plachta* – „prześcieradło”, *zowitka* – „panna w dzieckiem”, *stromek* – „drzewko”, *latosi* – „tegoroczny”, *dorta* – „tort”, *szpajza* – „słodki deser z jaj”, *pultok* – „indyk”, *spowiedelnica* – „konfesonaf”, *mazelonka* – „spódnica” czy *zista* – „babka (ciasto)”.

Oczywiście, jak to w komedii, po licznych zawirowaniach akcji wszystko się dobrze kończy, tak że satysfakcji językowej towarzyszy pogoda czytelniczego ducha!



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„Wolny od bajta” czyli humanista z bojszowskiego Hollywood

Józef Kłyk jest osobą wyjątkową, nie-zwykłą. Człowiekiem wielu pasji, a nadto niezwykle pracowity i konsekwentny. Zawsze jest humanistą, interesuje go wszystko co wokół, a wobec „drugiego człowieka” jest ustawicznie otwarty. W konsekwencji spotkanie „z innym” to dla J. Kłyka zawsze nowe wyzwanie. Zauważyłem to już od pierwszego naszego spotkania.

Był to początek lat 80. ubiegłego stulecia, po polskim „karnawale Solidarności”. Jego osoba, sposób życia i bycia nasuwają mi skojarzenia z popularnym dziś poglądem filozofa Simona Blackburna o moralności. Dowodzi, że współcześnie coraz więcej mówimy i piszemy o niej. Ale, co z tego wynika? To, że prawie wszyscy pomijamy jedno, a mianowicie „uprawę” samego siebie. Niestety dziś ta postawa określa wielu z nas. Skoncentrowani jesteśmy na własnym „ja”. Czyli budowaniu specyficznej „tożsamości samolubstwa”. Natomiast konsekwentnie rezygnujemy z bogactwa doświadczeń kulturowych i otwarcia „na drugiego”.

Kłyk jest natomiast przeciwieństwem tej współcześnie dominującej tendencji. Jego życie to bezustanny ruch, aktywność, współdziałanie z innymi, zarażanie pasją. Przekonałem się o tym już w czasie owego pierwszego spotkania. Nastąpiło ono dzięki Alojzemu Lysko — pisarzowi, twórcy oryginalnego nurtu literatury regionalnej oraz malarzowi, ekspresjonście Romanowi Nydze. Wszyscy trzej pochodzą z ziemi niezwyklej, owej jak powiada Kłyk „uduchowionej ziemi”. To zaś konkretnie przestrzeń: Bojszów i Bierunia. To również tereny, które niegdyś w latach międzywojnia badał znakomity dialektolog profesor Stanisław Bąk. Wielokrotnie mówił o tym skrawku ziemi studentom wrocławskiej etnografii. Był też odkrywcą niezwyklego doku-

mentu, czyli pamiętnika z lat 1677-1837 znacznych mieszczan bieruńskich Franciszka Miałskiego i jego nieznanego z imienia syna. Dokumentu, który miałem przyjemność opracować i wydać w 1994 roku właśnie w Bieruniu.

Dziś Józef Kłyk — jest przede wszystkim identyfikowany z działalnością filmową. Wszak sam mówi o sobie: „*serce mam w filmie*”. Taki jest też tytuł książki Grzegorza Sztolera o tym artyście, pracy wydanej w tym roku. Początek kariery filmowej Kłyka to tworzenie obrazów przynależnych do nurty określanego w literaturze fachowej jako — fanfilmy. Z tego nurtu pochodzą znakomite obrazy artysty o przygodach Charlie Chaplina czy Bustera Keatona, Harolda Lloyda. Oczywiście wzorem pierwowzorów jest to kino nieme. A potem pojawiły się już tworzone przez Kłyka niezwykle filmy kowbojskie. A raczej konkretnie „śląskie westerny”. Konkretnie te o losach Górnoślązaków w amerykańskim Teksasie. Tam leży słynna osada Panna Maria do której przywiódł Górnoślązaków z Płużnicy Wielkiej pod Strzelcami Opolskimi ojciec Leopold Moczygemba. I we wspomnianej osadzie w Wigilię 1854 roku odprawił pierwszą mszę. To wszystko symbolicznie ciąży nad twórczością artysty. Znane filmy z nurtu „śląskich westernów” to zwłaszcza trylogia Kłyka. Czyli konkretnie „*Człowiek znikąd*” z 1980/81 roku, „*Full śmierci*” z lat 1984/86 i „*Wolny człowiek*” z lat 1988/1991. Ta trylogia czyli „*Szlakiem bezprawia*” opowiada o przygodach synka z Bojszów Wawrzyńca Złotko w dalekim Teksasie. W tym dziele linia, granica między dobrym a złem jest jednoznacznie wyznaczona. Jak w tradycyjnym śląskim systemie aksjo-normatywnym, regionalnej „ludowej ontologii”. I jak w klasycznych filmach kowbojskich. Tu zaznacza się i prawo boskie i ludzkie,

ale uwikłane w dramaty codzienności, i dramaty konkretnych wyborów. Ale Kłyk nie uchronił się też od innych tematów np. od widma leżącego w pobliżu obozu Auschwitz-Birkenau. W „*Różańcu z kolczastego drutu*” przedstawił opowieść o zbiegu z obozu. Konkretnie o aktorze Augustynie Kowalczyku. Podjął też temat dramatu Górnoślązaków wcielonych do Wehrmachtu. I wiele innych.

Nieodżałowanej pamięci redaktor Jan Lewandowski pisał o Kłyku przed laty, konkretnie w 2007 roku, to właśnie na łamach naszego miesięcznika — że „*jego dzieło jest nie tyle nawet fenomenem artystycznym, co kulturowym. Bo Kłyk jest artystą potrafiącym gromadzić przy swoich filmach społeczność Bojszów, co z pewnością warto jest zauważenia...*”. A dziś Kłyk wyjaśnia mi, że tak było drzewiej, kiedy istniała prawdziwa „magia kina”, kiedy sąsiedzi, znajomi i przyjaciele chętnie chcieli brać — i to bezinteresownie i z pasją — udział w jego przedsięwzięciach.

Z pewnym natomiast rozżaleniem, ale i zrozumieniem dodaje, że teraz wszystko jest inne niż przed laty i już każdy ma swoją komórkę i może kręcić, co chce. Nie dziwny się jednak, że artysta tęskni za dawnymi laty. Tymi z dzieciństwa i tymi późniejszymi. Wtedy kiedy jako bajtel *durch loto!* po Bojszowach, po łąkach nad Korzyńcem. I wtedy kiedy tworzył swoje filmy.

Wówczas był i producentem, organizatorem planu, scenarzystą, reżyserem, operatorem kostiumologiem, scenografem, tragarzem... Po prostu przy realizacji filmu — wszystkim.

Kłyk jest klasykiem filmu amatorskiego i twórcą niezwyklej mitologii górnośląskiej, która skłania do refleksji. Bo namysł artysty nad tym co było i jest, a może nawet — co będzie jak zawsze fascynuje publiczność? ■

PORANEK, WIECZÓR

Lodówka zamknięta. Zamknięta. Drzwi dociśnięte. Kontakty puste. Puste. Ekspres odłączony. Piekarnik wyłączony. Gałki w górę. Piec się nie pali. Nie ma ognia. Ręka mi nie spłonęła. Nic nie czuć. Gałki w górę, w górę, w górę, w górę. Okna zamknięte. Woda się nie leje. Kontakty puste. Żelazko zimne. Odłączone. Wtyczka leży na podłodze. Wbija mi się w rękę. W łazience kontakty puste. Wtyczki na podłodze. Kontakty puste. Mogę wychodzić. Biorę klucz. Wychodzę. Wkładam. Przekręcam. Chowam klucz do kieszeni. Nie da się wejść. Zamknięte. Chciałabym wejść. Ale nie da się. Nie da się wejść. Nie da się wejść. Nie da się wejść. Zamknięte. Chciałabym wejść. Ale się nie da. Więc zamknięte. No nie. Zamknięte. Nie da się wejść nie da się wejść, nie da się wejść. Szarpie za klamkę i nie da się wejść. Znaczący to, że zamknięte. Chciałabym wejść, ale nie da się wejść. Mogę iść, no nie.

Po przeczytaniu *Pokojewski i Kuferkowicz*

Rozumieć można to na dwa sposoby. Cenię sobie swój spokój i z chęcią zajmowałabym się wygłaszaniem zawilej przemowy do własnego kota jeżeli taka sposobność by się nadarzyła, gdyż na chwilę obecną kota nie posiadam. Mogę, póki co, zajmować się przemową do sansewieri, aloesu, sukulentów, draceny, roszarki, lawendy, melisy lekarskiej – zwierzęta to nie są, ale bądź co bądź organizmy żywe. „Nie posiadam bystrogo rozumu jak Kuferkowicz” – takie przeświadczenie siedzi mi w głowie. Trudno zdecydować, muszę poprosić o „tydzień do namysłu”. Rozpaczam analizę wszystkich możliwości. Okazuje się, że każda mnie przerasta. Postanawiam więc nie robić nic. Zostaję w swoim pokoju. Jest ciekawszy.

MIASTO FRYZJERÓW I OBUWIA

Pomieszczenie przesiąknięte było intensywnym zapachem kadzidełek i tanich wód perfumowanych. Zewsząd otaczały mnie półki i kosze wypełnione wątpliwej jakości bielizną, odzieżą, artykułami gospodarstwa domowego, specyfikami do higieny i makijażu oraz przyborami szkolnymi, natomiast w gąszczu doniczek znaleźć można było i obrazy w atrakcyjnych, jak też cały pozostały asortyment, cenach. Po chwilowej obserwacji nasuwał się wniosek, że miejsce to zawdzięcza swój byt paniom wieku już ponad średniego, pragnącym stale uzupełniać swe włości mniej lub bardziej niezbędnymi im wynalazkami. Napawam się tym miejscem.

Słyszę:

- torebkę jakąś da mi pani?
- nie mamy
- ale taką foliową
- nie ma już takich
- ale to kupić nie mogę, jednorazowe takie?
- nie ma już takich, nie sprzedajemy już reklamówek
- jak to, to jak ja to zabiorę?

PANI WARZYWNA

Pani warzywna wyglądająca zdrowo, o włosach buczanych, o twarzy w kolorze marchewki. Na udach ukośne pasy uszyte z transparentnego materiału. W ręce dwie smycze, na smyczach dwa psy. Pochłonięta w pełni pozowaniem do fotografii, którą sama siebie i swoje pieski pragnęła uraczyć. Po wykona-

niu czynności zadowolona warzywna pani, teraz już owocowa, z bananową twarzą.

KAŻDY ŻOŁNIERZ DOBRZE WIE, BIJATYKA FAJNA JEST

Ciepłe lipcowe popołudnie. Dziecię płci męskiej korzysta z dobrodziejstwa letnich wakacji i przyjemnej pory roku. Porusza się żwawo i dynamicznie. Brnąc w labiryncie żywopłotu podskakuje, kolano sięga prawego biodra by zaraz nastąpiła zmiana i lewe dosięgało lewego. Ćwiczy mięśnie. W dłoniach dzierży coś na kształt badyła. Ramiona pracują, ich ruchy imitują, jak można wnioskować po chwilowej obserwacji, walkę z wrogiem jawiącym się w wyobraźni chłopca. Jednak mimika jego twarzy nie odpowiada mimice jaka zwykłaby wyrażać zacięcie i zew walki. Młoda twarzyczka rozpromieniona jest dziecięcą szczęśliwością i beztrudnością. Usta otwierają się i zamykają wydając dźwięk składający się w melodię ze słowami „Każdy żołnierz dobrze wie, bijatyka fajna jest”. Wokół niego szare betonowe kostki mieszkalne przypominające klocki dla wielkoludów, w nich jeszcze mniejsze kostki, ściany i podziały. Mieszka w jednej z nich.

PANI TUBA

Przychodnia senna mara. Wewnątrz panuje atmosfera przywodząca na myśl sny o przeszłości. Na przykład te o powrocie do szkoły podstawowej i mającym odbyć się za chwilę sprawdzianie, na który nie jest się przygotowanym. Kolejka do rejestracji. Pani słusznych rozmiarów i słusznego głosu dopomina się o ksero swojej dokumentacji medycznej nie wykazując przy tym ani krzty cierpliwości i wyrozumiałości. W międzyczasie jej miejsce w kolejce, to jest miejsce tuż za mną, zajmuje kolejna pacjentka, nieświadoma tego, co właśnie uczyniła. Pani wnioskująca o kopię kartoteki widząc, co się wydarzyło, zmierza w jej kierunku krokiem zdecydowanym i ciężkim. Ruchy ma zamasztyte, jej ciało wygląda na zwarte i gotowe do walki. Głosem podobnym do głosu kibica na meczu piłki nożnej dodatkowo przepuszczonym przez tubę, rzeźbi: „Ja tutaj stoję! Ja tutaj stałam!” Jej twarz synchronizuje się w tym momencie nieprawdopodobnie z dźwiękiem, jaki z siebie wydaje.



Aleksandra Rajnisz, „Biznesmen”, 100x12 cm.

Olga Tokarczuk na Olimpie

DARIUSZ NOWACKI

Zapytano kiedyś pewnego intelektualistę, co myśli o eutanazji. Ten był chyba w dobrym nastroju, toteż dowcipnie odpowiedział: zależy, kogo ma pan na myśli. Z Literacką Nagrodą Nobla jest bodaj podobnie: jeżeli uhonorowano naszą faworytkę lub naszego ulubieńca, mówimy, że świetnie, że niezmiernie nas ów werdykt cieszy, że się spodziewaliśmy i że w ogóle nader słuszna to decyzja. Ale jeśli wyróżnienie przyznawane przez Akademię Szwedzką trafia w ręce pisarza bądź pisarki, za którym/którą nie przepadamy, robimy to, co zwykle się robić w takich sytuacjach: wymieniamy gigantów literatury światowej, a tych był legion, którzy Noblem nie zostali uhonorowani.

10 października bieżącego roku pojawił się zaskakujący (piszący te słowa naprawdę był zdziwiony) wariant tej nieufnej, naznaczonej dystansem reakcji. Oto Antoni Libera, warszawski pisarz i krytyk literacki, poproszony przez Telewizję Republika o komentarz w sprawie wyróżnienia Olgi Tokarczuk literackim Noblem za rok 2018, wymienił nazwiska dziesięciu polskich autorów tworzących w XX wieku (od Leśmiana do Mrożka), którzy nie dostąpili tego zaszczytu. Po tej wylizance powiedział: oto cały mój komentarz w tej sprawie.

Umówmy się, że opisana tu reakcja na radoną przecież wiadomość ze Sztokholmu jawi się jako, delikatnie rzecz ujmując, nietypowa. W końcu idzie o honor absolutnie wyjątkowy, o sytuację extraordinaryną: Nobel trafił do Polski, niech biją wszystkie dzwony! Bóg jeden wie, kiedy trafi ponownie. W nowszej dobie zdarza się to mniej więcej raz na dwadzieścia lat (średnia obliczona na podstawie interwału, jaki dzieli Nobla dla Czesława Miłosza od Nobla dla Wisławy Szymborskiej, a następnie odcinka między tym ostatnim i najnowszym). Zdarza się, ale przecież żadnej pewności nie ma. Czy zatem naprawdę trzeba dowodzić, że Literacka Nagroda Nobla to wyróżnienie największego kalibru? Że przyznanie tego lauru to rodzaj świeckiej kanonizacji? Że dla języków i kultur peryferyjnych sprawa to naprawdę wielka, ujmowana w kategoriach dumy narodowej, postrzegana jako niezwykle triumf lokalnego piśmiennictwa?

Jednakowoż reakcja Libery – jawnie niezycziwa, no i chyba absurdalna – wskazuje na coś istotnego i zarazem oczywistego: literacki Nobel to nagroda światowa w sensie ścisłym, wyłącznie na światowej recepcji ufundowana. Chcę przez to powiedzieć, że dobra – świetna, znakomita! – obecność prozy Tokarczuk w polskiej świadomości czy-



fot. Martin Krąpi

telnicznej, absolutnie wyjątkowa (królewska!) pozycja tej pisarki na naszej scenie literackiej, jej popularność czy sympatia, jaką była i jest w Polsce otaczana, nie miały dla szwedzkich akademików praktycznie żadnego znaczenia. Wiadomo, że uznanie trzeba zdobyć tam, nie tu, acz to drugie temu pierwszemu nie wchodzi w parady.

Oczywiście bez nadwiślańskich zachwytności nie byłoby otwarcia na świat, wszak zagraniczni wydawcy w pierwszej kolejności przyglądają się temu, co się dzieje na tutejszym poletku literackim, kto jest chętnie czytany, często nagradzany itd. Na podstawie tych informacji podejmują decyzje o publikowaniu przekładów. Do obecności prozy Olgi Tokarczuk w przekładach na języki obce za chwilę nawiążę, tymczasem muszę się zmierzyć z wątpliwością elementarną, a mianowicie z pytaniem, czy rekonstruowanie dotychczasowej drogi twórczej naszej noblistki, wymienianie tytułów jej dzieł, odsłanianie zawartości fabularnej utworów sygnowanych jej nazwiskiem, przypominanie, jak te utwory były czytane i komentowane (w Polsce), nie będzie czasami obraźliwe dla czytelników tego artykułu. Obawiam się, że będzie... Tego typu „okolicznościowa” prezentacja siłą rzeczy koresponduje z zabawnym memem, jaki znalazłem w sieci. Przedstawia on pewną celebrytkę wpatrującą się w ekran laptopa, która – jak stanowi tekst wmontowany w obrazek – próbuje się dowiedzieć, jakie płyty nagrała Olga Tokarczuk.

Bez wątpienia twórczość autorki *Biegunów* jest u nas odosobnionym fenomenem, i to w najistotniejszym wymiarze: pisarka ta, najpóźniej od roku 1996, kiedy ukazała się jej pierwsza bestsellerowa powieść, czyli *Prawiek i inne czasy*, ma swoją dużą, wierną publiczność. Tylko o niej mogę powiedzieć, że nie znam nikogo, kto by znał kogoś, kto nie czytał jej prozy. A zatem zamiast artykułu „okolicznościowego” o charakterze „akademijnym” (od „akademii ku czci”) proponuję kilka uwag na temat prozy Tokarczuk – oczywiście w kontekście wielkiego honoru, jaki spotkał polską pisarkę, no i – co pewnie najważniejsze – przydarzył się naszej literaturze. Chcę się skoncentrować na jednym pytaniu: co przekonało szwedzkich akademików?

Od razu trzeba oznajmić, że poza dziwnym kalamburem („za wyobraźnię narracyjną, która wraz z encyklopedyczną pasją prezentuje przekraczanie granic jako formę życia”), żadną wiedzą, jak na razie, nie dysponujemy, toteż poniekąd skazani jesteśmy na spekulacje. Jak choćby te wiążące wyróżnienie Olgi Tokarczuk z koniecznością uzdrowienia nobliwej – nomem, omen – instytucji, która znalazła się w głębokim kryzysie, po prostu z potrzebą przywrócenia autorytetu Akademii Szwedzkiej. Rzecz jasna – słyszał o tym każdy – po skandalu obyczajowo-przeciekowym, który spowodował, że w roku 2018 literackiego Nobla nie przyznano. Wymiar obyczajowy owego skandalu, czyli nadużycia seksualne wobec kobiet, podsuwał tę oczywistą

myśl, że co najmniej jedna z dwu nagród (zaległa za rok 2018 i aktualna za rok bieżący) musi trafić do autorki, i to najlepiej jakoś tam feminizującej, ideowo zaangażowanej, politycznie wyrazistej. Nawiasem mówiąc, niektórzy spodziewali się nawet dwu laureatek, i to nie tylko ze względu na wspomniane nadużycia – także z uwagi na coraz głośniejsze artykułowane pragnienie zerwania z tradycją, która jest dziś źle postrzegana: od 1901 roku uhonorowano, nie wliczając najnowszej laureatki, zaledwie czternaście autorek.

Podanych tu spekulacji nie łączyłbym z czymś, co zwykliśmy nazywać kryteriami pozamerytorycznymi. W dziejach interesującej nas nagrody zawsze było tak, że triumfator był dobierany – by tak rzec – intencjonalnie, a jego dzieło wpisywało w pewien projekt ideowy pozwalający się skojarzyć z pedagogiką społeczną. Już wyjaśniam, co mam na uwadze.

Zacytowany przed chwilą kalambur wskazuje, że szwedzcy akademicy mogli znaleźć szczególne upodobanie w *Biegunach* (2007) i *Księgach Jakubowych* (2014). Wprawdzie do obu powieści tajemnicze formuły jakoś tam pasują, ale chyba bardziej do tej pierwszej pozycji, która zachwycała czytelników i krytyków angielskojęzycznych, czego najbardziej świadectwem brytyjskie wyróżnienie (wspólnie z tłumaczką, Jennifer Croft) Man Booker International Prize. Powieść *Bieguni* – dodajmy – ładnych kilka lat wcześniej została przełożona na język szwedzki, jeszcze życzliwiej zostały przyjęte przez Szwedów *Księgi Jakubowe*; dość oznajmić, że wpływowy dziennik „Svenska Dagbladet” uznał tę publikację za jedną z najważniejszych książek roku; ponadto autorka i jej tłumacz otrzymali prestiżową nagrodę sztokholmskiego samorządu. Istotna jest także światowa kariera powieści *Prowadź swój pług przez kości umarłych* (2009); jeśli idzie o pośrednictwo języka angielskiego, całkiem świeża, gdyż powieść ta (w przekładzie Antonii Lloyd-Jones) ukazała się stosunkowo niedawno, zbierając entuzjastyczne recenzje (te, rozsiane w prasie brytyjskiej i amerykańskiej, sypią się zresztą do dziś).

Wymiary i zakresy ideowego zaangażowania naszej pisarki zostały perfekcyjnie odczytane przez zagranicznych czytelników i zawodowych opiniodawców. Z *Plugiem*... sprawa najprostsza, ponieważ niepodobna nie zobaczyć w tej powieści manifestu ekologiczno-feministycznego, z mocnym akcentem położonym na kwestii praw zwierząt. *Bieguni* przynoszą pochwałę otwartości i tolerancji, są apologią dobrego, twórczego niezakorzenia; fascynacja innymi kulturami jest tam częścią otwartego projektu tożsamościowego o wielkiej mocy emancypacyjnej. Wydobyta z odległej XVIII-wiecznej przeszłości herezja Jakuba Franka może, a nawet powinna stać się pretekstem do prze-

myślenia i przewyższenia porządków narodowo-religijnych; kontekst emancypacyjny także i tu (w *Księgach*...) jest ewidentny. Rzecz traktuję hasłowo, bo przecież nie będziemy w tym miejscu rekonstruowali przesłań i pouczeń, z jakimi przysłało do nas pi-sarka; czytaliśmy te powieści, więc z grubszą wiemy, o co chodzi.

Cała różnica między krajową i światową recepcją prozy Tokarczuk, jeśliby ograniczyć rozpoznanie do owych trzech tytułów, sprowadza się do tego, że postulaty czy idee z zakresu pedagogiki społecznej wybrzmiały w lekturach cudzoziemców wyraźniej. Śmiem twierdzić, że znalazły pełniejsze zrozumienie. Innymi słowy, szwedzcy akademicy chcieli powiedzieć światu, że takiego pisarstwa, jakie uprawia Tokarczuk, ów świat dziś pilnie potrzebuje. Ich odlegli poprzednicy mówili zresztą to samo, kiedy – dajmy na to – uhonorowali Noblem Władysława Reymonta za *Chłopów*. Od wielu lat, wtrąćmy nawiasowo, noblowskie jury jest ostrożne: w uzasadnieniach werdyktów asekurancko nie wymienia konkretnych tytułów powieściowych. Tak czy inaczej zarówno w 1924 roku, jak i w roku 2018 istniał pewien wzorzec (kiedyś bardziej estetyczno-ideowy, obecnie głównie ideowy), czyli noblowskie wyobrażenie, czym mistrzowska twórczość ma być (np. „wybitnym eposem narodowym” jak *Chłopi*), z jakimi wartościami humanistycznymi i moralnymi należy ją łączyć, a nade wszystko, w jaki sposób realizuje zapis regulaminowy wyciągnięty wprost z tzw. testamentu Alfreda Nobla (nagrada „za wybitną pracę na rzecz idealistycznej tendencji”). Konkluzja nie może być tedy inna: w przypadku Nagrody Nobla kryteria, demaskowane niekiedy jako rzekomo pozamerytoryczne, są niezwykle merytoryczne. I doprawdy nie wiadomo, dlaczego szwedzkie wyróżnienie jest permanentnie kojarzone z nagrodą dla kogoś, kto wygrał ogólnoswiatowy konkurs literackiej piękności. Zaiste, to zupełnie inne zawody.

Casus Olgi Tokarczuk pokazuje, że obecnie nie ma co liczyć na „odkrycie” czyjeś twórczości literackiej; na pewno nie w odniesieniu do pisarzy europejskich. Zanim nasza noblistka została wyróżniona Noblem światnie funkcjonowała na europejskiej scenie literackiej, acz przekładów na języki „egzotyczne” (np. chiński czy japoński) także nie brakowało. Mam na uwadze nie tylko translacje na większe i mniejsze języki Europy (tych było przeszło dwadzieścia), ale przede wszystkim stałą obecność naszej autorki na rozmaitych międzynarodowych festiwalach literackich i spotkaniach pisarzy, a także zagraniczne pobyty stypendialne i studyjne, z których to rezydencji często korzystała. Siatka kontaktów, którymi przed 2018 rokiem dysponowała, wydaje się imponująca (trochę na ten temat wiem z całkiem prywatnych źródeł). Po-

twórzmy: „odkrycie” nie jest chyba dziś możliwe, premia za dobrą obecność, za światowość nie tyle pożądaną, ile po prostu praktykowaną – jak najbardziej.

Nie wspominałbym o bodaj niemożliwym „odkryciu”, gdyby nie to, że w komentarzach do interesującego nas werdyktu, podniosły się głosy, że oto Olga Tokarczuk utorowała literaturze polskiej drogę na światowe salony. Aż chce się zapytać, komu – tak z imienia i nazwiska. Współcześnie nie mamy nawet pół pisarza tak świetnie osadzonego na europejskiej scenie literackiej, tak intensywnie obecnego poza granicami kraju. Podkreślę: duża liczba przekładów (np. Andrzej Stasiuk ma ich sporo) o sukcesie nie przesądza, choć jest warunkiem wstępnym. Liczy się wszechstronna obecność, powszechna rozpoznawalność, w kręgach eksperckich czy opiniodawczych nade wszystko.

W związku z tym, co przed chwilą zanota-wałem, obawiam się, że na kolejne noblowskie święto naszej literatury przyjdzie pocze-kać dłużej niż dwadzieścia lat. I już całkiem na koniec pozwalam sobie na myśl, która również wydaje się tyleż oczywista. Gigantyczny, przede wszystkim osobisty sukces Olgi Tokarczuk to także wielkie brzemię. Nieprzypadkowo laureat Nobla to po niemiecku Nobelpreisträger, czyli morfologicznie rzecz ujmując, „nosiciel”, „dźwigacz”, nasz „tragarz”. „Ciężenie” Nobla jest nieuniknione i naznaczone osobliwym okrucieństwem, a myślę o tym „ciężeniu” wyłącznie w perspektywie – by tak rzec – książki po Noblu; z publicznym, pozaliterackim istnieniem (te wszystkie wywiady, gale, akademie, celebry) nasza noblistka na pewno sobie poradzi. Szczegze mówią, nie starcza mi wyobraźni, by imaginacyjnie ogarnąć kształt artystyczny i zakrój problemowy owego dzieła po Noblu. Zwłaszcza że krajowa publiczność czytająca stała się chyba wybredna, o czym świadczy rezerwa, z jaką przyjęto tom prozy Tokarczuk opublikowany w ubiegłym roku, czyli *Opowiadania bizarne*. Cóż, literacki Nobel zmienia bodaj wszystko, toteż i owa wybredność może ustąpić. Oby nie. Do tej pory było przecież tak, że każda nowa książka Olgi Tokarczuk nie tylko wymuszała lekturę, ale i zachęcała do zajęcia jakiegoś stanowiska wobec tego, co przeczytaliśmy. Mogę tu mówić za siebie – towarzyszę tej prozie od samego początku, wypowiedziałem się na piśmie na temat większości prac dzisiejszej noblistki (komentarzy było, jak w głowie przeliczam, co najmniej dziesięć), kilkakrotnie niechętnie, raz w trybie nieledwie pamfletowym, że trzy razy bez mała entuzjastycznie, ale zawsze z pełnym przekonaniem, że... warto rozmawiać. Pokażcie mi drugiego polskiego autora, który potrafi wymusić lekturę (ta staje się obowiązkiem!), którego jednak nie da się zignorować. Na tym także polega fenomen Olgi Tokarczuk, która od 10 października 2018 roku mieszka na Olimpie.

Wyróżnień przyznawanych przez Akademię Szwedzką nie należy interpretować jedynie przez kontekst społeczno-polityczny świata, konkretnego momentu w historii państwa, narodu, choć oczywiście trudno całkowicie negować te okoliczności. Komentarze polityzujące, łączące uhonorowanie Olgi Tokarczuk Noblem w dziedzinie literatury z powodu jej poglądów politycznych, są jednak mocno przesadzone. W świecie, w którym posiadanie wyrazistego, indywidualnego głosu grozi raczej szczeniowaniem niż docenieniem, decyzja o nagrodzie dla polskiej autorki wydaje się tym bardziej ważna i cenna. Należy doprecyzować też, że pewna intencjonalność w wymowie, związana z przyznawaniem wyróżnienia przez Akademię Szwedzką, towarzyszyła poprzednim polskim noblistom – najbardziej wyrazistym przykładem jest nagroda dla Czesława Miłosza, przyznana w roku 1980, tuż przed wybuchem Solidarności.

Komitet Noblowski docenił prozę, która nieraz odwraca hierarchię, uwrażliwia na inność, słabość, starość. Tokarczuk przekracza granice, lecz jest to zabieg intencjonalny, dający możliwość innego „pomyślenia świata”, wyjścia z zastanych schematów, podjęcia refleksji. Literatura dla polskiej pisarki jest przestrzenią spotkania, „szczególnym rodzajem wyrafinowanej komunikacji między ludźmi”, a nie areną manifestacji politycznych. Wpisywanie jej prozy w jakiegokolwiek nurtu ideologiczno-światopoglądowe jest zabiegiem wykluczającym, stanowiącym odwrotność tego, co proponuje autorka.

Tokarczuk stara się uwrażliwić czytelnika na inność rozumianą szeroko – jako odmienną poglądów, zagubienie w rzeczywistości, chorobę, cierpienie. W swych książkach przekazuje czytelnikowi konkretne lekcje życia, i robi to w sposób autentyczny, szczerzy, prawdziwy. Rozsadza skostniałe struktury budujące naszą rzeczywistość, trafnie punktuje paradoksy świata, koncentrując się nie tylko na czasach współczesnych. Poprzez działalność fikcyjotwórczą podejmuje także trudne tematy społeczne, zwracając w ten sposób uwagę opinii publicznej i szarego człowieka. Wyjątkowym rysem jej twórczości jest zainteresowanie wykluczonymi. „Nie dyskutuj z nią, to wariatka” – tymi słowami Janina Duszejko, ekscentryczka, protagonistka walcząca o prawa zwierząt, zostaje wypchnięta poza obręb dyskursu, kiedy protestuje przeciw polowaniu na zwie-

rzęta. Tokarczuk proponuje czytelnikowi, jak nazwała zabieg ten Katarzyna Kantner, „eksperyment tożsamościowy”, polegający na „wchodzeniu w skórę” tekstu. Poznanie myśli, wartości, którymi kieruje się człowiek „z marginesu”, „wariat”, „odmieniec”, a także pogłębiony portret psychologiczny postaci i eksperyment związany z próbą wejścia w skórę drugiego człowieka – wszystko to zostawia w czytelniku ślad. Tokarczuk nie tworzy uniwersum idealnego, utopii – pokazuje natomiast, że różnorodność jest bogactwem, a empatyczne spojrzenie na świat i odczuwanie go właśnie w taki sposób nie musi być mrzonką. Performatywny wymiar tej literatury prowadzi do ewolucji poglądów, niekoniecznie łączącej się z jakąkolwiek formą radykalizmu, lecz związaną z narodzinami czytelnika urzeczywistniającego się w procesie lektury. Akt lektury jest bowiem czynnością porządkowania świata, a komunikacja, jaka dokonuje się za jej pośrednictwem, jest znacznie głębsza i subtelniejsza niż przekazy medialne czy dyskusje społeczne (a raczej wykrzykiwanie „naszych” prawd). Tokarczuk pokazuje, że trud lektury i namysł nad tekstem oddaje trud ludzkiej egzystencji.

Bohaterowie opowieści pisarki często nie są „ukończeni”, autorka pozostawia im wolną przestrzeń. Chce także, aby żyli własnym życiem, nie zawsze też umie ich zrozumieć; po czasie stają się oni dla niej nierozpoznawalni, wręcz obcy. Noblistka przyznaje, że pisanie traktuje jako możliwość „gry ze swoją tożsamością” – jest to wątek spajający jej twórczość. Nie stanowi on jednak aktu agresji wobec zaistniałego porządku świata, lecz jest propozycją innego myślenia o świecie. Można uznać, że w pewien sposób każda książka rozlicza dotychczasowe życie pisarki – „w niej jest zatrzymany czas i próba jego opowiedzenia” – mówi. Bohaterowie żyjący na kartach powieści noszą w sobie jakąś część swego „stworcy” lub ukazują taką tożsamość, której akurat pisarka chciała doświadczyć, obrazują jej „grę w tożsamość”. Nie powinniśmy zjawiska tego traktować jako negatywnego – czyn-

Czas Olgi

KAROLINA WYCIŚLIK

ność zrywania masek, którą tak często obserwujemy w jej powieściach, jest typowa. Noblistka przekonuje, że „w różnych sytuacjach w sposób naturalny stajemy się różnymi osobami”.

W wielu przypadkach w powieściach autorki *Prawieku i innych czasów* nie poznajemy pełnego życia bohaterów. Tokarczuk ukazuje zwykle wycinek ich historii, tym samym zmuszając czytelnika do zastanawiania się, zadawania pytań. „Pozostawia miejsce” dla osobowości stworzonych postaci oraz ukazuje konkretnego człowieka jako indywidualność niezwykłe złożoną, niejednoznaczna: „Prawdziwsze jest myślenie o sobie jak o rodzaju talii kart, z których wybieramy tę, która jest nam akurat potrzebna. Zwłaszcza życie społeczne jest przestrzenią dającą nieograniczoną możliwość sięgania po owe karty” – deklaruje. Jej twórczość jest wielowarstwowa, skomplikowana, trudna do ujęcia w ramy typologiczne. Próżno szukać w niej ścisłości i precyzji, terminów, pojęć, przejrzystych opisów. Rys tego piarstwa można chyba scharakteryzować fragmentem z *Opowiadań bizarnych*: „Zasada jest prosta: im bliżej środka, tym bardziej wszystko wydaje się prawdziwe i namacalne, im dalej zaś, tym mocniej świat jakby się rozłaził, jak tłałe płótno w wilgoci”.

Według Gastona Bachelarda jedną z najważniejszych potęg ludzkiej natury jest wyobraźnia, będąca zdolnością do tworzenia obrazów. Francuski filozof przekonywał, że świat zaczyna ożywać na pograniczu abstrakcyjnych wątków i żywych obrazów. Przestrzenią, gdzie to się dokonuje, nie jest jednak tylko poezja. Moim zdaniem osobiste uchwycenie obrazu może realizować się także w twórczości autorki *Ksiąg Jakubowych*. Jeśli wyobraźnia czytelnika jest żywym polem, na którym poprzez akt lektury spadają ziarna, czyli obrazy poetyckie, to wzrastanie owego nasiona, ukonkretnienie go w procesie lektury, dokonuje się właśnie poprzez akt czytelnika. Dzięki temu kontakt z literaturą ma charakter nie tylko wspólnototwórczy, ale przede wszystkim jednostkowy, osobisty. Czytelnik może zatracić się w tej twórczości w poszukiwaniu – tak zwyczajnie – radości z lektury, przyjemności, oddać się kolekcjonowaniu obrazów poetyckich. Otrzymujemy od Olgi Tokarczuk zaproszenie na wielką ucztę słowa, literacką rozkosz obcowania z jej twórczością i nietuzinkowymi bohaterami, zatopienia się w lekturze, by lepiej zrozumieć świat i ludzi. Oby przyjemność ta trwała jak najdłużej. ■

Olga z Tokarczuk

Zawsze w czasie rekolekcji oazowych prowadziłem młodzież na grób Pani Zofii Kossak w Górkach Wielkich. W tym miejscu chciałbym parę słów na temat jednej z jej książek powiedzieć. Zapisałem sobie, że w drugą niedzielę Wielkiego Postu – w roku liturgicznym – słyszymy we mszy świętej perykopę o biblijnym Abrahamie; ta postać biblijna sprzed około czterech tysięcy lat ginie nam w mrokach dziejów. Postać, o której opowiada biblijna Księga Rodzajów, jest ważna dla judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Zofia Kossak-Szatkowska zainteresowała się tą postacią, kiedy była przymuszona do emigracji w Kornwalii. Opowieść biblijna pt. *Przymierze* ukazała się w 1951 roku w Londynie i Nowym Jorku, najpierw w języku angielskim. Rok później wyszło polskie wydanie emigracyjne w Londynie. W 1952 roku książka ukazała się również w Kopenhadze. Nadzieja autorki, że uda się tę powieść wydać także w języku hebrajskim nie ziściła się.

Dla nas, chrześcijan, Abraham jest ojcem naszej wiary. On zawierzył Panu Bogu wbrew nadziei. Opuścił Ur chaldejskie, dzisiejszy Irak, i z Hebrajczykami przeszedł z Bożą pomocą od politeizmu do monoteizmu. Dokonuje się – wspaniale to przedstawia autorka w *Przymierzu* – przedziwny dialog pomiędzy Bogiem i Abrahamem. Skoro zawarł z Abrahamem umowę Pan Bóg, to on też umowy ma dochować, ma być Mu wierny. Zofia Kossak tę rzecz uważa w historii Abrahama za najważniejszą. Umieszcza też scenę – przymierza Boga z Abrahamem – pod koniec *Przymierza*. To scena godna mistrzostwa literackiego. Ale nie tylko kunszt literacki należy tu podziwiać. Jest tu wyraźnie dostrzegalna głębia myśli teologicznej. Świadczy o pogłębionej wiedzy teologicznej autorki. Jeszcze przecież daleko do uchwał Soboru Watykańskiego II, podczas którego na temat Biblii słyszymy tyle nowych i ciekawych rzeczy. Autorka musiała mieć kontakt z tym ruchem biblijnym, który się rozwijał. Musiała być rozczytana, żeby taką powieść napisać.

Powieść *Przymierze* świadczy jeszcze o czymś innym. Otóż w Europie po doświadczeniach dwóch wojen światowych, po wszystkich wysiłkach ateistycznych państw, sprawy wiary będą na nowo



fol. arch.

O Zofii Kossak

ABP SENIOR DAMIAN ZIMOŃ

żywe. Dlatego pisarka sięga do Biblii, do Starego Testamentu, by ukazać głębię ludzkich tęsknot. Wierzy, że religijność to nie wytwór ludzkiego umysłu, ale pragnienie związane bezpośrednio z ludzką naturą. Pisarka wiarą ogarnia skomplikowaną rzeczywistość całego XX wieku. To w wielu jej książkach jest bardzo widoczne. Ale tu Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba jest Bogiem, który się objawia. Czasy patriarchów są zapowiedzią ostatecznego objawienia się Boga w swoim Synu Jezusie Chrystusie.

W 1964 roku – i chcę to szczególnie podkreślić – Zofia Kossak nie mówi tylko o sprawach wiary bardzo głęboko, nie tylko w *Przymierzu*, ale też w wielu innych swoich książkach, ale daje świadectwo, świadectwo wiary, które wtedy było bardzo cenne. My, starsi, dobrze pamiętamy, jak to wszystko wyglądało. Podpisała ten list, trzydziestu czterech podpisało, złożony 14 marca u premiera Józefa Cyrankiewicza jako protest polskich pisarzy przeciw ograniczaniu przydziału papieru na druk książek i czasopism. Podpisać taki protest, w tamtych latach – latach sześćdziesiątych – to nie była sprawa prosta. Pamiętajmy o tym. Mieć odwagę, jak Zofia Kossak. W zakresie wiary też!

Jeszcze jedna sprawa, historia jest ważna w życiu

Zofii Kossak. W czerwcu 1966 roku – roku wielkiego jubileuszu tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce – nadeszła wiadomość do Górek z Warszawy. Zofia Kossak-Szatkowska w tymże roku ma otrzymać nagrodę państwową pierwszego stopnia w dziedzinie kultury i sztuki za wybitne osiągnięcia w zakresie powieści historycznej. Zofia Kossak z tego wyróżnienia zrezygnowała. Jako powód swej decyzji podała zatrzymanie przez milicję kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, która peregrynowała po Polsce w ramach obchodów milenijnych. Gdy obraz wędrował z Częstochowy do Katowic, zawrócono go i na dłuższy czas Matka Boża była uwięziona na Jasnej Górze. Wrogowie Kościoła traktowali obraz, Matkę Boską jak osobę. Tego jeszcze nikt nie widział i nie słyszał, żeby obrazy więzić, ale tak było. Odważny czyn pisarki odbił się głośnym echem. Tekst listu był omawiany na Konferencji Episkopatu Polski (przewodniczącym był kardynał Stefan Wyszyński). Biskup katowicki Herbert Bednorz przesłał pisarce do Górek Wielkich wiadomość o tym wydarzeniu. Biskup brał także udział w Jej pogrzebie w 1968 roku.

Tym wszystkim, którzy pisali lub będą pisać o Zofii Kossak szczerze gratuluję i błogosławię! ■



Dzienniki Stefana Kisielewskiego

Czarny humor PRL-u, żółć i bluzg

JERZY PASZEK

Stefan Kisielewski, słynny felietonista Kisiel (1911-1991), spozostawił po sobie ogromny dorobek muzyczny (m.in. *Kwartet smyczkowy*, *Perpetuum mobile* na małą orkiestrę symfoniczną, *Cosmos I* na wielką orkiestrę symfoniczną, *Koncert fortepianowy*), literacki (m.in. powieści *Sprzysiężenie*, *Widziane z góry*, *Cienie w pieczarze*, *Romans zimowy*, *Śledztwo*, *Ludzie w zakwariu*, *Przygoda w Warszawie*) i publicystyczny (m.in. *Polityka i sztuka*, *Rzeczy małe*. *Felietony*, *100 razy głową w ściany*, *Muzyka i mózg*. *Eseje*, *Na czym polega socjalizm? Spostrzeżenia z Warszawy*, *Moje dzwony trzydziestolecia*, *Felietony pod choinką*). Moim zdaniem – pochoptnym być może osądem polonisty – najciekawszym i chyba najbardziej wartościowym świadectwem, jakie pozostawił po sobie omawiamy muzyk i literat, jest pisany do szuflady i wydany 5 lat po jego śmierci obszerny tom *Dzienników* (S. Kisielewski: *Dzienniki*, wprowadzenie i oprac. Ludwika Bohdana Grzeniewskiego, Warszawa 1996, ss. 951; używam skrótu: DZ, podkr. moje, J.P.).

Zapiski dziennikowe z lat 1968-1980 były ukrywane przed SB oraz MO głównie z powodu bezprzekładnej i bezprecedensowej analizy stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych w Polsce Ludowej. Dziś można powiedzieć, że ta surowa charakterystyka rządów Władysława Gomułki i Edwarda Gierka była wnikliwa i merytorycznie słuszna. W jednym z wydrukowanych w paryskiej „Kulturze” (1978, nr 10) felietonów wlicza takie „główne punkty oskarżenia”, jakie przed „narodowym Trybunałem Stanu” postawiłby „Wiesławowi” za jego władzę w latach 1956-1970: „a) Sabotowanie koniecznej dla kraju międzynarodowej współpracy gospodarczej; b) Uniemożliwienie [...] rozwoju turystyki, usług, hotelarstwa, komunikacji; c) Powołanie dyletantów na kluczowe stanowiska w państwie i gospodarce [...]; d) Zmarnowanie przez rozmyslny, złośliwy sabotaż 1000-letniej rocznicy Państwa Polskiego: międzynarodowe uroczystości łącznie z planowaną wizytą Papieża w Częstochowie utrwalic mogły właściwy obraz Polski w świecie na wiele dziesiątków lat; e) Dopuszczenie do haniebnej i kompromitującej Polskę na długo emigracji ludzi pochodzenia żydowskiego; f) Wzięcie bez sprzeciwu (ba, z entuzjazmem nawet) udziału w rosyjskiej napaści na Czechosłowację 1968; g) Wygłaszanie przemówień, które ośmieszały Polskę kompletnie” (cyt. za: S. Kisielewski: *Głową*

w mur. *Felietony wybrane*, wybór Jana Gondowicza, Warszawa 2009, s. 177-178; używam skrótu: GWM).

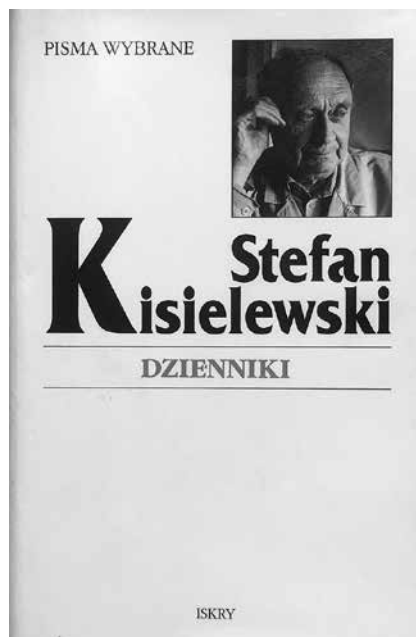
Badania historyków ekonomii potwierdzają smutny fakt, iż „dyktatura ciemniaków” (najbardziej znane dictum Kisiela, odnotowane przez Henryka Markiewicza i Andrzeja Romanowskiego w serii II *Skrzydlatych słów*, Warszawa 1998, s. 307) doprowadziła do „petryfikacji zacofania” (Jędrzej Chumiński: „Mała stabilizacja” czy stagnacja – społeczno-ekonomiczny bilans rządów Władysława Gomułki. W t. zb. *Colloquium Opole 2018*. Opole 2019, s. 137). Podobnie twierdzono już dawniej, np. w tomie pod redakcją Chumińskiego *Modernizacja czy pozorna modernizacja. Społeczno-ekonomiczny bilans PRL 1944-1989* (Wrocław 2010). Należy także dodać, iż charakter publicystyczno-ekonomiczny mają wydane w roku 2016 *Dzienniki okresu transformacji. Nieznane felietony Kisiela odnalezione za Atlantykiem. 1988-1991* (Fijorr Publishing).

Dla Kisielewskiego-pisarza najistotniejszą kwestią „życia i śmierci” była oczywiście sprawa nadużyć peerelowskiej cenzury. Oto jednozdaniowe, acz wymowne, obliczenie strat autora i czytelników: „spośród około 2000 tekstów, jakie opublikowałem na przestrzeni 35 lat w „Tygodniku Powszechnym”, może zaledwie około 100 okazało się bez tajnych skreśleń cenzury, wszystkie inne zostały okaleczone skreśleniami, o których czytelnik nie wie i nigdy się nie dowie, lub też wyrzucone w całości i do druku niedopuszczone (około 300)” (GWM 169). Dziś nie wyobrażamy sobie ani tematów zakazanych przez władze, ani też tak częstych i tępych obrotów skrupulatnego ołówka cenzorskiego! Wywiezione za granicę wykazy i naka-

zy Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk z lat 1974-1977 ujawniają, „o czym nie wolno pisać, na przykład o wybuchu gazów, o orzeczeniach Sądu Najwyższego (!), o szerokotorowej kolei z Katowic do Rosji, o licencjach zagranicznych, o handlu z Afryką Południową, [...] o filmach Wajdy, o zatruciach żywnością, [...] o Panoramic Raclawickiej, o książce Bartoszewskiego *1859 dni Warszawy* etc., etc.” (DZ 924-925).

Jeszcze ciekawsze (o ile to możliwe!) bywają szczegółowe analizy działań cenzora w kontakcie z poddanymi jego woli i swawoli tekstach. Kisiel tak opowiada o tych przygodach inteligenta z szamanem „bóstwa Tabu”: „Ale nie pomnę TYSIĘCY BZDUR [podkr. S.K.], które cenzorzy skutecznieją samowolnie i bezinteresownie, dla psucia tekstu czy „poprawienia” go, skryci za tarczą tajności, anonimowości i nieodpowiedzialności. Gdy cenzor w zdaniu „inni się męczą, a ja się dziwię”, zmienia słowo „dziwię” na „przyglądam”. Gdy w żartobliwym określeniu: „znany i ceniony ekwilibrysta, p. Rakowski”, skreśla słowo „ekwilibrysta”. Gdy zmienia słowo „holokaust” na „hekatomba”. Gdy w zdaniu: „liczę na domysłność czytelnika” skreśla słowo „domysłność”. [...] Gdy w zdaniu: „Urban nadesłał mi pocztówkę z okazji święta 1 Maja” skreśla słowa „1 Maja”. Gdy w zdaniu: „Węć w Australii też liczą na dolary”, skreśla słowo „też”. Gdy konfiskuje wiadomość, że z programu Festiwalu Wrocławskiego usunięto moją *Symfonię*” (GWM 170-171).

I tu już zaczyna się królestwo czarnego humoru. Na pierwszym miejscu umieszczam wywody Kisiela o Gierkowej eskapadzie do Paryża. Autor *Dzienników* pointuje ten wyjazd w dwu rozbudowanych zdaniach:



„Nikomu tam [w stolicy Francji] pewno nie przychodzi do głowy, że na przykład wywiad Gierka w ›Le Monde‹ nie będzie w Polsce przez prasę puszczony, bo jest... **niecenzuralny**. Mówi on tam o strajku w dziewięciu fabrykach w czerwcu 1976 – tego u nas w prasie **nigdy nie podawano**” (DZ 916). Inne dowcipy bywają bardziej oderwane od konkretnych zdarzeń, choć mają swój lobuzerski blask.

Przykładowo: „Gomułka chory. (Na co chory? – **Na polecenie KC** – mówią ludzie)” (DZ 548). Perfumy – „ostatni oddech Lenina.” O tymże: „Tępczany robi się obecnie trzysobowe, bo ›Lenin zawsze jest z nami. Nowe tańce: ›Husaczok‹ -- krok naprzód, trzy kroki w tył, ułkon w lewo. ›Gomułczok‹ -- krok naprzód, krok w tył, wszyscy klaszczą” (DZ 391). „Słyszałem od pewnej Czeszki kawał. Breżniew polknął Dubczeka [Alexander Dubček, 1921-1992, polityk czechosłowacki]. Ten z trudem przebijając się w ciemnościach napotyka nagle Gomułkę. – Skąd się tu wzięli? – pyta. A tamten na to: -- Wszedłem od drugiej strony!” (DZ 221). „Moje określenie towarzysza Wiesława: dosyć humanitarny nadzorca więzienia” (DZ 344). „Gomułka prosi, że chce mieć skromny pogrzeb bez żadnych uroczystości, a na grobie prosty napis: ›Władysław Gomułka, ekonomista” (DZ 697).

O innych postaciach z kręgu władzy też Kisiel mówi obrazowo i z morderczą pointą: gdy Witold Filler opublikował paszkwil *Twórczość malej emigracji*, muzyk ocenia rzecz tymi słowami: „Ba! Ale na razie o to nie chodzi [o opozycję w Rosji], tylko o fluteranę **wesz** – Fillera, który genialnie udając Greka [...] rzadzi się jak szara **gęś**, wiedząc, że mu nikt nic nie zrobi. I rzeczywiście – nieodpartość jego nędznych sylogizmów [kto nie jest komunistą, ten nie jest Polakiem] plus... cenzura czynią zeń mocarza. **Szmaciany mocarz**, ale mocarz” (DZ 365). O innym notablu PRL-u, ministrze spraw wewnętrznych, Franciszku Szlachcicu: „ależ to postać, br! (›To nie jest **postać**, to **posiedzieć**›)” (DZ 543).

Z dziedziny literackiej w *Dziennikach* Kisielewskiego bardzo istotne bywają charakterystyki żywych i zmarłych kolegów po piórze (Tuwim dodałby: i po lirze!). Tutaj domenę artystyczną i polityczną łączy postać Heleny Bobińskiej: „Mąż Bobińskiej, Stanisław, przyjaciel i współpracownik Lenina, został przez Stalina zakatrupiony, ona sama siedziała w Rosji w ciupie sporo latek (wyjechała tam jeszcze w 1918). Mimo to w Polsce napisała słodką książeczkę o młodości Stalina, zatytułowaną *Soso*. Złosliwi mówili, że dalszy ciąg tej książki brzmieć będzie: *Komu Soso zrobił kuku?*” (DZ 23). Czasem Kisiel się mylił, a niekiedy trafnie oceniał wartość poszczególnych pisarzy. Przykładowo: Kott contra Miłosz. „Skorośny już przy emigracji [pochwala Gombrowicza], to odnotować muszę artykuł Kotta o awangardowym teatrze – efektownie napisany, ale w swym sednie głupi i pusty, jak wszystko, co Kotcie. Ten facet to niewielka strata dla polskiej kultury. Niepowetowaną natomiast jest strata Czesia Miłosza, wielkiego poety, bystrogo a szerokiego, erudycją podpartego umysłu” (DZ 327, wywody z początku roku 1970, a więc 10 lat od uroczystości noblowskich, na które Kisiel był zresztą zaproszony przez laureata!). Nie trafne – moim zdaniem – jest natomiast zestawianie powieści Leopolda Buczkowskiego i Teodora Parnickiego z prozą Joyce’a (DZ 353: „mamy też swoich Joyce’ów obok starczych gawędziarzy jak Iwaszkiewicz – osioł. Dobry to jest pisarz, a zarazem osioł – jak to idzie w parze?”).

Muszę stwierdzić, iż najdziwniejsze przygody literackie 10-lecia pomarcowego są jeszcze do opowiedzenia. Pierwsza z nich dotyczy twórczości Andrzejewskiego, a w zasadzie słynnej powieści, noszącej nagłówek *Miazga*, wydanej na przełomie 1981 i 1982 roku (niektóre egzemplarze mają w stopce tę wcześniejszą, a większość tę późniejszą datę). 1 lipca 1970 roku Kisiel pisze: „wpadł też Jerzy Andrzejewski, który skończył *Miazgę* (500 stron!) – ciekawym, czy mu ją wydrukują, jak nie – posyła do Paryża” (DZ 421). Na kolejnych stronach *Dzienników* (485, 546, 577-580, 603, 624, 647, 703, 728, 762, 902, 907) autor snuje zagmatwaną historię dekady starań o publikację tego utworu. Kisiel czytał maszynopis już w 1971 roku: „Przedziwna to książka: złożona z elementów wysoce mnie irytujących (snobistyczny dziennik, w typie Iwaszkiewicz-Nalkowska), sama powieść, czy raczej miazgowaty szkic powieści z wyższych sfer komunistycznych (Tyrmund się kłania), też działająca na nerwy, osobiste konfesje Jerzego nie nazbyt smaczne – tymczasem w sumie książka miejscami wręcz porwijająca, buchająca polskością, sugestywna” (DZ 546).

Kisiel studiował powieść Andrzejewskiego bardzo uważnie: „*Miazga* nawet cytowana była na wariata Kliszkę, który jest tam nastaw cytowany (**fontanna mówi jego głosem i słowami!**)” (DZ 578). Warto tu wtrącić profesorski przytyk: oto w BN-owskim wydaniu tej książki (J. Andrzejewski: *Miazga*, oprac. Anna Synoradzka-Demadre, Wrocław 2002, s. 74) edytor nie uwzględniła podpowiedzi Kisielewskiego, choć rozważała w swoim *Wstępie* (s. C) fakt, iż Zenon Kliszko razem z Mieczysławem Moczarem mogli być prototypami fikcyjnej eminencji czasów gomułkowskich – Stefana Raszewskiego.

Kliszko jest bohaterem drugiej nieopowiedzianej jeszcze, a niesamowicie intrygującej przygody literackiej Kisielewskiego. Autor *Dzienników* publikował felietony w paryskiej „Kulturze”, a zarazem – pod pseudonimem Tomasza Stalińskiego – ogłaszał w serii książkowej tej oficyny księcia Giedroycia powieści polityczne: *Widziane z góry* (1967), *Cienie w pieczarze* (1971), *Romans zimowy* (1972), *Sledztwo* (1974), *Ludzie w akwarium* (1976), *Podróż w czasie* (1982). 22 sierpnia 1975 zapisuje swoje nieoczekiwane spotkanie wieczorem z „dwoma facetami” w Alejach Ujazdowskich. Byli to Adam Schaff i Zenon Kliszko. Doradca Gomułki zaczął mówić „o powieściach *Widziane z góry* i *Sledztwo*, że ta pierwsza dobra, a ta druga plotkarska i nieprawdziwa, tak jak rzekomy wywiad z Gomułką, który ukazał się kiedyś w Izraelu [...] w ogóle nie powinienem z nim rozmawiać, bo on twierdził, że ja chciałem zabić Gomułkę. – Nie twierdziłem – on na to – tylko dostałem stenogram waszej rozmowy z Andrzejewskim i tam to było. – Ale przecież ta rozmowa miała miejsce u mnie w domu! Więc to takie **Watergate!** – Można to tak nazwać – Zenuś na to” (DZ 859-860). Dodaje autor, że *Sledztwo* Kliszkę zabolalo, „bo tam o nim piszą [sic!] nieszczególnie, He, He!” (DZ 860).

Kisielewski w całych tajnych zapiskach ma kilka tematów przewodnich. Jest to nuta cenzury i nuta paszportu (użeranie się z władzami o prawo podróży po świecie: w końcu od 22 lipca 1981 do 22 lipca 1982 „zaliczył” Francję, RFN, Szwajcarię, Austrię, a nawet i Australię!). Trzecim wagnerowskim lejtmotywyem są konflikty i kontrowersje z krakowskim „Tygodnikiem Powszechnym”. Nigdy – felietonista tego czasopisma – nie mógł pogodzić się z tchórzliwą i zachowawczą polityką redakcji! Stąd jego ataki wymierzone w Jerzego Turowicza czy Stanisława

Stommę (m.in. zarzucał im zajmowanie się sytuacją kościoła na całym świecie i problemami soborowymi, a pomijanie bolesnych spraw kościoła w Polsce i lekceważenie ideologii prymasa Stefana Wyszyńskiego). Częstokroć wprost o członkach redakcji „Tygodnika” pisał, że są głupi i do niczego! Stąd Józefa Hennelowa, zastępczyni redaktora naczelnego, gorzko żaliła się na niewdzięczność Kisielewskiego w tekście pt. *Kisiel, którego nie znam* („Gazeta Wyborcza” 1997, nr z 11-12 stycznia).

Nie zwracała pani redaktor uwagi na wyznania autora, iż tworzy „pamiętnik żołciowca” (DZ 16), że jest „człowiekiem całkiem bezsilnym, pisującym pod siebie, do dzienniczka” – „dla wylania żółci” (DZ 35), że jest autorem „żółciowego dzienniczka” (DZ 54): „dzienniczek ten służy również i mojej żółci – aby ją trochę rozładować” (DZ 226). Liczy się tylko prawda! „Kto wie, może niniejsze zapiski staną się ważnym materiałem do... historii Polski. Boć komuniści żadnej historii swoich rządów nie piszą, przeciwnie, ukrywają wszystko, jak mogą, a o tym, co było, starają się dokładnie zapomnieć lub przedstawić *post factum* wersję uporządkowaną, gdzie jak najmniej jest kontrowersji, wszystko ›pedagogicznie‹ wygładzone, czyli, po prostu mówiąc, zakłamanie” (DZ 618).

A jeśli ma być prawda, to nie należy wystrzegać się ostrych słów, wulgaryzmów czy nawet bluźgu! Z okazji zakłamanego „święta” 22 Lipca, gdy nawet *Manifest lubelski* jest przemilczany (bo **niecenzuralny!**), powstają bałwochwalcze peany, a „dureń Osmańczyk pisze te wszystkie bzdury, **popierdując** ze wzruszenia, wielu innych też. Orgazm wywołany emocją przy **lizaniu dupy** wielmożnego pana?! Tajemnica!” (DZ 435-436). „Głupi ten Zachód, a już Francja to **kurwa**, gotowa **lizać d...** każdemu. De Gaulle nastawił kierunek tego **lizania** na Rosję, a im w to graj” (DZ 512). „W Konstancinie [...] gdzie się ruszyć, słycać tylko: **kurwa, jebany, w dupę pierdolony**. Taka to polska łacina” (DZ 569). Stąd mała nutka przewodnia, przywołująca powiedzonko Lopka Krukowskiego: „palce lizać i odgryzać!” (DZ 295, 492). Indeks wulgaryzmów, przetaczających się przez *Dzienniki*, obejmowałby wszystkie znane czteroliterowe (ch., d., ..., ja., s., ...) i pięcioliterowe (od je... poprzez gó... aż po najczęstszą ku...) słówka obsceniczne. Jest jednak jeden wyjątkowy okaz bluźgu: to, że Kott stał się jak Czarna Pantera, bo **skielczal!** Gdy pojawia się po raz pierwszy zdanie „**skielczal** tam [w USA] coś Jan Kott” (DZ 190), to nie wiadomo, czy nie miało być **zycielczal!**... Dopiero fraza „Kott zamienił się tam w Czarną Panterę” (DZ 357) oraz „toć on [Słonimski] może **zaskielcząć** na całą Europę” (DZ 771) i idiom domowy „pies mi pod nosem **skielczy a skielczy**” (DZ 256) – upewniają czytelnika, że chodzi o pokazywanie ostrych kłów! Takich neologizmów i okazjonalizmów leksykalnych u Kisielewskiego są setki, więc ciężko byłoby je wylizywać, by się nimi nasładować! Dla pobudzenia oskomy i apetytu: autofalszowanie siebie, beznadziejniak, bigoterapia, bujdowatość, dodupizm, dojutrkwowanie, dojutrkwowi, dojutrkwowicz, drętwiaki, (wywoływać) ducha „klasy robotniczej”, generalik (Moczar), leworożność, marnie, marnissimo, „mocarujący” tygodnik „Stolica”, nędzować (o Gombrowiczu), obchodomania, ohydnowo, ple-ple-plenum, plyciarz (spyciarz), popłoszek, przyszczykacz (o żurnaliście), rozgrywecki, taktyczki, rybio: trochę rybio, szaro i rybio, źle, lyso i rybio, szcłapany koń, strusiość, tępactwo, trzeźwiak (realista), (dostać się w ręce) ube-ube-ubezpieczalni, wazelinować się, władzunia.

Wiersz dydaktyczny dla wiewiórki

1.
Gdyby Eurydyko przyszło ci żyć tak jak mnie, wszystkie dni i noce w nieprzytomnej rozpaczy, skoczyłabyś w dół z Pałacu Kultury i Nauki, śpiewając hymn na cześć Putina.

2.
Gdybyś jedną noc spędziła w psychiatryku, słuchając wycia i szlochów szaleńców, straciłabyś na zawsze smak i radość życia.

3.
Gdybyś utraciła wszystkie wschody i poranki, jadła suchy chleb, kaszę gryczaną i popijała wodą z wodociągu, zrozumiałabyś cenę jaką artysta płaci za swoją sztukę.

4.
Gdybyś utraciła dom ojczysty, rodziców, dziadków, swoją dziuplę, do której uciekasz przede mną; gdybyś nie miała w nikim i niczym oparcia, kiedy usta już nie układają się w kształt modlitwy, uciekłabyś z tego chorego miasta na pustynię i tam oddawała się medytacjom.

5.
Nie wiem dlaczego ktoś mnie skazał na pisanie tych ciężkich strof, kiedy wiem, że to wszystko na nic; słyszę ciągle litanię zarzutów, jakbym był odpowiedzialny za wszystkie twoje porażki i był najgorszym łajdakiem; po to ludzie potrzebują bliźnich, żeby budować dla nich stos i powołują codziennie dla nich Wysoki Trybunał, by później go podpalić i bawić się płomieniem biednych serc w depresji.

6.
Mój przyjaciel Adam za mistrzami absurdu powtarza, że wszystko jest iluzją, udajemy orgazmy w łóżku i pobożność w kościele, jesteśmy skazani na lepsze lub gorsze maski; przez dwa lata wiewiórko nie dotarłaś do mojego serca, stawiasz jak nowoczesne kobiety warunki miłości, kiedy warunki zostaną spełnione z przerażeniem odkryjesz, że zostało jedno wielkie Nic. I dopiero wtedy zaczniesz żyć jak ja, nie mając już żadnego oparcia.

Rzeszów, 17 marca 2014 (po kilku bezsennych nocach)

rys. Maria Korusiewicz



Grażyna spowiada się z kwiatów

A moje łóżko takie puste
Ciebie nie ma
Zimno mnie ogrzewa
Głowa pusta
Lampiony drzew umierają
Ciche słowa zmartwychwstają
Idziesz w nieskończoność
Karmisz upadłe anioły
Nad ptakami czarne słońce
Uwierz w świt bez kalendarzy
Nasza młodość niezłomna
Bez kwiatów ułomna
Jak sen w trumnie
U mnie bogowie się spowiadają
I chlebem światła dokarmiają

Po balu z Eurydyką

Dzisiaj było najcudowniejsze kochanie
Po balu sylwestrowym,
Odkąd zasmakowałem w motylach twojego sromu,
Tak czarująco jęczałaś jak słowik o zmierzchu,
Za oknem wiatr spowiadał nas z niewinności
Naszego spotkania na moście do krainy niezłomnych
pelargonii,
W ustach ślina smakowała jak miód pity w ekstazie
Z kielicha młodości, cóż tam rzeki i
Oceany, toniemy delikatnie żywi, by odzyskać
Wolność pogubionych serc

1 stycznia 2019

Stanisław Dłuski (ur. 1962), poeta, krytyk literacki, współzałożyciel i były redaktor naczelny kwartalników „Fraza” i „Nowa Okolica Poetów”. Książki poetyckie, m.in. *Stary dom* (1995), *Dom i świat* (1998), *Samotny zielony krawat* (2001), *Elegie dębowieckie* (2003), *Lamentacje syna ziemi* (2006), *Szczęśliwie powieszony* (2009), *Wiersze dla bezdomnych i wydrżonych* (2016); monografie naukowe: *Egzystencja i metafizyka. O poezji Anny Kamieńskiej* (2002) i *Umarł Tyrteusz, niech żyje Orfeusz. Idee – wartości – poezja* (2014). Tłumaczony na języki angielski, arabski, czeski, francuski, serbski, rosyjski, ukraiński, włoski. Mieszka w Rzeszowie.

Laudacja na cześć Profesora Władysława Wojciecha Nasiłowskiego

PROF. DR HAB. GRZEGORZ OPALA

Ekscelencje, Magnificencje, Szanowni Członkowie Senatów, Czcigodni Duszpasterze akademicy, Szanowna Rodzino Profesora, Szanowni Państwo.

Nie sposób przedstawić profesora Władysława Nasiłowskiego, prezentując jedynie niezaprzeczalne osiągnięcia zawodowe i naukowe, bez przywołania drogi życiowej i zajmowanej postawy weryfikowanej dokonywanymi wyborami w sytuacjach związanych z losami Jego pokolenia.

Profesor Władysław Wojciech Nasiłowski urodził się 8 kwietnia 1925 roku w Sosnowcu w rodzinie Antoniego – lekarza pediatri i działacza społecznego i Marii z domu Grzeszak, nauczycielki. Ustabilizowaną, solidną i patriotyczną rodzinę lekarską Nasiłowskich mocno doświadczają czas wojny. Po kampanii wrześniowej i tułaczce starsi bracia, Wiesław i Mieczysław, szczęśliwie docierają do domu. Wybuch wojny przerwał czternastoletniemu Władysławowi naukę w Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Na początku wojny, w 1940 roku, umiera matka, a w 1943 roku pracujący jako sanitariusz w oddziale zakaźnym, po zarażeniu się dudem płamistym, brat Mieczysław. Drugi

brat, aby uniknąć zesłania na roboty, ucieka przez Szwajcarię do Francji i tam podejmuje studia medyczne. Dla najmłodszego Władysława przychodzi czas szybkiego dojrzewania i ważnych życiowych decyzji. W 1943 r. związał się z grupą dywersyjną organizacji Wolność, Równość, Niepodległość (WRN), która została włączona do AK Obwodu Sosnowieckiego. Brał udział w zbrojnych akcjach dywersyjnych. Jednocześnie uzupełnił naukę zarówno w ramach samokształcenia, jak i na tajnych kompletach. Kilkakrotnie zatrzymany i aresztowany, zdołał uniknąć obozu najczęściej dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego. W uznaniu zasług został odznaczony Krzyżem Walecznych i Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska z datą na rok 1948 otrzymał z Londynu dopiero w 1989 roku.

Zaraz po wojnie zdaje maturę w Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Sosnowcu i w 1945 roku rozpoczyna studia na Wydziale Lekarskim w Poznaniu. Po studiach rozpoczyna pracę w Katedrze Anatomii Patologicznej ŚAM, gdzie broni dysertacji doktorskiej. Następnie podejmuje pracę w Zakładzie Medycyny Sądowej

u docenta Tadeusza Pragłowskiego, świadka zbrodni katyńskiej. W 1965 roku uzyskuje stopień doktora habilitowanego. W roku 1975 zostaje Kierownikiem Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej, jednego z najlepszych ośrodków w Polsce. Jest zapraszany na wykłady za granicę. Prowadzi seminaria w Instytucie Medycyny Sądowej w Tybindze. Medycynę sądową wykłada nie tylko w ŚAM, ale także na Wydziale Prawa Uniwersytetu Śląskiego, a w ŚAM prowadzi także wykłady z etyki i deontologii lekarskiej oraz prawa medycznego. W 1974 roku Rada Wydziału Lekarskiego w Katowicach wnioskuję o nadanie Mu tytułu profesora nadzwyczajnego. Na realizację wniosku czekał kilka lat. W roku 1991 uzyskuje tytuł profesora zwyczajnego.

Dzięki osiągnięciom naukowo-badawczym prof. Nasiłowski cieszy się w Polsce zasłużoną sławą wybitnego medyka sądowego, w szczególności znawcy zagadnień z zakresu toksykologii sądowej. Publikowane wyniki badań czynią Profesora uznanym autorytetem. Odrębna grupa publikacji to ważne opracowania o istotnych problemach etyki lekarskiej i kwestii związanych z prawami pacjenta, część w formie felietonów pod pseudonimem „Adalbertus” (*Pismo Śląskiej Izby Lekarskiej ProMedico*). Wiele razy reprezentował naukę polską na zjazdach międzynarodowych. Był promotorem licznych prac doktorskich oraz opiekunem habilitacji. Recenzował ponadto wnioski do tytułu profesora, a także wnioski o nadanie tytułu *doktora honoris causa*.

Drugi ważny okres aktywności Profesora to lata osiemdziesiąte, czas „Solidarności”. Jest obecny z nami od pierwszych dni przemian posierpniowych, rozpoczętych w naszej uczelni od odsunięcia ówczesnego rektora od władzy. Jest wszędzie tam, gdzie powstawały nowe struktury związkowe i uczelniane, wymagające prawnego opisanie nowej rzeczywistości. Zawsze można było liczyć na pomoc profesora Władysława Nasiłowskiego. Tworzone ustawy, szczególnie ustawa o szkolnictwie wyższym, statut ŚAM i liczne regulaminy powstawały z Jego

foto. arch.



udziałem. Ta działalność to nie tylko ciężka praca, ale konieczność fachowego i odważnego przeciwstawienia się różnym naciskom i działaniom manipulacyjnym. Jednocześnie potrafił do rewolucyjnych często nastrojów wprowadzić poczucie normy tak etycznej, jak i prawnej. Docenili to pracownicy uczelni. W 1981 roku, w pierwszych demokratycznych wyborach władz uczelni, zostaje wybrany dziekanem Wydziału Lekarskiego. Po ogłoszeniu stanu wojennego, zdając sobie sprawę czym jest tzw. prawo stanu wojennego, składa rezygnację z funkcji.

Po odzyskaniu niepodległości w 1989 roku aktywnie włącza się w odbudowę demokratycznego życia. Jest istotnym współtwórcą Kodeksu Etyki Lekarskiej. Obejmuje przewodnictwo Okręgowego a następnie Naczelnego Sądu Lekarskiego.

Trzeci okres i może najważniejszy dla naukowca, jednego z najwybitniejszych w tym czasie specjalistów medycyny sądowej, to okres stanu wojennego. Orzekanie w sprawach, które ze względu na swój wymiar polityczny były poddawane różnego typu naciskom, wymagało charakteru, odwagi i gotowości poniesienia konsekwencji w imię obrony prawdy. Profesor Władysław Nasiłowski był autorem bądź współautorem wielu opinii, które miały znaczenie polityczne, a opracowanie ich zgodnie z zasadami, wymagało hartu ducha. Wystarczy przywołać wydawane opinie w sprawie badań związanych z morderczymi działaniami w KWK „Wujek”, w sprawie Stanisława Pyjasa, czy badania w sprawie zamordowanych bł. księdza Jerzego Popiełuszki oraz księdza Sylwestra Zycha oraz maltretowania ks. Tadeusza Zaleskiego-Isakowicza. W każdej z tych spraw pozostał wierny przysiędze biegłego – wydawał opinie broniące prawdy, zgodnie z wiedzą i sumieniem.

Odrębnym obszarem cieszącego się wielkim szacunkiem oraz uznaniem dla kompetencji i rzetelności naukowej było powierzenie Profesorowi szeregu ekspertyz dla celów beatyfikacyjnych i kościelnych, związanych z ekshumacją zwłok ks. bp Adamskiego, ks. Ficka, ks. Blachnickiego i sióstr zakonnych Kieratowskiej, Laury Meozzi i Heleny Hoffman.

Podsumowując, chciałbym podkreślić, że znajomość prawa, szczególnie w zakresie orzecznictwa, w osobie Profesora jest połączona z nieprzeciętną erudycją oraz cechami osobowymi, skłaniającymi Go do stawania w duchu prawdy po stronie słabszych i pokrzywdzonych. Pokazywał to swoim życiem w momentach przełomowych naszej historii. Miało to zna-

czenie szczególnie wtedy, kiedy taka postawa niewątpliwie łączyła się z ryzykiem poniesienia często trudnych do przewidzenia osobistych konsekwencji. Obrona prawdy naukowej i zawodowej w obszarze medycyny sądowej i w orzecznictwie, w trudnych okresach naszej historii wymagała odwagi szczególnej. Jako nauczyciel akademicki i medyk sądowy przekazywał nam to, co sobą reprezentował, a mianowicie odwagę w poszukiwaniu prawdy i jej głoszenia. Niezwykła osobowość prof. Władysława Nasiłowskiego, Jego optymizm, wyznawane wartości, wrażliwość społeczna i poczucie sprawiedliwości, to wartości, jakie wnosił i wnosi do naszego środowiska akademickiego i całego środowiska medyczno-prawniczego.

W uznaniu zasług, jako niekwestionowanemu autorytetowi w środowisku medycznym, został wyróżniony „Wawrzynem Lekarskim”, najwyższym odznaczeniem Śląskiej Izby Lekarskiej. Również środowisko prawników doceniło zasługi Profesora, przyznając

mu odznaczenie „Adwokatura zasłużonym” – za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kształtowania i stosowania prawa i działalność publiczną, zwłaszcza w obszarze praw i wolności obywatelskich. W 2011 roku macierzysta uczelnia przyznała Mu zaszczytny tytuł *doktora honoris causa*.

Kończąc moją laudację, chciałbym zacytować fragment wspomnień profesora Nasiłowskiego z okresu młodości i czasu wojny. Pisze w nich: „Szarpia mnie niepokoję i chęć znalezienia swojego miejsca w otoczeniu i świecie. Nie wiem czy wojnę przeżyję i kim będę w przyszłości. Ale wiem na pewno, co to jest patriotyzm i co to jest przyjaźń” (*Kartki z kalendarza*. Wrocław 2013).

Bogu dzięki przeżył Pan wojnę, Panie Profesorze, i już wiemy, kim Pan został, niosąc i przekazując również nam ważne priorytety patriotyzmu i przyjaźni. Cieszymy się i jesteśmy dumni, że Członkowie Kapituły Nagrody Lux ex Silesia i Ekscelencja Ks. Arcybiskup podzielili tę opinię. ■



fol. arch.

Śląskie tajemnice cz. 21

W cieniu Długiego Domu

JULIA MONTEWSKA

Historia tego miejsca rozpoczyna się około 1209 roku, kiedy to w dokumencie Henryka Brodatego zostają wymienieni członkowie śląskiej rodziny rycerskiej Wierzbów. Prawdopodobnym jest, że to właśnie od ich nazwiska Wierzbna wyszła swą nazwę. W 1366 roku na skutek wygaśnięcia męskiej linii rodu Wierzbów majątek staje się własnością Konrada von Rohau, który wznosił w nim wieżę mieszkalną. Wieża ta wraz z dworem i całym lokalnym dziedzictwem sprzedana została w 1403 roku opactwu cystersów krzeszowskich i tym sposobem zakonnicy stali się właścicielami znacznej części wsi, nie posiadali jednak kościoła i należących do niego ziem, ponieważ te stanowiły własność cystersów kamienieckich.

Niestety tam gdzie chodzi o wpływy i pieniądze nie ma miejsca na wiarę i Boga, obie społeczności zakonne stale rywalizowały ze sobą, dochodziło do konfliktów i waśni o granice, wpływy i uprawnienia. Końcem końców stało na tym, że cystersi z Kamieńca Ząbkowickiego po trwających kilka lat targach postanowili pozbyć się parafii w Wierzbnej i sprzedali ją cystersom krzeszowskim, którzy utworzyli w tym miejscu przeorat.

W latach 80. XVII wieku wybudowano pałac mający pełnić funkcję letniej rezydencji samego opata. Powstał też klasztor, który ze względu na swoje rozmiary nazywany był „Długim domem”. Na skutek sekularyzacji zakonów na terenie Prus, w 1810 roku państwo pruskie przejęło majątki zakonne, i borykając się z ogromnymi problemami finansowymi, rozpoczęło ich wyprzedaż. Tym oto sposobem w 1812 roku nowym właścicielem dóbr stał się pruski minister spraw zagranicznych August Graf von der Goltz. Kolejnymi właścicielami byli członkowie rodu Malttzan, w których posiadaniu Wierzbna była do 1850 roku. Następnie majątek sprzedany został wrocławskiemu kupcowi Emilowi Goldschmiedowi, który po dziewięciu latach odsprzedał włości marszałkowi dworu, synowi króla pruskiego Eduardowi von Waldenburg. To za sprawą tego rodu do pałacu została doprowadzona woda oraz energia elektryczna.

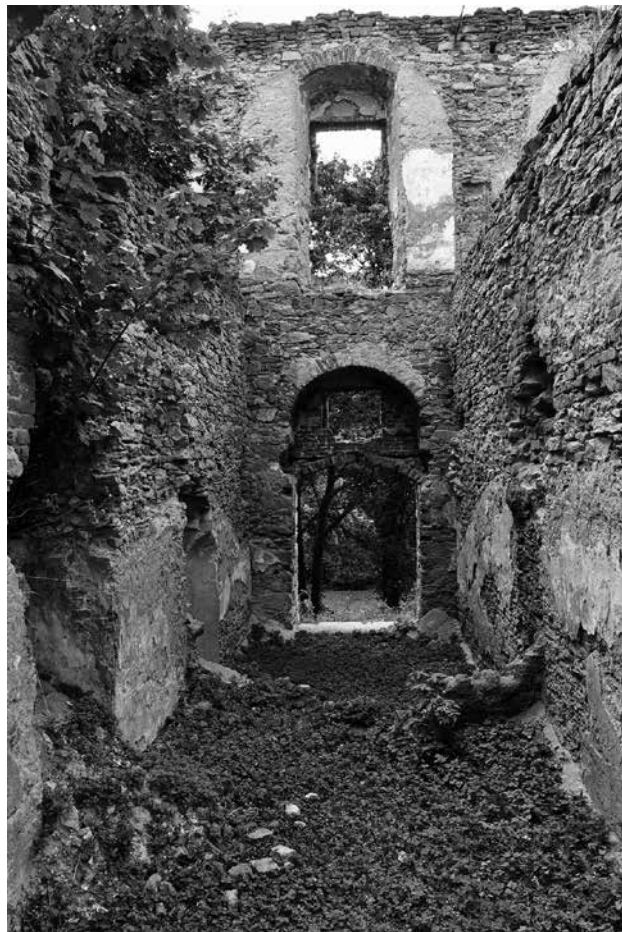
Pałac jest budynkiem pobudowanym na planie litery C z kamienia i cegły, posiada trzy dwukondygnacyjne skrzydła nakryte dachami czterospadowymi z lukarnami i powiekami. Elewacje ozdobiono gzymsami, zachowały się też ślady boniowanych lizen, toskańskich pilastrów i obramowań wokół otworów okiennych. Do 1945 roku

pałac pozostał w rękach rodziny von Waldenburg. Wierzbna to też lokalizacja jednej ze skrytek z legendarnej wśród eksploratorów i badaczy tajemnic II wojny światowej tzw. listy Grundmanna. Günther Grundmann był niemieckim historykiem sztuki i konserwatorem, który pod koniec wojny, w obliczu nadciągającej Armii Czerwonej, stworzył zaszyfowaną listę ukryć, w których przed wkroczeniem Rosjan zdeponowano cenne zabytki, dzieła sztuki i kosztowności. W Wierzbnej Grundmann ukrył w romańskim kościele dwa kamienne nagrobki książąt piastowskich — Henryka II Pobożnego i Henryka IV Probusa, przewiezione z kościołów wrocławskich. Po wojnie w 1948 roku odkryte nagrobki przewieziono do Muzeum Państwowego we Wrocławiu.

Pałac jak i „Długi dom” nie uległy większym zniszczeniom wojennym, i pomimo pierwszych grabieży i dewastacji tego miejsca, jakich dokonały wojska z pod znaku czerwonej gwiazdy to tak naprawdę upadek obu obiektów nastąpił dopiero w momencie, gdy władzę nad nimi przejął miejscowy PGR. Był to okres, w którym zdeprawowano i rozkradziono wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, w przypadku pałacu proces ten był wolniejszy, ponieważ budynek był początkowo przeznaczony na mieszkania pracownicze, a to opóźniło proces destrukcji. Zrujnowane opactwo odkupiła od gminy Fundacja Zamek Chudów i obecnie trwają prace mające na celu odrestaurowanie pałacu.

Kilka pomieszczeń zostało wyremontowanych i można je zwiedzać, reszta czeka na swoją kolej. Cała późnobarokowa rezydencja nie wygląda najlepiej pomimo

tego, że została dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W najgorszym stanie znajduje się „Długi dom”, to w zasadzie niebezpieczne ruiny, które grożą katastrofą budowlaną, w okresie powojennym wykorzystywane jako magazyny a w latach 70-tych ubiegłego wieku porzucone ze względu na tragiczny już w owym czasie stan techniczny. Z dawnej świetności zachowało się niewiele, kawałki posadzki, gdzieś widoczne polichromie, w nieco lepszym stanie są piwnice, ale i one noszą piętno wielu lat zaniedbań. Niebawem urody fontanna, dziś jest rozsadzona przez korzenie drzewa klombem, nie wiadomo kto i kiedy wpadł na tak brutalny pomysł zagospodarowania wodotrysku, faktem pozostaje, że wiele w tym miejscu zabrał czas a bezmyślność ludzka dopełniła aktu zniszczenia.



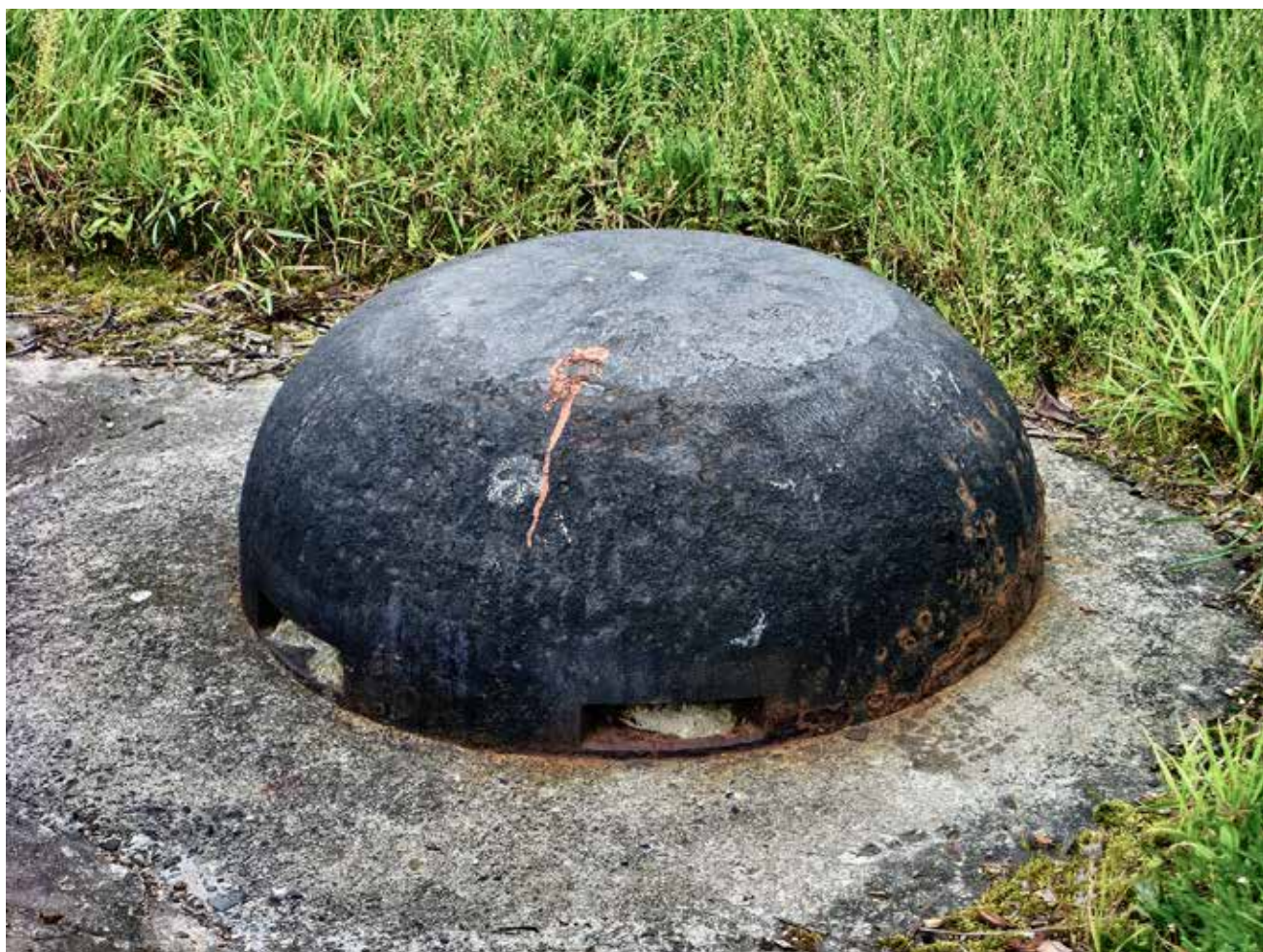
for. Julia Montewska

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.





Schron artyleryjski południowy obecnie.



Kopuła obserwacyjna w schronie artyleryjskim południowym.

Już widzę te rozszerzone oczy. Face-towi chyba coś się pomyliło. A może to błąd w druku. Bo jak to, Polacy ude-rzyli na Niemców? Oczywiście, wszy-scy wiemy co stało się 1 września 1939. Hitlerowskie Niemcy na całej długości swojej granicy zaatakowały naszą Oj-czyznę. Zdarzyły się jednak sytuacje, gdy było nieco inaczej.

Wydarzenia

Były takie przypadki. Gen. bryg. Roman Abraham, nota bene związany z Górnym Śląskiem, a podczas kampanii wrześnio-wej dowódca Wielkopolskiej Brygady Ka-walerii walczącej w składzie Armii „Po-znań”, w dniu 2 września wydał rozkaz swoim żołnierzom, aby weszli na teryto-rium III Rzeszy. Około godz. 14 żołnie-rze z 55 Pułku Piechoty (dowódca płk Władysław Wicierzyński) przeprowa-dzili wypad rozpoznawczy. Ruszyli w kie-runku miasteczka Fraustadt, które obec-nie leży w Polsce i nazywa się Wschowa. Ich oddział liczył ok. 300 żołnierzy i 7 oficerów. Była to 2 kompania 55 pp (dowódca kpt E. Lesisz), pluton samo-chodów pancernych, pluton ckm i plu-ton artylerii (dowódca kpt Ludwik Snit-ko). Polacy najpierw wkroczyli do wsi Dębowa Łęka (niem. *Geyersdorf*). Czo-łówka polskiego wypadu dotarła do ro-gatek Wschowy, czyli 8 km w głąb tery-torium Niemiec. Chwilę później dostali rozkaz odwrotu. Niemiecy mieszkańcy Dębowej Łęki i Wschowy byli w praw-dziwym szoku. Kapitan Lesisz zapłacił za to życiem, zamordowany podczas okupacji przez Gestapo. Nie darowano mu tego szaleńczego wypadu.

Inny przykład: Podlaska Brygada Ka-walerii dowodzona przez generała Km-ica-Skrzyńskiego przeprowadziła roz-poznanie na terytorium niemieckich Prus Wschodnich. W dniu 3 września o świcie granicę przekroczył 3 Szwadron ze składu 5 Pułku Ułanów Zasławskich, 1 i 2 Szwadron ze składu 10 Pułku Uła-nów Litewskich oraz 2 Szwadron ze skła-du 9 Pułku Strzelców Konnych. Za nimi miała ruszyć reszta Podlaskiej Brygady Kawalerii. W nocy z 3 na 4 września 5 Pułk Ułanów Zasławskich zajął wieś So-koły (niem. *Sokollen*), a także kilka oko-licznych wsi. Wkrótce nadszedł rozkaz do odwrotu. Polscy żołnierze zabrali ze sobą 30 jeńców (w tym dwóch ofice-rów), 15 ciężkich karabinów maszyno-wych, 2 samochody osobowe i ok. 200 rowerów. Całkiem niezły łup. Wypad zakończył się sukcesem.

Jeszcze inne przypadki. Opisany po-wyżej wypad polskich żołnierzy na te-rytorium Prus Wschodnich nie był jed-ynym. Innego dokonała Suwalska Bry-gada Kawalerii. Podobno w dniu 7 lub 8 września 1939 r. polski wodnopłatowiec startujący z Pucka albo Chałup zbombar-dował defiladę Wehrmachtu, która od-była się po kapitulacji polskich żołnie-

Historie pachnące betonem cz. 13.



Schron wykopowy na „Wzgórzu 310” podczas budowania autostrady A1

Wzgórze 310 czyli atak Polaków na Niemcy

DARIUSZ PIETRUCHA

rzy na Westerplatte. Padli ranni i zabi-ci. Nie wiem, czy to ostatnie wydarzenie faktycznie miało miejsce, czy jest tylko skutkiem zapotrzebowania na legendy. Jednakże temu, że w 1939 roku w kil-ku przypadkach doszło do ataku Pola-ków na terytorium III Rzeszy nikt nie zaprzeczy. Pojedynczy polski samolot PZL 23 Karaś, czyli lekki bombowiec i samolot rozpoznawczy w 1939 r. a-takował z powietrza niemiecką fabrykę w Oławie (niem. Ohlau). Zrzucił na nią osiem bomb.

Kolejny taki przypadek miał miejsce na Śląsku. Przepaszam, to już nie Śląsk, choć to obecnie woj. śląskie. To za rze-ką Brynica, na terenie dawnego zaboru rosyjskiego, w Zagłębiu, więc historycz-nie rzecz biorąc Małopolska.

Wzgórze 310

To był najsilniejszy punkt oporu na pół-nocnym skrzydle Obszaru Warownego „Śląsk”. Chodzi o „Wzgórze 310” nazy-wane Namiarki (gmina Bobrowniki), gdzie zdecydowano się wybudować cały system fortyfikacji, który praktycznie

zmienił owo miejsce w twierdzą. Wzgó-rze z trzech stron było otoczone rze-ką Brynicą. Miejsce naturalnie obrone-ne. Na wzgórzu nie tylko wybudowano sieć żelbetowych schronów, ale również otoczono je liniami okopów i stanowi-skami ziemnymi. Zbudowano nawet so-lidne, utwardzone drogi. Nie zapomniano nawet o budynku koszarowym. Same schrony tworzyły dwie, a nawet i trzy li-nie obrony. Całości dopełniały obiekty pozorne i pozorno-bojowe, a także róż-nego typu budowle hydrotechniczne, któ-re umożliwiały zalanie terenów wzdłuż rzeki Brynicy począwszy od Świerklań-ca w kierunku na Brzozowice (obecnie Piekary Śląskie).

Pierwsze prace budowlane w tym miej-scu rozpoczęły się w 1933 roku, co ozna-cza, że były to jedne z pierwszych pol-skich schronów bojowych, które później utworzyły OWŚ. Widać jednak wyraź-nie różne cechy typowe dla polskiej for-tyfikacji z lat 1933-1936. To po pierwsze duża oszczędność materiałów budow-lanych znacznie zmniejszająca kubatu-rę obiektów. Takie obiekty były po pro-

stu tańsze. W niewielkich schronach instalowano jednak spore ilości uzbrojenia, co czyniło warunki walki bardzo trudne. W sumie można tylko współczuć żołnierzom, którzy w tak ciasnych pomieszczeniach byli zmuszeni do twardej walki z wrogiem.

Całe „Wzgórze 310” zostało pokryte siecią niewielkich, lecz silnie uzbrojonych obiektów (ogółem ok. 16). Obok „Wzgórza 304,7” w Dąbrówce Wielkiej (obecnie Piekary Śląskie) i „Szybu Artura” (obecnie Ruda Śląska) był to jeden z pierwszych elementów późniejszego OWŚ. Prawdziwe fortyfikacyjne dzieło. Pewnie nie uchroniono się od błędów, ale przecież człowiek na błędach się uczy.

Obrazki z przeszłości.

Niemiecka kronika filmowa „Die Deutsche Wochenschau” z dnia 6 września 1939 r. pokazuje straszliwe obrazki. Narrator podniesionym głosem mówi tak, aby w widzach wywołać gniew, a nawet i wściekłość. Co pokazują kolejne ujęcia? Budynki mieszkalne zniszczone lub ciężko uszkodzone. Ślady po odłamkach wbitych w ściany. Widać wyraźnie, że zostały trafione jakiegoś rodzaju pociskami. Nagle pojawia się tabliczka z nazwą miejscowości. Beuthen O/S czyli dzisiejszy Bytom. Następnie pokazywane są zdemolowane wnętrza domów, mieszkań i zropanczonych mieszkańców. Wszystko kończy króciutki wywiad z jednym z poszkodowanych, który żali się na Polaków. Narrator zaraz kontynuuje temat. To efekt polskiego ostrzału artyleryjskiego skierowanego na cele cywilne. Czyli co? Oczywiście atak terrorystyczny, który w pełni usprawiedliwia fakt wkroczenia do Polski oddziałów niemieckich.

Czy to prawda? Po części tak. Niemcy zapomnieli jednak wspomnieć, że ogień

polskiej artylerii był skierowany na niemieckie koszary wojskowe, które leżały w zasięgu skutecznego ognia polskich armat kal. 75 mm strzelających ze „Wzgórza 310”. Dokładnie w dniu 2 września 1939 r. nadgraniczne peryferie Bytomia (najbardziej wysunięte w stronę polskich Piekar Śląskich) zostały ostrzelane przez polską artylerię. Prawdopodobnie był to odwet za niezwykle uciążliwe działania niemieckich dywersantów z organizacji Freikorps. Strzały padły z istniejącego do dnia dzisiejszego polskiego schronu artyleryjskiego znajdującego się na „Wzgórzu 310” w Bobrownikach (powiat będziński). Minister propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels wykorzystał ten fakt, medialnie obwiniając stronę polską o mordowanie niewinnej cywilnej ludności Bytomia.

To kolejny przypadek, gdy Polacy zaatakowali III Rzeszę...

Schrony artyleryjskie

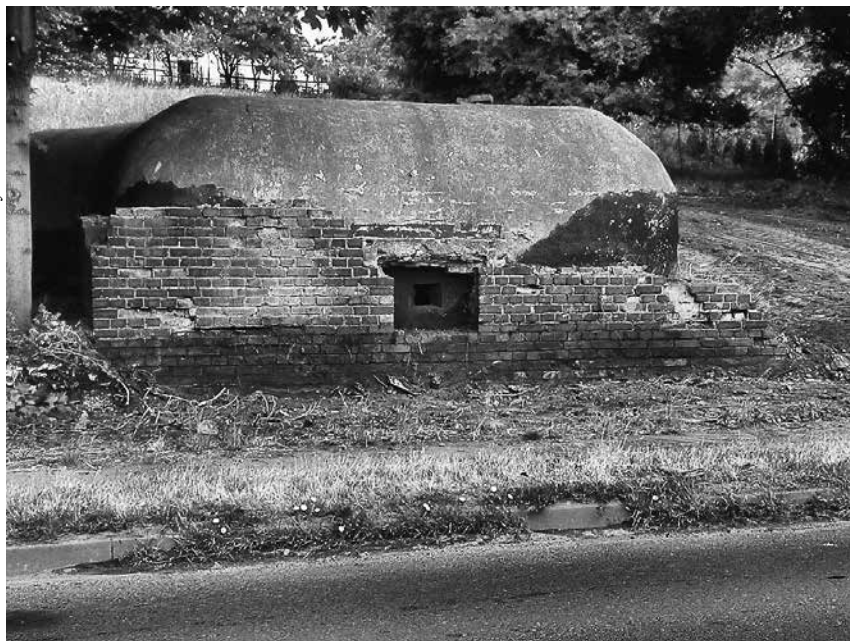
Teraz nieco o samych bobrownickich schronach artyleryjskich. Na początku trzeba wspomnieć, że te, które znajdują się na „Wzgórzu 310”, nazywane tradytorami południowym i północnym są jedynymi obiektami na przebiegu OWŚ, w których konstrukcję schronu podporządkowano artylerii, a ckm-y pełniły tylko rolę pomocniczą. W pozostałych schronach artyleryjskich na przebiegu OWŚ jest dokładnie odwrotnie. Są to również obiekty unikalne, bo kryjące w sobie dwa stanowiska armat kal. 75mm, czyli najcięższej broni, jaką zastosowano w schronach OWŚ. Zamontowane na obrotowych platformach mogły prowadzić ogień z dwóch strzelnic. Trudno powiedzieć, czy w dniu 2 września ostrzelały niemiecki Bytom z wnętrza schronu, czy też zostały wytoczone na zewnątrz, na przygotowane obok

schronu stanowiska polowe. Na „Wzgórzu 310” spotkamy schron artyleryjski południowy (z którego ostrzelano Bytom) oraz bliźniaczy schron artyleryjski północny (z którego ostrzelano niemiecką grupę dywersyjną usiłującą przejąć kopalnię „Radzionków”).

Schron artyleryjski nazywany tradytorami południowym to ciężki schron bojowy, przeznaczony dla dwóch dział kal. 75mm i dwóch ckm-ów. Na osi swojego założenia posiada on wejście główne, jak również rozmieszczone wokół niego dwa wjazdy dla armat kal. 75 mm. Wejście do schronu zostało zabezpieczone za pomocą drzwi pancernych, a wjazdy dla armat bramami pancernymi, za którymi znajdują się przedionki. Aby wnętrze schronu było jeszcze bardziej bezpieczne, za przedionkami zastosowano kolejne drzwi i bramy wykonane z pancernych blachy. W centrum obiektu znajduje się izba dowódcy, która posiada również wejście do szybu prowadzącego do pancerniej kopuły obserwacyjnej wz. 34 (sygnowana ZO.1936 N40). Tak małej, że trzymając w niej głowę było się jakby w nieco większym hełmie. Jak sobie wyobrażę obserwację terenu pod ostrzałem, to aż strach pomyśleć...

Po jednej i po drugiej stronie izby dowódcy znajdują się izby bojowe dział, których wygląd znamy z niemieckiej fotografii. W każdej izbie bojowej dział znajdowały się osadzone na stalowym trzonie obrotowe, drewniane platformy, za pomocą których lufę działa można było przemieszczać pomiędzy prawą i lewą strzelnicą. Owe strzelnice można było zamknąć stalowymi, dwudzielnymi zasłonami pancernymi z otworami, które pozwalały na prowadzenie ognia z broni ręcznej. Do jednej i do drugiej izby bojowej armat przylegają izby bojowe dla ckm-ów wyposażone w pionowe płyty pancerne, za których prowadzono ogień. Na skrzydłach obiektów umieszczono z jednej strony pomieszczenie załogi, a z drugiej maszynownię. Łączność wewnętrzna był zapewniona dzięki zamontowaniu rur głosowych. Podejście od czoła do tego obiektu było szaleństwem. Natomiast zapole tych schronów było bardzo słabo chronione. Praktycznie w ogóle. Dlatego bez wsparcia innych obiektów schrony artyleryjskie nic nie znaczyły.

„Wzgórze 310” było prawdziwą twierdzą. Dwa schrony artyleryjskie czyli ogółem bateria dział kal. 75mm. Śmiertelnie skuteczna broń sięgająca swoim zasięgiem terytorium Niemiec. Duże nasycenie broni maszynowej. Rozgałęzione linie okopów, zapór przeciwpiechotnych i pola minowe zabezpieczały całe wzgórze przed atakiem wrogiej piechoty. Okalająca wzgórze rzeka była kolejnym utrudnieniem. „Wzgórze 310” w Bobrownikach górowało nad całą okolicą. Obserwatorzy mieli stąd doskonały widok



Schron maskowany ceglana ścianą na „Wzgórzu 310”.

w bardzo szeroką panoramę terenu i duży odcinek dawnej polsko-niemieckiej granicy. Podejście pod wzgórze bez użycia broni pancernej, samymi tylko siłami piechoty, byłoby bardzo trudne. Wydaje się, że wręcz niemożliwe. Wystarczyło przecież wysadzić mosty na Brynicy, które zresztą były do tego przygotowane. Silny ostrzał artyleryjski przeciwnika mógł co prawda nieco „zmiękczyć” polską obronę, ale raczej nie był w stanie jej całkowicie zniszczyć. To samo z nalotami bombowymi. Zresztą, schron jest bardzo trudnym celem do trafienia, a odpowiednio zamaskowany, był niewidoczny dla lotniczych obserwatorów.

Stan obecny

Niestety, przez wiele lat schron południowy był bardziej wystawiony na działalność złomiarzy, niż artyleryjski schron północny. Dlatego w tym drugim zachowała się nawet drewniana platforma, jak i sporo pancernych zamknięć. W schronie południowym nie zachowało się nic. Jedynie podczas prac porządkowych w stercie gruzu znaleźliśmy jeden ze stalowych trzpieni, na którym obracała się platforma, a także spore fragmenty oryginalnych kabli telefonicznych. Warto wspomnieć, że w okresie PRL-u z tego obiektu korzystało Wojsko Polskie, które do ściany tylnej dobudowało jakiś ceglany budynek, właściwie niewiadomego przeznaczenia. Prawdopodobnie rodzaj magazynu. Musieliśmy to wszystko rozebrać...

Tradycję północny wyposażony w pancerną kopułę obserwacyjną sygnowaną ZO 1936 N27 znajduje się na terenie dzierżawionym przez osoby prywatne. Z jednej strony to dobrze, bo wszystkie obecne osoby kręcące się wokół niego zostają od razu przegonione. Z drugiej strony nie najlepiej, bo ci, którzy tylko chcą zobaczyć obiekt, są potraktowani tak samo. Byłem w nim kilka razy, ale trzeba było być ostrożnym i zachowywać się niezwykle cicho. Na szczycie wzgórza znajduje się również magazyn amunicyjny, jak również niezwykle ciekawy obiekt obserwacyjny. No i koszary z przylegającymi do budynku z dwóch stron tarasami, które tak naprawdę są schronami bojowymi. Koszary, które obecnie są przedszkolem.

„Wzgórze 310” zostało przecięte na dwie części, gdy budowano autostradę A1. Dwa obiekty zostały zniszczone (schron pozorny oraz zupełnie unikalny, dwupoziomowy schron bojowy). Kolejny obiekt, schron wykopowy, nagle się znalazł w zбочu autostrady. Wyremontowany dzięki wsparciu firmy budującej autostradę jest teraz doskonale widoczny dla wszystkich użytkowników tej trasy szybkiego ruchu. Niestety, nie można go zwiedzać, bo jest za ekranami ochronnymi dla dzikiej zwierzyny.



fol. Dariusz Pietrucha

Wnętrze izby bojowej schronu artyleryjskiego południowego obecnie.

Dokonania i plany

„Wzgórze 310” leży na terenie działania koła terenowego „Dobieszowice”, które na swoim koncie ma już wiele sukcesów i dokonań, w tym pierwszy odrestaurowany polski schron bojowy w Dobieszowicach. Członkom tego koła udało się już również odrestaurować dwa schrony bojowe będące pierwszą linią obrony na „Wzgórze 310”. Co prawda są to schrony dwukondygnacyjne, ale tak niesamowicie małe, że przebywanie w nich, jak również walka wydaje mi się prawdziwym horrorem. Jeden z nich został już całkowicie odrestaurowany, a drugi jest w fazie remontu. Ciekawostką jest również podobny obiekt, leżący na terenie prywatnym, który został oryginalnie zamaskowany rodzajem ceglanej ściany, by imitować zwykły budynek gospodarczy. Za zgodą właściciela moi koledzy odkopali go, wyczyścili, nieco ponaprawiali i zabezpieczyli drzwiami, a także oznaczyli, jak zresztą dwa wcześniej opisane, tablicami informacyjnymi.

Prawdziwym skarbem jest schron artyleryjski południowy, z którego prowadzono ogień w głąb terytorium III Rzeszy. Niestety, jest on również bardzo zdewastowany. Jak na razie udało się nam go wyczyścić wewnątrz (nawet kilka razy), oczyścić jego otoczenie (były tam zwalony gruzu i śmieci), jak również zabezpieczyć poprzez zamurowanie wszystkich strzelnic i drzwi. Po to, aby schron ponownie nie został zaśmiecony lub jeszcze bardziej zdewastowany, choć bardziej chyba już się nie da. Obiekt czeka na lepsze czasy, bo ciągle poszukujemy

finansów na jego remont. Szkoda, że schron z taką historią musi na to czekać. Nie powinno tak być. Do niedawna mieliśmy również pod opieką schron amunicyjny na „Wzgórze 310”, ale z powodu zbyt dużych kosztów zrezygnowaliśmy z jego renowacji. Może kiedyś...

Jest jeszcze jedna szansa. Budynek koszar, który ma w sobie jeszcze trochę oryginalnych elementów wyposażenia, zajmowany obecnie przez przedszkole, za niedługo pozostanie pusty. Wiąże się to ze zmianami organizacyjnymi w gminie, a także z budową nowoczesnego budynku przedszkola, które będzie mogło pomieścić o wiele więcej dzieci. To budzi nadzieję na przyszłość. Gdyby udało nam się przejąć ten budynek wraz z przylegającymi do niego dwoma schronami, a później przekształcić go w rodzaj muzeum poświęconego historii OWŚ, byłoby to niesamowite osiągnięcie. Głównie dlatego, że muzeum byłoby ulokowane w oryginalnym miejscu, w koszarach, gdzie kiedyś stacjonowali polscy żołnierze z 11 Pułku Piechoty z Tarnowskich Gór, ze składu 23 Dywizji Piechoty, która we wrześniu 1939 r. obsadzała śląskie fortyfikacje. Jeśli do tego dodamy dwa wyremontowane schrony bojowe, schron artyleryjski, który został zabezpieczony, jak również wyremontowany schron bojowy w niedalekich Dobieszowicach, mielibyśmy piękny skrawek polskich fortyfikacji popularyzujący nie tylko ich historię, ale również losy tych ziem. Skansen forteczny „Wzgórze 310”. Coś takiego nam się marzy. Miejmy nadzieję, że się uda. Trzymajcie kciuki. ■

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

Powstańcze manierki (cz. 2)

ŁUKASZ JÓZEF HUBACZ

Zaprezentowane w poprzednim materiale zestawienie niemieckich konstrukcji manierek nie powinno jakkolwiek przysłaiać ewentualności występowania i innych naczyń wojskowych na obszarze plebiscytowym. Zapewne jest to jednak znikomy procent w skali posiadanych przez powstańców tego typu przedmiotów. W szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska mogły bowiem w mniejszej ilości zostać zaadoptowane manierki francuskie, włoskie czy choćby brytyjskie. Ma to bez wątplenia związek z utworzoną po pierwszym powstaniu (od lutego 1920 r.) Międzysojuszniczą Komisją Rządzącą i Plebiscytową na Górnym Śląsku. Jej zbrojne ramię stanowiły kilkutyśięczne wojska francuskie i włoskie oraz przybyły w 1921 r. kontyngent brytyjski. Wzory naczyń wyżej wymienionych państw nie uległy zasadniczo zmianie od czasu zakończenia Wielkiej Wojny.

Manierki wojsk francuskich to przede wszystkim *bidone mle* 1877 o pojemności 1 oraz 2 litrów. Pojemniki o mniejszej pojemności były przeznaczone dla żołnierzy stacjonujących we Francji (fot. 1, obiekt drugi od lewej). Manierki większe, pierwotnie wykonywano natomiast dla pozazuropejskich wojsk ekspedycyjnych (fot. 1, obiekt czwarty od lewej). Zamyśl ten uległ zmianie podczas Wielkiej Wojny. Od momentu wiosennej ofensywy w 1915 r. żołnierze byli ekwipowani w dwa naczynia litrowe. W tym samym roku manierki dwulitrowe były już na wyposażeniu całej armii. Zadziwiać mogą barwy pokrowca. Pierwszy kolor etui określane były jako tzw. *gris de fer bleut* – czyli ciemnoniebieski. Taki odcień stosowano w oddziałach stacjonujących na terenie Francji od 1877

do 1914, a przez wojska w Afryce Północnej do 1915 roku. Kolejny, to pokrowiec z tkaniny w kolorze błękitnym a więc *bleu clair* nazywany również *bleu horizon*, który został zatwierdzony pod koniec 1914 roku. Barwa natomiast musztardowa, czyli *moutarde*, stosowana była dla pokrowców manierek o pojemności 2 litrów i wykorzystywanych od połowy 1915 r. przez wojska w Afryce Północnej, a od 1918 r. przez część wojsk kolonialnych. Nie jest szczególnym wyjątkiem pokrywanie jedynie farbą pojemników. Zdarzają się egzemplarze pomalowane na niebiesko i brązowo. Pewnym urozmaicheniem jest również zastosowanie dla sanitariuszy przyszywanych emblematów z czerwonym krzyżem do pokrowców, jak również ich malowanie bezpośrednio na korpusach manierek. Zasadniczo etui wykonywano z filcowego sukna, jednak w ramach oszczędności stosowano sztruksowe a niekiedy płócienne. Cechą charakterystyczną tych blaszanych pojemników był dodatkowy ustnik, który spełniał dość funkcjonalne zadanie. Po pierwsze, służył jako otwór, z którego można było pić, a raczej sączyć zawartość i powoli gasić pragnienie, a ponadto był swoistym odpowietrznikiem ułatwiającym czerpanie lub wylanie płynów przez większy otwór. Warto zwrócić uwagę również na blaszany model o smukłej budowie i o pojemności 1 litra (fot. 1, obiekt pierwszy od lewej). Wzór ten określany jako 1884 wraz z dołączanym od spodu kubkiem tworzył dość nowatorskie rozwiązanie jak na owe czasy. Korpus blaszanego naczynia był osłaniany od ustnika do kubka pokrowcem sukiennym, najczęściej w kolorze granatowym, a niekiedy malowany farbą

o tej samej barwie. Następcą tej manierki był aluminiowy model 1892 o tej samej pojemności (fot. 1, obiekt trzeci od lewej). Na korpusie naczynia wytłaczano pięć podłużnych rowków mających je uodpornić na ewentualne uszkodzenia a jednocześnie usprawniających tzw. chwyt. Nie zapomniano również o dołączeniu od spodu aluminiowego kubka. Cały zestaw pokrywano matową czarną farbą, a niekiedy samą manierkę zaopatrywano w etui wykonane ze skóry lub płótna. Wszystkie wymienione cztery wzory przenoszono przez ramię za pomocą skórzanego paska. Choć to nie jedyne naczynia francuskie, to jednak najpopularniejsze dla opisywanego okresu.

Włoska armia wkroczyła na arenę Wielkiej Wojny wraz z archaicznymi manierkami (wł. *borraccia*) o pojemności około 0,75 litra wykonanymi z drewna. Najpopularniejszym wśród nich typem był model 1909 (fot. 2, awers i rewers – obiekt drugi i trzeci od lewej), ale i występowały wcześniejsze wzory takie jak: 1907, 1905 czy w końcu 1876 (fot. 2, obiekt pierwszy od lewej). Wszystkie wymienione powyżej włoskie typy były analogicznym rozwinięciem wcześniejszych w tym kraju modeli 1835 i 1853. Korpus naczynia wykonywano z jednego kawałka drewna wierzby lub topoli. Całość była wzmocniana podwójnie obręczami. Do wykonania górnego i dolnego elementu używano akacji, wiśni, grabu lub morwy. Manierki posiadały drewnianą zatyczkę w formie nakrętki. W jej centrum osadzony był w małym otworze dodatkowy drewniany czop, dzięki czemu można było sprawnie użyć manierki bez konieczności odkręcania głównej nakrętki. Naczynie przenoszono przy użyciu skózanego nieszaka. Różnice w modelach 1905, 1907 i 1909 polegały na modernizacjach taśm metalowych wzmocniających całość konstrukcji oraz sposobu wykonania zaczepu do jej troczenia. Dla ścisłości zaznaczyć należy, że istniały bardzo zbliżone typy drewnianych manierek wykonywanych w Anglii, jak choćby typ 1874, czy w Rosji w postaci modeli: 1882, 1885 i 1889. Pod koniec I wojny światowej Włosi przystąpili do produkcji, bardziej zaawansowanych technologicznie, modeli blaszanych manierek o pojemności 1 litra i określane jako wzór 1917. Jeden z nich wykonywany był na kształt prostokąta (fot. 3, awers i rewers – obiekt pierwszy i trzeci od lewej), a drugi okręgu (fot. 3, obiekt drugi od lewej). Oba rodzaje zaopatrywane były najczęściej w pokrowiec. W wersji prostokątnej wlew naczynia zaślepiany był przy użyciu korkowej zatyczki.

fot. aut.



fot. 1

Okrągła manierka zabezpieczana była podobnie jak poprzednia. Zdarzały się jednak przypadki zamykania otworu naczynia owalnego gwintowaną blaszaną nakrętką. Obie wersje pojemników przystosowane były do troczenia ich przy pasie głównym żołnierza. Jedyńm wyjątkiem zastosowania manierek niedrewnianych, tak przed jak i w trakcie Wielkiej Wojny, były w niewielkiej ilości produkowane naczynia aluminiowe. Określane jako typ 1909 (adekwatnie do wręcz identycznego modelu 1909 carskiej Rosji) wraz z dołączanym od spodu kubkiem dedykowane były wyłącznie dla personelu medycznego.

Angielskie manierki (ang. *canteens*, *water bottle*) to niewątpliwie model określany w literaturze przedmiotu jako *pattern 1908*. Istniejące modyfikacje tego wzoru dotyczą nie tylko, ale przede wszystkim, wariantu wykonania pokrowca, noszaka oraz taśm nośnych. Tym sposobem wyróżnia się odrębne modele dedykowane dla piechoty, kawalerii czy dla personelu oficerskiego określane np. jako *pattern 1919* (fot. 4, obiekt pierwszy od lewej). Angielska armia wykorzystywała w czasie I wojny wiele rozmaitych wzorów. Zestawienie wszystkich typów i zarazem opis wymaga odrębnego i obszernego opracowania. Ponadto należałoby dokonać niezbędnego rozróżnienia modeli, które w bardzo podobnej konstrukcji wykorzystywane były podczas kolejnego konfliktu. Mimo wszystko, dla zakresienia ogólnego angielskiego wzornictwa, pozostaje zwrócić uwagę na pierwotną i podstawową wersję naczynia określanego jako *pattern 1908*. Wykonywane było ono ze stali emaliowanej w kolorze niebieskim lub granatowym i o pojemności 1,14 litra (co odpowiada 2 pint). Pewnym urozmaicheniem jest również wyprodukowanie w mniejszej ilości manierki w 1915 r. przy użyciu stopu niklu, o charakterystycznych wgłębieniach na korpusie – poprawiających chwyt. Naczynie to było dedykowane dla kawalerii (fot. 4, obiekt drugi od lewej). Manierki posiadały korkowy korek zabezpieczony metalowym kapturkiem. Oba elementy łączyła śruba, która, uformowana w górnej części na kształt oczka, pozwalała na stabilne przytroczenie sznurka.

Wymienione w pierwszej części cyklu manierki niemieckie oraz powyższe tylko częściowo ilustrują bogactwo tego rodzaju wyposażenia na obszarze plebiscytowym. Do tej pory nie wspomniano jeszcze o innym komponencie wojskowym podczas III Powstania Śląskiego, a którego ekwipunek w zakresie naczyń różnił się od wspomnianych już armii. Konieczna ich prezentacja wymusza zatem konstruktywną kontynuację podjętej problematyki. Mam nadzieję, że o kolejnym typologicznym wykazie pozostałych manierek przekona się wkrótce czytelnik na łamach niniejszego periodyku.



fot. 2

fot. aut.



fot. 3

fot. aut.



fot. 4

fot. aut.

Łukasz Józef Hubacz — poza życiem zawodowym i naukowym z zamiłowania historyk, konserwator oraz kustosz swojego wieloletniego zbioru wojennej „garkuchni”. Znacznik manierek wojskowych oraz badacz zjawiska sztuki okopowej i obozowej. Autor publikacji i artykułów w tym zakresie oraz tematycznych wystaw muzealnych. Potwierdza swoją pasją, że dobre kolekcje są pokłosiem wielu wyrzeczeń. Na co dzień służbą oddany Ojczyźnie.

Francik

Nauczanie języków obcych w naszej dolinie miało się dobrze. Za sanacji. Języka niemieckiego uczyła pani magister Helena B., a języka polskiego pani magister Gertruda V.

W nowym porządku nie było miejsca ani dla jednej ani dla drugiej. Pierwsza straciła posadę nauczycielki, bo po gehennie minionej wojny nikt nie będzie się chciał uczyć języka niemieckiego, a już na pewno nie w wydaniu sanacyjnej szlachcianki.

Od drugiej, pani magister Gertrudy, nowy porządek zażądał zmiany nazwiska odziedziczonego po niemieckich przodkach, na polskobrzmiące, Ptasznik. Nie zgodziła się. Zwolniona, dorabiała na sprzątaniu i praniu ludziom bielizny. Po tem nauczyła się szyc i całkiem nieźle sobie radziła. A nazwiska nie zmieniała.

Ale jej sława rosła w całej okolicy. Nikt w naszej dolinie nie znał języka polskiego i historii Polski lepiej od pani Gertrudy. Dlatego zaczęła udzielać prywatnie lekcji tym, którzy marzyli o deskach teatrów, polonistyce, studiowaniu prawa. Odwiedzali ją też kandydaci na literatów, chcąc usłyszeć jej zdanie na temat swoich literackich początków.

Przyszedł Francik ze swoim wierszem.

— Jo zech niy móg spać ani jeść. Jo zech myślał ino ło tym. Jo niy wiym co sie zy mnom stało. Jo to musioł napisać. Moga przeczytać?

— Przeczytaj, posłucham z przyjemnością.

Francik zaczyna drżącym głosem:

*Ze asty twojygo syrca,
łodleciół fogel mojygo miłowania,
co wszystko chciół som dło siybie
i wiyncyj doczkać niy paradziuł.*

*Ino luft godo cosik keby twoje miano,
ale zech niy suchoł,
bo zech go już niy poczebowoł.*

Pani Gertruda zareagowała dopiero po chwili.

To jest bardzo piękne Franciszku. Udało ci się zapisać piękno przy pomocy słów, które dla Polaków są brzydkie. Język śląski nie jest dla nich językiem, nazywają go żargonem. I tak jak śląska kultura skazany jest na zapomnienie. A przecież zachowały się w nim słowa i formy pochodzące z czasów Bolesława Chrobrego. Możesz temu zapobiec, ale musisz pisać w obu językach, bo żaden Polak nie zechce słuchać ani czytać żargonu, i nie zauważy twojego talentu. Jeżeli chcesz, będę udzielała ci bezpłatnie lekcji języka polskiego.

I tak zaczęły się spotkania Francika z panią Gertrudą, która podzieliła się z nim tym wszystkim co uważała za najważniejsze w polskim języku, literaturze i historii.

*

Francik skończył szkołę podstawową i liceum. Na balu maturalnym przeczytał publicznie kilka swoich tekstów, zakończył wierszem, tym całkiem pierwszym:

*z gałązki twojogo serca
sfrunął ptak mojej miłości
samolubny i niecierpliwy
i tylko wiatr powtarza
jakiś niepotrzebne słowo
które kiedyś
było twoim imieniem*





Jeden z opisywanych przez autora opowiadania bunkrów przy stacji PKP w Katowicach Ligocie.

Gryjtka

Betonowe bunkry przywieźli ze sobą Niemcy. Postawili je tuż obok stacji kolejowej Katowice-Ligota i zabrali się do grzebania w piasku. Pokrzywionym, rosnącym w kępach świerkom pozwolili żyć. Pewnego dnia odjechali gdzieś daleko.

Mieszanka betonowych kolosów, pokrzywionych świerków i żółtego piasku stała się ulubionym miejscem naszych zabaw. W bunkrach bawiliśmy się w wojnę, a ogromne jak mi się wtedy wydawało piaskowe góry służyły nam za tereny skoków i place budowy wspaniałych piaskowych zamków.

Najdalej skakała mała Gryjtka. Nie rozumieliśmy skąd w jej krótkich nóżkach bierze się tyle sprężystości. W budowaniu piaskowych zamków najlepszy był Gustlik, który też opowiadał niesamowite historie o naszych bunkrach i o szczurach zjadających w nich małe dzieci. „Do łostatnij giyry.” — podkreślał.

Trochę niepokoiły mnie te bunkry do czasu, kiedy sam urosłem na tyle, żeby zapalić pierwszego papierosa. Wtedy dopiero zrozumiałem, że nikt nikogo w bunkrach nie zjadł i tak naprawdę były miejscem pierwszych papierosów, pierwszej flaszki wina i pierwszych miłosnych przymiarek.

Kiedy zrobiliśmy się trochę więksi, kupiliśmy paczkę papierosów i butelkę wina truskawkowego i weszliśmy do bunkra stojącego najbliżej stacji. Marian zwany Mankiem typiąc jednym okiem otwierał paczkę papierosów, a Gustlik mocował się z korkiem. Nagle do bunkra wszedł Filek, pracownik kolejowych warsztatów naprawczych taboru kolejowego i wrzasnął: „Wy pierońskie podciepy, jo wom pokoża cigarety kurzyć!”. Patrzyliśmy na niego ze strachem i myśleliśmy o jednym, żeby tylko nie powiedział nic naszym rodzicom. Ale Filek powiedział i tak musieliśmy na ten swój pierwszy papieros i pierwsze wino jeszcze trochę poczekać.

Z pierwszą miłością było trochę inaczej. Przedmiotem naszych zabiegów na tym polu była Gryjtka. Może z powodu tych skoków, których jej zazdrościliśmy z całej siły? Gajec był z tych co szybciej dojrzewają. Coś tam usłyszał, coś podpatrzył i wiedział na pewno, że najpierw trzeba sobie pokazać. Nie bardzo wiedział co było dalej, tak jak nikt z nas nie wiedział co było dalej za knajpą Zielkiego. Pewnego dnia podszedł za naszym przyzwoleniem do Gryjtki i jąkając się zaczął: „Ty, Gryjtka... wysz... my by chcieli... no, jo, Manek,

Paulek, Francik... no, my ci mogomy pokożać, ale ty nom tyż musisz pokożać.”

Gryjtka nie bardzo rozumiała o co mu chodzi, to też Gajec zakończył prosto z mostu: „Pokoż nom jak lejesz to my ci tyż pokożymy. Wszyscy!” podkreślił. Gryjtka przewróciła oczami i uciekła. Mnie jednak to pokazywanie nie mogło uciec z głowy.

Pełna fura gipsowych Kościuszków i Matek Boskich pojawiła się na drodze do klasztoru. Było jasne, zbliża się odpust. Karuzele, strzelnice, budy ze słodyczami i wszystko to co mogło nam zamieszać w głowach i zmienić ocenę rzeczywistości. Gryjtce też zmieniło. Za torebkę futermyłoków pokazała mi wszystko. Ale kiedy dobrze rozumiejąc obowiązek wobec płci przeciwnej chciałem jej też pokazać, wyrwała mi z ręki pierniki i uciekła, zostawiając mnie samego i nie rozumiejącego nic. „To musi chodzić o coś innego”, pomyślałem, „Patrzeć, jak dziewczyna sika, i jeszcze jej za to płacić?” Tych futermyłoków nie mogłem odżałować.

*

A jednak łączyło mnie z Gryjtką coś więcej niż pokazywanie. Przekonałem się o tym, kiedy po raz pierwszy pocałowałem ją na cmentarzu. „Nie umiesz całować.” — powiedziała. Był to mój pierwszy pocałunek. Poczułem językiem zęby Gryjtki i przypomniałem sobie szkielet stojący w naszej zoologicznej pracowni. Poczułem się nieswojo.

Zaczęliśmy się regularnie spotykać. Do czasu. Pewnej soboty przyszła Gryjtka na nasze spotkanie na cmentarzu zapłakana. Rodzina dostała papiery i jest spakowana. Wyjeżdżają do Niemiec. Na zawsze. „Do naszygo hejmatu” — powtarzał ojciec Gryjtki. W podaniu o 'Staatszugehorigkeit', w rubryce 'Muttersprache' wpisał starannie „niymniecki”. Po śląsko-polsku.

Było jasne, że Gryjtka przyszła się pożegnać. Na cmentarzu? Zdecydowałem się zabrać Gryjtkę do domu. Moja matka domyślając się naszego pierwszego uczucia i pierwszej tragedii powiedziała: „Wrócę po ósmej, ojciec też wróci nie wcześniej. Umówiłam się.” I wyszła.

Nigdy więcej nie spotkałem Gryjtki, i moja matka nigdy też nie powiedziała ani słowa na temat tego wieczoru. A przecież musiała wiedzieć, że właśnie ten wieczór był ostatnim wieczorem mojego dzieciństwa.

Czy warto wojować z operetką

ZBIGNIEW LUBOWSKI

U nicestwić raz na zawsze operetkę – taki cel postawili sobie przed kilku laty gliwicy samorządowcy. Zlikwidować, zrownać z ziemią, a z pamięci gliwiczian wyrugować wszelkie ślady po teatralnej scenie operetkowej – zdecydowały w 2016 roku lokalne władze samorządowe górnośląskiego miasta nad Kłodnicą.

Dlaczego? Gliwicy samorządowcy argumentowali, że operetka to *anachroniczny i kompletnie przestarzały gatunek muzycznej sztuki scenicznej, która żywi się głównie banalnymi perypetiami miłosnymi z życia XIX-wiecznych arystokratów, tkwiących przecież od dawna na śmietniku historii*. Czy gliwicki wyrok na operetkę wydaje się trafny i zasadny?

Uśmiercanie operetki

Sięgnijmy do zachowanych kronik historycznych. Scena muzyczna w Gliwicach istniała pod różnymi postaciami. Powstała w 1952 roku jako zamiejscowa filia Opery Śląskiej w Bytomiu. Nazwano ją wtedy OPERETKĄ ŚLĄSKĄ. Jej żywot w takiej formie organizacyjnej trwał 44 lata. W 1996 roku połączono ją z Miejskim Ośrodkiem Kultury. W efekcie narodziła się nowa in-

stytucja pod nazwą: TEATR MUZYCZNY W GLIWICACH.

Ten twór został z kolei uśmiercony po następnych 5 latach. W 2001 roku utworzono na jego miejscu GLIWICKI TEATR MUZYCZNY, który oprócz tradycyjnych operetek prezentował też współczesne musicale. Po upływie kolejnych 15 lat GTM przestał jednak w ogóle istnieć. Scena muzyczna w nadkłodnickim mieście przetrwała więc w sumie 64 lata. Dla celów dokumentacyjnych dodajmy jeszcze koniecznie, że była to jedyna w całej aglomeracji górnośląskiej placówka teatralna, która regularnie wystawiała klasyczne spektakle operetkowe do nieśmiertelnej muzyki Offenbacha, Straussa, Zellera, Lehara czy Kalmana.

Starsi gliwiczanie do dziś pamiętają doskonale, że w latach największego rozkwitu Operetki Śląskiej przyjeżdżały do ich miasta liczne autokary wycieczkowe z sympatykami „podkasanej muzy” (jak popularnie określano ten gatunek sztuki scenicznej) z odległych zakątków kraju. Muzyczne widowiska ze złotego okresu wieloletnich rządów teatralnych **Stanisława Tokarskiego** cieszyły się ogromną popularnością wśród publiczności. A nawet pobieżna obserwacja



fol. Krzysztof Więcek

Anna Śmierczalska, Radosław Szostak.

znaków rejestracyjnych autokarów zaparkowanych na placu w sąsiedztwie siedziby OŚ pozwalała z łatwością ustalić, że na gliwickich spektaklach pojawiali się widzowie z Częstochowy, Opola, Wrocławia, a nawet Tarnowa i Rzeszowa.

Krynicki renesans gatunku

Czy tamte czasy minęły bezpowrotnie? W Gliwicach bez wątplenia tak, ale z pewnością nie w całym kraju. Niesłabnąca z upływem lat popularność krynickiego festiwalu im. Jana Kiepurów dowodzi całkiem przekonująco, że tradycyjny repertuar operetkowy ma nadal swoich przysięgłych zwolenników. Z upodobaniem przyjeżdżają oni co roku z różnych stron kraju do sądeckiego uzdrowiska na operetkowe atrakcje muzyczne.

Zainteresowanie taką twórczością objawia się zresztą w Krynicy nie tylko przy okazji kiepurowskiego festiwalu. Zorganizowany w początkach lutego zeszłego roku zimowy koncert pt. OPERETKI CZAR z udziałem Ewy Mierzyńskiej i **Andrzeja Smogóra**, dawnych solistów Operetki Śląskiej, przyciągnął do sali widowiskowej w budynku Pijalni Głównej prawdziwe tłumy turystów i kuracjuszy, przebywających w Krynicy.

Artyści zaśpiewali tam m.in. arie i duety wokalne z dorobku sławnych kompozytorów dzieł operetkowych – Straussa, Lehara i Kalmana. Gorąca reakcja zgromadzonej publiczności była najlepszym potwierdzeniem nieprzemijającego uroku artystycznego tamtych utworów, należących przecież do światowej klasyki gatunku.

Natura nie znosi próżni

Od blisko czterech lat scena przy ul. Nowy Świat w Gliwicach nie rozbrzmiewa już klasycznymi ariami operetkowymi. Z otwartych okien pobliskich budynków mieszkalnych dobiegają natomiast często głośne dźwięki przebojów disco-polo, które obecnie królują bezapelacyjnie w programach

fol. Krzysztof Więcek



Urszula Siudak, Stanisław Wojdyło.

licznych stacji radiowych i telewizyjnych. Nieśmiertelne utwory operetkowe z niezapomnianymi refrenami „Usta milczą, dusza śpiewa” ustąpiły teraz miejsca banalnym piosenceczkom, w których opiewa się uroki „majteczek w kropeczki i staniczka z guziczkiem”. To prawdziwy znak współczesności!

Ale na szczęście nie wszędzie tak się dzieje. unicestwienie Operetki Śląskiej sprawiło, że w wielu miastach regionu zaczęły powstawać – jak grzyby po deszczu – lokalne placówki teatralne i parateatralne, popularyzujące twórczość operetkową. Trudno się temu dziwić; natura nie znosi przecież próżni. Jedną z takich wartościowych inicjatyw było utworzenie w początkach XXI wieku Czechowickiego Teatru Muzycznego MOVIMENTO. Powstał on w Czechowicach-Dziedzicach, niewielkim 35-tysięcznym mieście na Śląsku Cieszyńskim.

Ciekawa inicjatywa

Warto odnotować, że nie jest to teatr zawodowy w tradycyjnym rozumieniu tego określenia. Występują tam amatorzy, ale niezwykle utalentowani i obdarzeni, co należy obiektywnie przyznać, cennymi uzdolnieniami artystycznymi. Młodzi adepci sztuki teatralnej z Czechowic mają w wielu przypadkach fachowe przygotowanie edukacyjne w szkołach muzycznych.

Nad artystyczną stroną poszczególnych przedstawień czuwają natomiast profesjonalści w zakresie reżyserii, choreografii i oprawy muzycznej. Rezultaty są bardzo interesujące – bilety na czechowickie spektakle rozchodzą się w komplecie z dużym wyprzedzeniem czasowym, a w amfiteatralnej sali widowiskowej na 360 miejsc nie ma prawie nigdy pustych foteli.

Teatr MOVIMENTO ma swoją siedzibę w odnowionym niedawno Miejskim Domu Kultury przy głównej ul. Niepodległości (vis-a-vis smutnego pomnika pamięci ofiar tragicznego pożaru czechowickiej

rafinerii z 1971 roku). We wrześniu i październiku wystawiano tam słynną operetkę Emmericha Kalmana „Księżniczka czardasza”. W czechowickim obiekcie nie ma tzw. orkiestronu (wydzielanej najczęściej pod sceną strefy dla muzyków). Zespół instrumentalny w 4-osobowym składzie rozgłosił się jednak całkiem zgrabnie z tyłu sceny (w rogu), co zupełnie nie przeszkadzało występującym na niej solistom i tancerzom.

Dwuaktowe przedstawienie w reżyserii **Barbary Bielaczyc** i pod choreograficznym nadzorem **Wiolety Waliczek** spotkało się z entuzjastycznym wręcz przyjęciem czechowickiej publiczności. W sobotę, 5 października, widzowie po spektaklu zgotowali artystom 7-minutowe standing ovation, co naprawdę bardzo rzadko zdarza się w teatrach. Cały zespół dwukrotnie bisował, śpiewając wraz z publicznością wpadającą w ucho arię finałową.

Operetka Kalmana, węgierskiego kompozytora z przełomu XIX i XX wieku, powstała ponad 100 lat temu. Libretto przedstawienia osnuto wokół miłości księcia Edwina z arystokratycznej rodziny austriackiej do szansonistki z budapeszteńskiego teatryku rewiewego. Rodzice księcia nie akceptują uczuciowego wyboru syna. Chcą, aby związał się on z hrabianką Anastazją, bo tylko w taki sposób nie popełni paskudnego mezaliansu. Utrzymane w komediowej konwencji widowisko ma ponadczasowe przesłanie: BEZ MIŁOŚCI ŚWIAT NIC NIE WART!

Czy dziś jest to tylko *sceniczna rama z przebrzmiałą fabułą*, jak uporczywie twierdzili wóldarze Gliwic, uzasadniając swoją decyzję o likwidacji sceny operetkowej? Można w to poważnie wątpić, obserwując ciepłe reakcje wzruszonych i rozbawionych zarazem widzów w czechowickim teatrze. Wiele scen w spektaklu było nagradzanych przez nich spontanicznymi brawami przy otwartej kurtynie.



Piotr Brożek, Zuzanna Kłaptocz

fol. Krzysztof Włodek

Czechowickie talenty

Niektórzy z wykonawców wykazali się szczególnymi umiejętnościami aktorskimi. Do tej grupy trzeba zaliczyć przede wszystkim **Stanisława Wojdyłę** i **Urszulę Siudak**, którzy z dużymi talentami komijnymi wcielili się w postacie podstarzałych arystokratów, rodziców księcia Edwina. Niezłe uzdolnienia wokalne objawiła **Zuzanna Kłaptocz** w tytułowej roli Sylwii – rewiewej „księżniczki czardasza”. Sympatii widzów zaskarbił sobie ponadto **Radosław Szostak** jako zabawny hrabia Boni, budapeszteński donżuan, a zarazem przyjaciel i opiekun Sylwii.

Niewątpliwą gwiazdą spektaklu była natomiast – jak można ocenić – **Anna Śmierchalska**, rozśpiewana i roztańczona hrabianka Anastazja, partnerująca księciu Edwinowi. W tej roli wystąpił nadmiernie jednak ekspresyjny **Piotr Brożek**. Popisy wokalne Śmierchalskiej (sopran) wzbudzały nieskrywaną aprobatę widzów. Z dużym wdziękiem scenicznym grała także równoległą rolę jednej z tancerek rewiewych z budapeszteńskiego teatryku (kabaretu) „Orpheum”. Można wróżyć 21-letniej czechowickiej prawdziwą karierę artystyczną. Jest niewątpliwie obdarzona naturalnymi predyspozycjami wokalnie-aktorskimi.

Publiczność wychodziła z teatru, nucąc nieśmiertelne melodie Kalmana – *Choć na świecie dziewcząt mnóstwo, Artystki, artystki, artystki z variété, Serce śpiewa – Kochaj mnie*. I to był chyba najcenniejszy efekt jesiennego wieczoru – popularyzacja ambientnej kultury muzycznej ze złotych czasów wiedeńskiej operetki. Taki rezultat jest wartością samą w sobie!

To z pewnością nieporównanie lepsze od propagowania w ogólnopolskiej przestrzeni publicznej prostackich pod względem kompozycyjnym i żenujących w warstwie tekstowej współczesnych utworów discopolowych. Wydaje się, że zamiast wjować z operetką warto skupić się raczej na zwalczaniu tandetnej dominacji discopolu, które w kilku ostatnich latach stało się w naszym kraju wszechobecne. ■

fol. Zbigniew Lubowski



Czechowice. Siedziba teatru MOVIMENTO.

Wacław Borowy (1890-1950) żył w niespokojnych czasach: w 1905 roku brał udział w strajku szkolnym; w latach 1912-1914 był członkiem Drużyn Strzeleckich, a w roku 1920 szeregowcem 201. pułku piechoty Legii Akademickiej w walkach na froncie wschodnim; w okresie II wojny – uczestniczył jako wykładowca w tajnych kompletach uniwersyteckich oraz w ratowaniu zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego (czyli mógłby zostać bohaterem ostatniego rozdziału powieści Marii Dąbrowskiej *Przygody człowieka myślącego*). Zredagował przed 1944 rokiem tom zbiorowy pt. *The Nazi Kultur In Poland*, który ukazał się rok później w Londynie (tu Borowy napisał kilka rozdziałów).

Najważniejsze jego prace powstawały w trakcie i tuż po II wojnie światowej, więc zdumiewają nas rozmiary dorobku i dziedziny zainteresowań tego erudyty, dotyczące krytyki literackiej (tomy: *Kamienne rękawiczki*, *Dziś i wczoraj* – zebrane *Studia i szkice literackie* w oprac. Zofii Stefanowskiej i Andrzeja Paluchowskiego liczą sobie aż 1238 stron!), historii literatury (tomy: *Ignacy Chodźko. Artyzm i umysłowość*, *Gilbert Keith Chesterton, O poezji polskiej w wieku XVIII, O Norwidzie: Rozprawy i notatki, O Żeromskim: Rozprawy i szkice*), teorii literatury (*O wpływach i zależnościach w literaturze*) czy bibliotekarstwa (*Prolegomena do wszelkiej przyszłej instrukcji katalogowej*). Pomijam w tym miejscu 12 prac redakcyjnych i edytorskich, takich, jak: *Od Kochanowskiego do Staffa. Antologię liryki polskiej* oraz 3 tomy dotyczące Mickiewicza (wydanie *Dziadów części trzeciej*, oprac. tekstu w *Wierszach* z roku 1948 i 1965). Pisać będę zaś głównie o, dwutomowej w pierwszej edycji, księdze pt. *O poezji Mickiewicza* (przedm. Konrada Górskiego, oprac. Wiesław Grabowski, A. Paluchowski, Czesław Zgorzelski; Lublin 1958, s. 311 + 238), łatwiej dostępnej w jednotomowej, choć powiększonej o 4 studia, reedycji (oprac. Z. Stefanowska i A. Paluchowski; Lublin 1999, s. 634; używam skrótu: OPM, podkr. moje – J.P.)

Nie muszę chyba dodawać, że tylko część (ok. 30%) wykładów prof. Uniwersytetu Warszawskiego była utrwalona drukiem przed śmiercią badacza. Duży ich segment dotrwał do naszych czasów w postaci brulionów, potrzebnych autorowi monografii na wykładach, zaczętych jeszcze przed wojną i kontynuowanych tuż po tym globalnym kataklizmie. Borowy poszczególne stronice rękopisów dzielił na dwie połowy (widziałem też metodę dydaktyczną w archiwum prof. Zbigniewa Jerzego Nowaka), by móc wprowadzać częste poprawki, dodawać nowe myśli, a także uzupełniać na bieżąco bibliografię, gdyż mickiewiczologia powojenna bujnie się rozwijała. Już w tym miejscu chcę zasygnalizować bogactwo przypisów w omawianej księdze: badacz cytuje wszystkie polskie prace mickiewiczologiczne (nawet rozprawy magisterskie!) oraz literaturę przedmiotową w języku angielskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim, rosyjskim i włoskim! W nierzadkich przypadkach odwołuje się też do literatury antycznej. Niestety, nie zawsze przetłumaczono te cytacje na język polski!

W okresie 1938-1945 – pomimo trudnych warunków zdobywania potrzebnych mu do pracy oryginalnych druków z wieku XVIII – pisał swą oryginalnie pomyślaną monografię o poezji czasów saskich i Oświecenia, złożoną z 20 rozdziałów, będących portretami poetów (17 sylwetek) lub portretami zbiorowymi (3 takie grupy). Książkę drukowano przez 15 miesięcy lat 1947-1948 pod auspicjami Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Jej redaktorem był



fot. arch. recd.

Wykłady Borowego o poezji Mickiewicza

Wspaniała księga odtworzona z rękopisów

JERZY PASZEK

Stanisław Pigoń, którego wspomagał w kwestiach języka epoki Zenon Klemensiewicz. Stefanowska dokładnie opisała 15-miesięczne wysiłki trzech profesorów, by staropolszczyznę jak najmniej ogalając z jej leksykalnych i ortograficznych subtelności i specyfiki; uczona ukazuje również to, jak Borowy skracał lub wydłużał swój komentarz, aby karty tomu miały estetyczny wygląd. Tu warszawski badacz wykazał się znajomością sztuki drukarskiej i nieustępliwie walczył o jak najcisłejsze oddanie jego intencji twórczych, a nawet gustów artystycznych, gdy chodziło o sygnet jubileuszowy PAU, zamieszczony na okładce (W. Borowy: *O poezji polskiej w wieku XVIII*, red. Z. Stefanowska, posłowie tejże, nota historycznoliteracka Zbigniew Goliński, Warszawa 1978, s. 372-388).

Piszę o tym tak szeroko, by uświadomić czytelnikowi, jak wyglądałby tom *O poezji Mickiewicza*, gdyby autorowi udało się dopisać trzy końcowe rozdziały („*Pan Tadeusz*”; „*Fraszki polityczne, bajki, Zdania i uwagi*”; „*Powiatki, liryki osobiste*”) oraz przez 15 miesięcy czuć nad drukiem swojej najważniejszej księgi! Drobiazgiem przy tej kłęsce niedokończenia

wywodów analitycznych profesora jest zapewne trud odcyfrowania skrótów słów, jakimi szafował Borowy w zapisie brulionowym. Przykładowo: czy szyfr „kontr. z sobą w char./jaskr. real., komicz. **naw**” (OPM, XXIV) należy odczytywać jako: [epizody] „kontrastujące z sobą w charakterze jaskrawo realistycznym, komicznym **nawet**” (OPM 360) czy też: „jaskrawo realistycznych, komicznych **nawarstwieni**”?

Oczywiste dla każdego jest, iż monografia *O poezji polskiej w wieku XVIII* stanowiła uwerturę i zapowiedź zaplanowanego na 20 rozdziałów (czyli tyleż, co we wcześniejszej pracy!) magnum opus Borowego – nigdy przedtem i później nie stworzył obszerniejszej, ale i ważniejszej syntezy historycznoliterackiej. Tom *O poezji Mickiewicza*, urwany na potężnym rozdziale XVI o *Dziadów części trzeciej* (OPM 356-489; dalej mamy segment „*Zamiast rozdziałów końcowych*”, czyli r. XVII: „*Pan Tadeusz* – książka nieśmiertelna”; r. XVIII: „*Poeta przeobrażeń*”; następnie 7 „*Dodatków i uzupełnień*”), zadziwiająco opiera się czasowi i stale jest atrakcyjną lekturą! Bardzo – na moich oczach, bo rzecz czytałem w latach 50. ubiegłego wieku –

zestarała się powieść biograficzna Mickiewicza Michała Jastruna, która w latach 1949-1984 miała aż 13 wydań (nb. Borowy wypomina Jastrunowi błąd, polegający na tezie, iż Gustaw popełnił samobójstwo, OPM 470). Lepiej się miewa świetnie napisana, w stylu popularnonaukowym, książeczka Jacka Łukasiewicza pod tym samym tytułem (Wrocław 1996, seria „A to Polska właśnie”). Dziś tylko badacze romantyzmu muszą przestudiować obszerne dzieło Juliusza Kleinera (*Mickiewicz*. T. 1: *Dzieje Gustawa*, Lwów 1934, s. 532; T. 2: *Dzieje Konrada*, cz. 1-2, Lublin 1948, s. 494 + 526), najczęściej cytowane przez Borowego, bo co najmniej 100 razy (ciekawostką dla wielu będzie drugie miejsce w tym rankingu cytowań: Aleksander L. Pogodin – 42 przywołania, gdy Wilhelm Bruchnalski ma 34, tyleż Józef Tretliak, a Stanisław Pigoń – zaledwie 28).

W czym tkwi tajemnica „nieśmiertelności” (by posłużyć się określeniem Borowego w tytule r. XVII) książki profesora Uniwersytetu Warszawskiego? Myślę, iż fundamentalne znaczenie ma tu, zastosowana konsekwentnie w całym dziele, metoda rozpatrywania twórczości Mickiewicza ze stanowiska estetycznego, a nie ulegania – jak to czynił Kleiner – modnej na początku XX wieku metodologii psychologizowania i produkcji osądów w stylu impresjonistycznym, czyli zachwycania się powabami własnego dyskursu i stylu. Zresztą w ocenianiu Mickiewicza i jego dorobku Borowy był bardzo śmiały, tropiąc wszelkiego rodzaju wtręty publicystyczne nawet w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego* (tu inne zdanie mieli zapewne Z. Nowak w swoim doktoracie z roku 1950, drukowanym w „Rocznikach Humanistycznych” z 1961 roku, a także Z. Stefanowska w tomie *Historia i profesja. Studium o „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego” Adama Mickiewicza*, Warszawa 1962; Kraków 1998). Potrafi Borowy nie zaliczyć *Ody do Młodości* do arcydzieł, a w części III *Dziadów* odnaleźć szereg błuznierstw i (co dotyczy *Drogi do Rosji, Przedmieście stolicy, Petersburga, Przeglądu wojska*) wywyższania się Polaków ponad Rosjan, „megalomanii narodowej” (OPM 453, przypis). Przyjął taki tok wywodów, że autor często nie zgadza się z cytowanymi badaczami, a nawet poprawia znakomity przekład Byronowskiego *Don Juana*, twierdząc, iż Edward Porębowicz w dwu oktawach pობłądził: „Tu coś niecoś z wyrażeń Porębowicza, którego przekład w całości jest nie do użycia” (OPM 471; nb. miał Borowy niewątpliwie wielką frajdę, gdy podał brzmienie tekstu oryginału: „polishd boors”, co wytłumaczył jako „ogładzone gbury”).

Na prawach dygresji dodam, że pojawiają się tutaj i inne dwuznaczności – zamierzone czy też nie: oto pytanie! – np. w zdaniu: „Satyryczne części *Ustępu* tak ukształtowane, że mogłyby się wydawać **działem** nienawiści” (OPM 479): chodzić może tu o „armatę”, choć pewnie jest to tylko synonim „fragmentu, części, wydzielonego segmentu tekstu”. A tam, gdzie spotykając się z rosyjskim generalisimumem, mogliśmy przypuszczać, iż mamy do czynienia z „działem” – „armatą”, chodzi jedynie o „sprawę, robotę”, czyli rosyjski wyraz „dzieło”: „pieśni, w których m.in. ze wzruszeniem wspomniano Suworowa i jego prakse **dzieło**” (OPM 480-481).

Cóż, dociekania, o których piszę, są skierowane do studentów polonistyki (wykłady na Uniwersytecie Warszawskim!), pedagogów oraz kolegów ze sfery filologicznych, znających co najmniej podstawowe języki europejskie! Ci, którzy nie są poliglotami, powinni wykazać się męstwem, wertując odpowied-

nie dykjonarze! Miejmy nadzieję, że trzecia edycja tomu *O poezji Mickiewicza* uwzględni potrzeby szerszej publiczności, podając w przypisach podstronicami lub na końcu książki tłumaczenie cytowanych obcych tekstów.

Jak prowadzi swe wywody Borowy? Odpowiedź znajduję w analizie *Ody do Młodości*. Otóż wcale nie zajmuje się badacz kwestiami dwu czy też trzech wersji tekstu tego utworu, o czym znakomicie i dokładnie wiedział, gdyż to on dał najwięcej informacji o tej trzeciej wersji! Skupił całą uwagę na demonstacji źródeł owego hymnu. Po pierwsze: były to aluzje do literatury klasycznej starożytności, w rodzaju hydry, centaura, nektaru, grodu sławy. Pisze tu Borowy, iż samolub pochodzi z *Heroid* Owidiusza („Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem” = „Idem navigium, navita, vector ero”), „oko słońca” = „oko dnia” z *Antyfony* Sofoklesa, „obraz zestarzenia się ziemi nawiązuje do myśli Lukrecjusza, a jej zielone lata” przypominają Owidiuszowe „aevum viride” z *Tristiów* czy też Wirgiliuszową „iuventa viridis” (z *Eneidy*)” (OPM 36).

Po drugie: sam tytuł tej ody czy hymnu (bo i tak filomaci określali ten utwór) był aluzją do klasycyzującej poezji Oświecenia, tak obcej, jak i naszej. Borowy przypomina tu nagłówki wierszy Naruszewicza (*Hymn do Czasu, Hymn do Przyjaźni, ody Do Fortuny i Do Sprawiedliwości*), Książnina (ody *Do Piękności i Do Zgody*). Styl uroczyści poeci tej epoki mogli uzyskać poprzez liczne apostrofy, personifikacje, rozwinięte porównania (OPM 36-37). Modne były też peryfrazy (stąd u Mickiewicza „żywiółów waśni”), wyszukane epitety (jak „nieczułe” lody), „dostojne słownictwo” typu „żywiółki drobniejszego plazu” (ib.).

Po trzecie: Mickiewicz nawiązuje do leksyki łoży masonijskiej, gdy przedstawia „Boga jako wielkiego budownika, który „świat rzeczy” postawił na zrębie”, w wezwaniu do utworzenia „łańcuchów” (był to w obrzędach wolnomularskich symbol zgody i miłości braterskiej)” (OPM 39).

Po czwarte: *Oda do Młodości* zawiera myśli znane poecie z lektur „wielkiego Schillera” (pierwsza wersja utworu – *Do Młodości*, jak w poprzedzonym mottem właśnie z adorowanego Niemca). Borowy przytacza wymowne cytacje z poematu *Ideal i Życie* (*Das Ideal und das Leben*): „Chciecie się wznosić wysoko na skrzydłach? Odrzućcie precz od siebie trwogę o rzeczy ziemskie, uciekajcie od ciasnego, ciemnego życia – w królestwo ideału” (OPM 40). I dalej: „Mickiewiczowski „szkieletów ludzi”, „skrzydła młodości, zapał-cudy, tworzący, rajską dziedziną ułudy”, „nadziei złote malowidła”, „orla [...] lotów potęga”, „świat ducha” [te] wszystkie obrazy i wyrażenia [są] w stylu Schillerowskim” (OPM 41).

Pomimo owych cytatów i aluzji literackich, pomimo gnomniczności wersów (brzmia tu jak gdyby rozkazy wojenne), pomimo zwartości zdań i ich zwięzłości, pomimo „obfitości obrazów”, pomimo „architektoniki symetrii wewnętrznej współbrzmienia” – „nie jest *Oda do Młodości* arcydziełem poezji. W znacznej swojej części jest raczej okazem **retoryki** – w najlepszym zresztą stylu” (OPM 42-43). Bo i wiersze Schillera, „wielbione ongi [...] jako wielka poezja, są w istocie przeważnie retoryką” (ib.).

Nieoczekiwanie dla czytelnika erudycyjnych dywagacji Borowego „arcytworem” okazuje się wiersz *Niepowność*, zaczynający się słynnym dystychem: „Gdy cię nie widzę, nie wdycham, nie płaczę, Nie tracę myśli, kiedy cię zobaczę” (oczywiście, w piosence Marka Grechuty wyzyskano ten liryk ze szlagierowym refrenem: „Czy to jest przyjaźń? czy to jest ko-

chanie?”). Badacz wykrywa w wierszu połączenie wykwintu z wdziękiem: „W wykwincie tym wszelako panuje od pierwszego wiersza ton prawdy: boć przecie chodzi tu o właściwe zmierzenie rzeczywistości. Zmierzenie przy pomocy najrzetelniejszego słownictwa. Bo zauważmy, jaka tu panuje prostota! Najzwyczajniejsze wyrazy. Nie tylko żadnych hiperbol i konceptów, ale nawet żadnych przenośni – jeśli nie liczyć tej spowszechnionej: „Gdy z oczu znikniesz...”” (OPM 198).

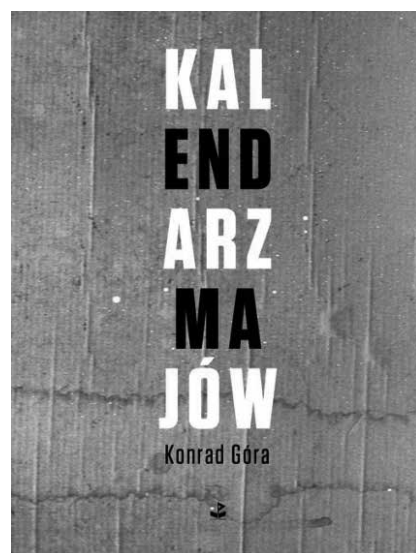
A jak ocenia warszawski profesor podziwiane powszechnie *Sonetu krymskie*? Widzi „ośniewającą mieszaninę barw i blasków” sonetów, dostrzega „sztukmistrzostwo”, przypominające „swawolne sonety erotyczne”, rejestruje „maestrię, czasem **hulaszczość słowa**, ale z chłodem, jak wyczynny barokowe XVII w. albo wyczynny neobarokistów [czy nie myśli o Przybosiu?] naszych czasów” (OPM 232, 238). Konkluduje: „Tak, **wirtuoza** obrazów wschodnich w *Sonetach krymskich* – poza nielicznymi wyjątkami – jest świetna. Ale podziwiamy ją więcej, niż się nią przejmujemy” (OPM 239). Dodaje też tytułem jakiegoś usprawiedliwienia informację o sądach krytyków rosyjskich, wskazujących „na **sztuczność** niektórych sonetów, na nałożony na nie forsonnie koloryt wschodni. M.in. książę Wiaziński, który przełożył je na język rosyjski prozą i opatrzył przedmową, pisze: „najbardziej wschodnie porównania, zwroty włożone są przez poetę w usta mirzy” i dodaje: „czto w niektórych upotrzebieniach, obrotach wsteczajętsja u niego czto-to pochożęje i prynużdenije” (OPM 237; końcówka: „coś podobnego [do wspomianej poprzednio hiperboliczności] i wymuszonego”).

Borowy chyba nikogo nie zaskoczy, gdy wprowadza do książki następujący akapit: „Wiersz *Do matki Polki* należy do najbardziej skończonych **drobnych arcydzieł** Mickiewicza. W swojej dramatycznej sile, serdeczności i prostocie wysłowienia, w swojej ponurej prawdzie, która przecie nie jest rozpaczą” (OPM 338). Podziwiać należy pewnie oksymoron, bo arcydziełem się jest albo nie jest, bez względu na gabaryty! Wszak małe jest piękne!

O *Dziadach* w woluminie Borowego jest tyle, iż starczyłoby to na oddzielny tom w rodzaju *Arcydramatu Mickiewicza* Wacława Kubackiego (Kraków 1951, s. 244). Tu bowiem mamy – i to w dużym formacie – ponad 220 stron! Streścić owe wywody rzetelnie (na pół stroniczce!) trudno! Ale sposobem spróbuję! Po pierwsze: *Dziady* to arcydzieło, dotyczące polskiej młodzieży, wywołanej w kibitkach na Sybir. Po drugie: nie należy narodu i jego tragedii porównywać do życia Chrystusa (błuznierstwo!), a państwa utożsamiać z narodem. Po trzecie: najważniejsza w całym utworze jest wielka *Improwizacja*, ale i ona opiera się na nie do końca uprawnionej metaforze harmonii sfer kosmicznych i instrumentu muzycznego (mistrz gry na harmonice nie ma wpływu na kolisty ruch wiatru!). Po czwarte: linijki 244-245 sceny VIII („Senator”) tylko pozornie się rymują: „niechaj Pan te/Sprawy odłoży na czas: *ça mine la santé*” (OPM 468; przekład: „to podkopuje zdrowie”). Ergo: nie wszystko da się spostrzec i zrozumieć w arcydziele, a nie każdy z nas bywa „akrobatą erudycji” bądź człowiekiem o „fenomenalnym wykształceniu” i zarazem artystą (OPM XXI, określenia Konrada Górskiego). Ale tak i tak, po trzykroć, dzieło Borowego jest **nie (d) ocenione**, czyli: 1. niedocenione, 2. nieocenione uczciwie przez polonistów, 3. nieocenione, czyli **bezcenne!**

Kronikarz spełniającej się katastrofy

KSIĄŻKI



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Projekt poetycki konsekwentnie realizowany przez Konrada Górę charakteryzuje zmysł formy, który współgra z aktywizmem wykraczającym poza działania czysto artystyczne. Jego samoświadomość językową doceniła swego czasu Joanna Orska, pisząc o *Requiem dla Saddama Husajna* i sąd ten w przypadku piątego tomu poetyckiego, *Kalendarza majów*, wciąż jest prawomocny. To, jak Góra korzysta z zasobu leksykalnego polszczyzny i konfiguruje frazy, w których muzyczność wybija się na pierwszy plan, jest najlepszym argumentem potwierdzającym tezę o możliwości uprawiania poezji zaangażowanej nie rezygnującej z ironicznego konceptyzmu. Jeśli Góra wykorzystuje paronomazję, anafory, epifory, homonimy, to zawsze wzmacniając wywrotowy potencjał wiersza. Dzięki nim jednoznacznie opowiada się za idiomem Barańczaka, który można usłyszeć również w *Kalendarzu majów*. Czelowanie fraz idzie w parze z kolekcjonowaniem słów, które stało się znakiem rozpoznawczym poety. Jednak nie można zarzucić mu językowego snobizmu, przeciwnie: więźba, gont, wiecha, pasztu, użyte jakby mimochodem okazują się najwłaściwsze ze względu na potencjał brzmieniowy i możliwość solidnego wyposażenia wiersza, którego architektonika zbliża się do przemyślanej budowli.

Można by pokusić się o zestawienie listy poetyckich antenatów, na której nie zabrakłoby wspomnianego Barańczaka, Herberta (za sprawą *Ułożyć się*), a także Czechowicza (niewątpliwą inspiracją wierszy o zwierzęcych ofiarach jest fragment z jego *Śmierci*: „krowy na zabicie są”), jednak Góra waży proporcje i jeśli decyduje się na przechwycenie cudzego języka, to podyktowane jest to produktywnością fraz. Kwestionowanie *status quo* odbywa się w ramach poetyki cytatu (z innego poety lub innej rzeczywistości) i trawestacji.

Zakres tematyczny *Kalendarza majów* sugeruje tytuł aluzyjnie nawiązujący do wyczekiwanego w cyklu Majów końca świata. Wymiar gatunków (w tym także człowieka) to jedna z form tego końca. Góra rezygnuje z podpowiadania scenariuszy naprawczych, skupiając się

na stracie (to słowo klucz najnowszego, a także poprzedniego tomu). Ludzie podzielać los zwierząt, one zaś stają się niewidoczne, wykluczone ze wspólnoty zranionych. Hierarchizację ofiar najlepiej oddają wiersze wyznania (*I ja*) bliskie wczesnej poezji Senddeckiego, która wiersze referowała obserwowaną rzeczywistość.

Polityczne decyzje, które wpływają na spienienie faszystacji społeczeństwa (*A ty jesteś ich*), lecz również na stan środowiska naturalnego (*Malpka i maska*), podejmowane w sposób budzący wątpliwości i skojarzenia z poprzednim ustrojem, to główny cel ataku, jednak Góra nie wyszczególnia tematów ważnych i ważniejszych, lecz dba o przenikanie się spraw ludzkich i nie-ludzkich.

Postulatem, który powraca w *Kalendarzu majów*, jest rezygnacja z opisu katastrof przy użyciu liczby mnogiej, owszem cierpią wszyscy, ale wyszczególnienie chroni przed depersonalizacją, dlatego zawiązanie lirycznej akcji (choć w przypadku tomu z 2019 r. to zbyt dużo powiedziane) poprzedza ekspozycja bohaterów: „we Wrocławiu był typek, który robił...” (*Nikt mi w to nie wierzy*); „Płonie makak we fryturze palmowej...” (*Malpka i maska*). Natomiast w *Nich* z 2016 r. Góra rezygnuje z numerowania kolejnych dystychów, komponując poemat z 1127 linijek odpowiadających liczbie zabitych kobiet i dziewcząt w obrębie kompleksu budynków Rana Plaza. Ten eksperymentalny ciąg fraz i obrazów zakorzeniony jest w konstruktywistycznym i rewolucyjnym myśleniu Przybosia, który na przekór wojnie popada w logorę. Próbie dostrzeżenia wszystkich ludzkich i nie-ludzkich ofiar w tomach Góry patronuje bez wątplenia Judith Butler. Autorka *Ram wojny* kwestionuje sposób uznawalności ofiar oparty na kadrowaniu rzeczywistości i przykrawianiu jej lub cenzurowaniu. Pisząc o roli mediów, zarzuca im, że kuscielskie obrazy mają zmusić oglądających zdjęcia konfliktu palestyńsko-izraelskiego do opowiedzenia się po jednej ze stron konfliktu. Filozofka, korzystając z konceptu Susan Sontag („Robić zdjęcia to ujmować w ramy, a ujmować w ramy – to wykluczać”), pisze o sterowalności opłakiwalnością oraz manipulowa-

niu żałobą cywilów z każdej ze stron. Konieczna jest, zdaniem autorki *Walczących słów*, zmiana sposobu widzialności ofiar i wykorzystanie wspomnianych obrazów do wytworzenia afektów, które sprawiłyby, że ugruntowany porządek ulegnie zachwianiu.

Podobny koncept, zarówno w *Nich*, jak i w *Kalendarzu majów*, wykorzystuje Góra. Rozszerza wspólnotę opłakiwanych o pracownice Rana Plaza oraz ludzi (często przypadkowo spotkanych) i zwierzęta, których los został przesądzony (makaki, świnię). Siłą jego tomów jest dowartościowywanie pojedynczości istnienia zarówno wobec katastrofy naturalnej oraz wypadków komunikacyjnych. Oprócz znoszenia dystansu przestrzennego poeta eliminuje dystans czasowy, dzięki czemu dochodzi do nakładania przeszłości i teraźniejszości, co powoduje, że samobójstwo Jana Palacha wciąż oddziałuje (ze względu na radykalność gestu sprzeciwu).

Góra rezygnuje z projektowania międzygatunkowej wspólnoty uchwyconej w pastoralnej chwili sprzed katastrofy, wybierając moment przesilenia w procesie spełniającej się zagłady. To właśnie w wierszu „”, którego tytuł sugeruje cytowanie rzeczywistości pustej, pozbawionej aksjologii pojawia się kwestia biopolityki, którą objęci są zarówno ludzie, jak i zwierzęta („Żyję któryś rok/w państwie zmarłych”). Przemoc wobec psów, świń i ludzi generuje gniew powodujący pisanie na wkurwie (*Ticho*), dlatego można zaryzykować tezę, że poeta w sposób pragmatyczny wykorzystuje afekty, jakie generuje literatura, w celu zainicjowania zmian. Gniew (bo to on odgrywa kluczową rolę) byłby, obok wiedzy, szoku, oczarowania i rozpoznania zaproponowanych przez Ritę Felski, afektem gwarantującym nowy porządek społeczny. Góra sonduje możliwości negatywnych afektów, testując wrażliwość czytelników, jednak nie rezygnuje z formy, która umożliwiła wszelką rewolucję. ■

**Konrad Góra: *Kalendarz Majów*.
Biuro Literackie, Ustronie Śląskie
2019, 34 s.**

Najnowszy reportaż Marty Sapały *Na marne* to książka o konsumenckiej bezmyślności i miłości do nadmiaru. Dziennikarka, autorka m.in. książki *Mniej. Intymny portret zakupowy Polaków* (2014), podejmuje ważny i dość wstydlivy temat marnowania żywności.

W polskich domach marnujemy dwie tony żywności, nonszalancko wyrzucając do kosza „całe siatki mandarynek. Winogrona, te słodkie, bezpestkowe. Mnóstwo wędlin, szczególnie salami, napoczęte albo całe opakowania — w terminie. Berlinki, nieotwarte. Całe brokuły. Ziemniaki. Banany. Słoiki z ogórkowymi piklami domowej roboty, wciąż zassane — w środku ani śladu pleśni. Majonez, ledwo napoczęty. Kilogramowe opakowania orzeszków ziemnych arachidowych [...]. Woda; ktoś upił kilka łyków i wyrzucił resztę. Pełny przekrój przez półkę z nabiałem. Futomaki z rybą, która kiedyś była pewnie tuńczykiem. Całe mrożone dania, całe pudełkowe zestawy opracowane przez dietetyków. Bigos wyceniony na pięćset kalorii, przeznaczony na kolację. Nietknięty” (s. 11-12).

Globalnie to 1,3 miliarda ton niewykorzystanej żywności na rok, czyli — jak podaje Sapała — 1/3 całej produkcji. Europa pozbywa się 88 milionów ton jedzenia, a Polska — 9. Jesteśmy w czołówce Unii Europejskiej z niechlubnym piątym miejscem. To, by przybliżyć odległą statystykę, 220 tysięcy wypełnionych po brzegi warzywami, mięsem i nabiałem wagonów kolejowych (s. 56).

Autorka z niezwykłą czułością opisuje drogę początkowo jędrnych pieczarek, dojrzałych bakłażanów i wrażliwych na czynniki zewnętrzne bananów. Od zbiorów, przez transport, selekcje i leżakowanie na półkach, a w optymistycznej wersji, aż po nasze domy, lodówki, i ostatecznie — śmietnik. Setki kilogramów żywności nie doczekuje jednak momentu zakupu. Opalowane banany szybko gniją, papryki tracą sprężystą skórę, pomidory marszczą się złowieszczo. Konsumenci przyzwyczajeni do bogactwa produktów, dużego wyboru i najwyższej jakości nie chcą „byłe czego”. Przerzucają skrzynki, masują pojedyncze sztuki awokado (produktu nad wyraz nieekologicznego!), głaszczą mango i ugniatają mandarynki.

Restrykcyjne przepisy, czyli wytyczne, które musi spełnić produkt, by mógł zostać dopuszczony do sprzedaży, pomnażają odnotowywane straty. Jabłka najlepiej z dużym rumieńcem, bez plamek i języków mrozowych, marchew, tylko taka, którą będzie można łatwo obrać — walcowata, równa, od piętnastu do dziesiętnastu centymetrów długości. Inaczej nikt nie kupi. My nie kupimy.

Lekarstwem na zachłyśnięcie się tym produkcyjnym nadmiarem, jak wskazuje dziennikarka, może okazać się freeganizm, czyli antykonsumpcyjny ruch, którego członkowie nie kupują jedzenia, tylko, korzystając ze światowej nadwyżki, znajdując je w przy-sklepowych kontenerach. Skipować może każdy, choć wymaga to czasu, zaangażowania i wiedzy prawnej. Nie wolno się włamywać, niszczyć kłódek, naruszać miru do-

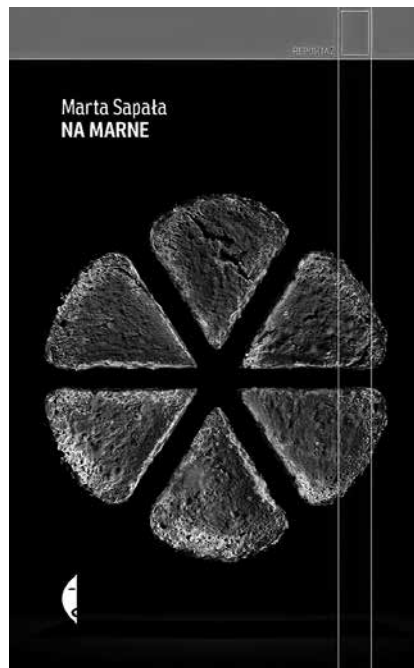
KSIAŻKI

mowego i wykorzystywać żywności, która jest surowcem przeznaczonym do dalszego przetwarzania (s.13).

Ariel Modrzyk, autor pracy *Społeczeństwo marnotrawców? Funkcje i status normy niemarnowania żywności* (2019), mówi o „cichej strategii współpracy” (s.15) między właścicielami, pracownikami, ochroniarzami sklepów i freeganami. „Kontenerowcy” zastają czasem otwarte bramy, odłożone pieczywo albo odwróconą skrzynkę, pełniącą funkcję stopnia. Niektórzy z nich, realizując politykę firmę, bawią się w „przeganianie na niby”. Radzą, by wrócić później, zostawiają przeznaczone na zmarnowanie opakowania sera, kilogramy kawy i koszyki truskawek w miejscu niedostępnym dla kamer.

Dla tych, którzy nie chcą ani marnować, ani walać się po okolicznych śmietnikach, wymyślono i przygotowaną inną inicjatywę społeczną — *foodsharing*. Jadłodzielnia to nic innego jak ogólnodostępna lodówka, do której można włożyć nadmiar domowej żywności, a także wziąć to, co zostawili inni. Na Śląsku znajdziemy takie miejsca w Rudzie Śląskiej przy ul. Oświęcimskiej 123 i w Gliwicach przy ul. Barlickiego 3. To ważne przedsięwzięcie społeczne, ponieważ nie tylko zachęca do współpracy, ale także jest testem naszego wzajemnego zaufania. Jaką bowiem mamy pewność, że ktoś nie wyniesie trzech reklamówek kompletowane przez nas jedzenia i nie sprzeda na bazaru obok? Żadnego. I na tym polega siła organizowanej akcji. Musimy tylko zaufać i wykrzesać z siebie pewność, że wszyscy działamy na rzecz dobra ogółu.

Na marne Marty Sapały to książka kompletna i świetnie napisana. Wielu czytelników skarży się na nieco przeciągnięte wątki, które dotyczą osobistych doświadczeń autorki i niejako zasłaniają myśl przewod-



ANITA JASIŃSKA

nią reportażu. Faktycznie, dziennikarka czyni kilka uwag na temat własnej praktyki żywieniowej, ale nie upatruję w tym wady tekstu. Przeciwnie, nadaje mu charakterystyczny prywatny ton, włączając siebie i swoją rodzinę we wspólnotę konsumpcyjnej bezmyślności, którą poddaje subtelnej, ale wyczuwalnej krytyce.

To zbiorowy wyrzut sumienia, wina wpisana w strukturę naszych lodówek, przyzwyczajęń żywieniowych, nawykowego nabywania i kompulsywno-obsesyjnego wyrzucania. To negatywna ocena chęci zapełnienia ogromnych wózków na półkach, taśm w super- i hipermarketach oraz pojemnych bagażników coraz droższych samochodów. Lustro, w którym nie chcemy się przeglądać, ale które nieznosnie i wbrew nam odbija obraz. Pospiesznie przeliczamy wyrzuczone sliwki, zjełczałe masła, woreczki kasz, garście makaronu, wylane mleka, soki, niewykorzystane śmietany. Za dużo. Wniosek jest prosty i przewidywalny: ja też wyrzucam za dużo. To zatem opowieść o mnie, moim egoizmie, braku kontroli, i w końcu — niszczeniu środowiska naturalnego.

Ci, którzy pamiętają peerelowską pustkę, i ci, którzy nie znają świata sprzed wielkopowierzchniowych hal zakupowych nieustannie wypychają kolorowe reklamówki. To, zdaje się, zachowanie kompensacyjne, które przynosi ulgę i chwilowe poczucie bezpieczeństwa. Tymczasem na wysypiska śmieci docierają kolejne samochody wypełnione peruwiańskimi winogronami, izraelskimi ziemniakami i polskim tradycyjnym chlebem. ■

Marta Sapała: *Na marne*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019, 288 s.

Fraza tytułowa jest cytatem z książki Marka Piechoty *(Nie) zapomniany czar arcydzieł. Anonim, Barańczak, Camus...*, w której ta konstatacja lub zaproszenie do wielokrotnego czytania ulubionych utworów powtarzana jest trzykrotnie (na stronicach 227 i 228). Nie będę ukrywał, że nie pierwszy raz spotykam się z 10 rozdziałami tego tomu, gdyż słyshałem je na sesjach naukowych i studiowałem w pierwodrukach (a jeden, przeznaczony do „Prac Filologicznych”, poznałem w brulionowym kształcie i należałem do tych doradców, którzy namawiali autora do radykalnego skrócenia nagłówka).

Należy zaczynać od spojrzenia na dedykację, tytuł, indeks nazwisk, bibliografię i skrzydełka książki. Jedna „zagięta część obwoluty” (tu: okładki) jest niezadrukowana, a druga przynosi informacje biograficzne o autorze i enumerację jego osiągnięć badawczych, czyli opublikowanie 5 tomów o Mickiewiczu, 4 o Słowackim, 1 o Krasińskim, tyleż o tytułach dzieł romantycznych, a także o biografii Zbigniewa Jerzego Nowaka (wespół z Krystyną Heską-Kwaśniewiczową). Do indeksu nazwisk zagląda się po to, by zobaczyć, czy autor nie zapomniał o koledze z uczelni (nb. jestem na s. 260 i to w 3 liniijkach!). Do bibliografii trzeba zerknąć, by wytropić jakieś braki erudycyjne twórcy konkretnej książki. W badanym tomie zacytowano nawet pozycje z lat 2017-2018 (m.in. moje eseje z cyklu „Blask Arcydział”), choć produkcja książki – po mozolnym zebraniu pozwoleń od edytorów pierwodruków, którzy ociągają się z zezwoleniami, choć pozyskiwali artykuły gratis! – trwała zapewne ponad rok.

Jeśli chodzi o tytuł omawianej obszernej książki (20 arkuszy wydawniczych!), to nie jest on tak oczywisty, jak na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać! Wszak nadtytuł -- *(Nie) zapomniany czar arcydzieł* -- jest oksymoronem, bo utwory bywają częściej zapominane, niżeli zapamiętywane! W tle tej frazy czai się perswazja: nie zapominajmy choć o wybitnych utworach, czyli arcydziełach! Podtytuł – obok aluzji do gatunku dziennikarskiego abc lub alfabetycznego porządku liter – sugeruje ważkość wymienionych twórców i ilość miejsca, poświęconego ich dziełom. A przecież Barańczak mógłby być zastąpiony Bułhakowem (o tym rosyjskim powieściopisarzu mamy cały rozdział, a Barańczak jest głównie wspominany w sekwencji, która dotyczy sonetów Kijonki); Camusowi istotnie Piechota poświęca więcej stronic niż Cynceronowi lub Cervantesowi. Anonim nie jest tu chyba autorem ludowej pieśni „Kamień na kamieniu”, lecz twórcą pierwszych europejskich villanelli!

Książka Piechoty ma 10 rozdziałów oraz „Przedślowie”, czyli całą drużynę 11 zawodników, noszących kolejne numery oraz połączonych nadrzędnym pałąkiem (grecką zeugmą!), czyli inicjałami, tworzącymi akrostychicznie imię wspomnianej co najmniej 4 razy żony autora: MAŁGORZACIE. I wtedy dopiero wyjaśnia się sens dedykacji: „Przyjaciołom domowym i dalekim”. W ostatnim przypisie do „Przedślowia” Marek (bo chyba

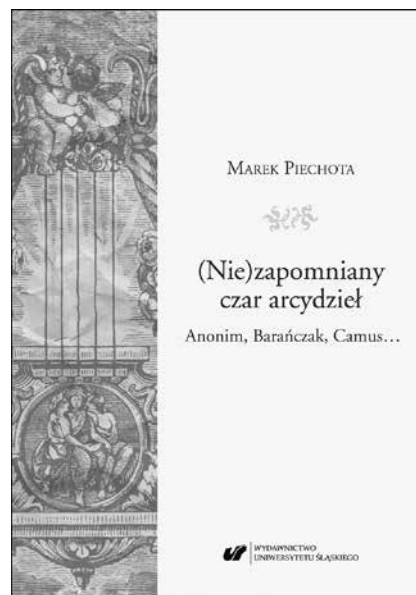
Ile lektur, tyle odkryć

KSIĄŻKI

JERZY PASZEK

zaliczam się do społeczności wspomnianej w tej dedykacji; zresztą i autor nazywa mnie na s. 220 Jurkiem) przyznaje się do zapożyczenia całej frazy od uczonego z IBL: „Aluduję tu bezpośrednio do przedmowy Stefana Treugutta *Mickiewicz – domowy i daleki* (w: A. Mickiewicz: *Dzieła*. Wydanie Rocznicowe 1798-1998. T. 1: *Wiersze*)”. Możliwe, iż wiele ważnych, swoistych i fundamentalnych cech książki Piechoty ujawnia ta dedykacja. Wiadomo, że Mistrz Marka, Zdzisław Jerzy Nowak, był promotorem tytułu wstępu Treugutta do tomu poetyckiego i całego 17-tomowego „Wydania Rocznicowego” *Dzieł Mickiewicza*. Wiadomo, że o sonetach pisywał inny Mistrz Marka, Ireneusz Opacki. Ja zaś byłem z kolei obdarowanym przez Marka egzemplarzem *Bogactwa* Wandy Miłaszewskiej, tym zakupionym w Zakopanem za 7 zł (zob. s. 139 i 157). Wielu innych kolegów z Uniwersytetu Śląskiego może się zaliczać do owych „przyjaciół domowych”: Tadeusz Aleksandrowicz, Józef Budzyński, Adam Dziadek, Marian Kisiel, Jacek Lyszczyna, Anna Opacka, Janusz Ryba. A i Tadeusz Kijonka był wśród nich; poetka i polonistka z Bielska-Białej Anna Węgrzyniak też! Jarosław Ławski z Białegostoku też! Józef Bachórz z Sopotu – również. Zofia Stefanowska i Zbigniew Sudolski z Warszawy – oczywiście. To jest widoczne w duktach dociekań i ścieżkach spacerów z przyjaciółmi po lesie literatury.

Do bliższych przyjaciół Marka muszę zaliczyć ponadto Wiesława Rzońcę, profesora wywodzącego się spod Opola (słyshałem w Pałacu Donnersmarcków w Rybniej, jak pięknie wyraża się w gwarze rodzimej!), który w recenzji wydawniczej omawianej książki zwraca uwagę na „nowe oblicze śląskiego badacza. Jest on tu, bodaj po raz pierwszy w swej karierze naukowej, komparatystą w wąskim rozumieniu słowa” (tekst na okładce tomu). Najlepiej o tym przekonują nas 3 początkowe rozdziały: 1., gdzie analizuje się inicjalne



zdania z dzieł Wergiliusza, Jana Potockiego, Ballarda, Camusa, Lwa Tołstoja; 2., pełny autentycznych cytacji z myśli i aforyzmów Horacego, Cyncerona, Plutarcha i Terencjusza; 3., którego bohaterami są wyżsi oficerowie z powieści Bułhakowa i Feuchtwangera. W ostatnim rozdziale, 10., wspomina się sonety Szekspira i ich znakomite – pióra Barańczaka – spolszczenie.

Piechota obiecuje zająć się arcydziełami. Myślę, iż mało znajdzie się religijnych fundamentalistów (czy antysemitów), którzy będą wynosić na ołtarze wielkiej sztuki powieść *Bogactwo*. Co innego z *Panem Tadeuszem*, *Rękopisem znalezionym w Saragossie*, *Zemstą*, *Wojną żydowską*, *Mistrzem* i *Małgorzatą*, *Dzumą*, *Adą albo Zarem*, ostatnimi tomikami Szymborskiej, przedśmiertnymi *Sonetami brynowskimi* Kijonki, powieścią *Kamień na kamieniu* Myśliwskiego (choć tutaj zdania są podzielone). Trzeba wyraziście stwierdzić, że Marek Piechota jest żarliwym nieprzyjacielem „oderudycyjnienia człowieka” (s. 140), a lubi w metaforach dostrzegać „tęczę znaczeń” (s. 223). Pisze swoje prace „całym sobą”, czyli – dla niektórych może – nieco konfidencko, otwarcie, wprowadzając czytelnika w intymne zwierzenia biograficzne (o podróżach po górach i jaskiniach, o miłości do teatru i dobrych trunków). Ale chyba taki jest duch czasów naszej ponowoczesności! Nb. ja sam także cytuję niekiedy swoją żonę i wspominam o wnuczkach, a w tym nawet o 2-letniej Apolonii! Trudno się z tego zakłętego koła samych bestsellerów, dzieł kultowych i evergreenów wydobyć! Lecz my na prowincji wielkiego świata próbujemy stale jeszcze trwać przy autentykach i arcydziełach. ■

Marek Piechota: *(Nie) zapomniany czar arcydzieł. Anonim, Barańczak, Camus...* Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2019, 268 s.

„Sześćdziesięcioletnia obecność Kazimierza Kutza w polskiej kulturze filmowej sama w sobie jest fenomenem” (s. 7). Zdanie to otwiera zbiór szkiców Andrzeja Gwóździa *Powtórka z Kutza*. Kiedy wybitny filmoznawca pisał tę oczywistą konstatację, reżyser jeszcze żył. Stąd w uwagach wstępnych króluje niepodzielnie czas teraźniejszy, a czasowniki „pozostaje”, „nosi”, „odpowiada”, „jest żywym świadectwem” – wydają się tak samo naturalne, jak życie. Ale książka ukazała się kilka miesięcy po śmierci twórcy *Soli ziemi czarnej*, dlatego czas teraźniejszy występuje już w niej niejako w funkcji czasu teraźniejszego historycznego. Tytuł zbioru – *Powtórka z Kutza* – staje się nie tylko „sentymentalną podróżą w przeszłość”, kiedy rozpamiętuje się swoją obecność w poznawaniu kina Kutza, ale także niespodziewanym podsumowaniem, albowiem ta podróż dobiegła końca.

Podtytuł książki brzmi tak: *Tropy – Interpretacje – Rozmowy*. Jest on swego rodzaju skrótem, który informuje czytelnika o tym, że najpierw będziemy mieli do czynienia ze szkicami uogólniającymi artystyczne doświadczenie reżysera, później – z próbami odczytania wybranych filmów, a na końcu ze spotkaniem w rozmowie kogoś, kto jest ciekaw drugiego, a ten drugi wcale nie ukrywa, że ów dialog jest dla niego istotny. Dobrze, że autor książki tak stopniuje napięcie. Ale czytelnik może odwrócić tę kolejność i zacząć od rozmów. Po to choćby, by przeczytać następujące wyznanie:

„[...] filmy [...] są integralną częścią mojego życia – to filmy-wyznania, w których mieszczą się wszystkie podstawowe reguły mojej egzystencji, wyznania co do zasad, jakie powinno się honorować i do jakich jestem przywiązany, bo zostałem w nich wychowany. I w tym sensie te filmy są moimi kazaniem. W końcu są to filmy całkowicie wymyślone, sztuczne – one są jakby tym, co nazywa się autorealizacją – to moje przekonania, moje fascynacje, moje ideały i moje miłości...” (s. 141).

Mowa tu, oczywiście, o śląskim kinie Kazimierza Kutza, albowiem Śląsk był dla niego nie tylko miejscem urodzenia, ale również przestrzenią mitu. Film – mówił reżyser – „musi być wymyślony przez rzeczywistość, musi do niej wrócić jako produkt sztuczny i musi ją weryfikować, objaśniać i wyrażać w formie artystycznej” (s. 60). Andrzej Gwóźdź dopowiada: „u źródeł tych filmów tkwiła potrzeba utożsamienia się autora ze Śląskiem, nie tylko poprzez rekonstrukcję historyczną czy dokumentalny zapis, ale głównie przez stwarzanie go od nowa” (s. 60).

Kutzów „jest trzech, czterech albo i więcej”, powiada filmoznawca. Jego zdaniem, „zmiana miejsca egzystencji Kutza domagała się uwierzytelnienia tego kroku za pomocą kina, usankcjonowania go jakimś inicjalnym gestem filmowym na rzecz owej zmiany” (s. 32). Dlatego, choć twórca *Paciorków jednego różańca* utożsamiany jest głównie z tematem śląskim, to jego filmy mają swoje wcale nie jednostkowe etapy – wrocławski i warszawski. I chociaż „nie zajęły miejsca w kanonie polskiego kina” (s. 31), uznane zostały za gorsze czy „niezgodne z »naturą« kina Kutza” (s. 31–32), to przecież – pisze Andrzej Gwóźdź – są one „próbą oswojenia innej

Kutz raz jeszcze

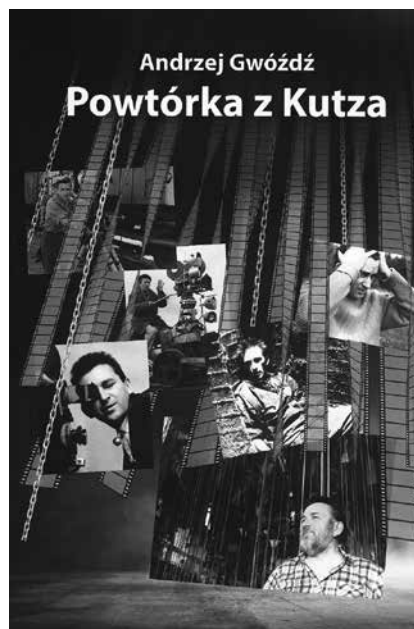
KSIAŻKI

topografii za pomocą odmiennego za każdym razem pejzażu wewnętrznego” (s. 32).

Bardzo interesująco wybrzmiała teza, że „Kutzowskie kino oczyszcza nas nieustannie z banału istnienia”. „Widzące oko towarzyszyło nieustannie gestowi narracyjnemu, było jego ostoją w widzeniu świata, nieledwie sumieniem” (s. 47). Stało się tak za sprawą zacierania granicy „między tym, co święte, a tym, co świeckie, między trwaniem w »wiecznej teraźniejszości« a istnieniem w czasie historycznym”. Kutz fetyszyzuje przedmioty, zatrzymuje oko na architekturze, wciąga nas w ruch między tym, co zewnętrzne (świat) i wewnętrzne (dom). Andrzej Gwóźdź mówi o „swoistej liturgii uwolnionych od czasoprzestrzeni zblżeń i detali” (s. 47). Oto „efekt Kutza”. Narrator „bardziej prezentuje niż opowiada, raczej operuje obrazami, które na plan pierwszy wysuwają wygląd prezentowanej sytuacji, aniżeli epatuje dynamiką akcji, skoncentrowaną na nieustannym nasyceniu fabuły bogactwem zdarzeń” (s. 59).

W czterech interpretacjach filmów Kazimierza Kutza autor książki pokazuje to w sposób mistrzowski. Uważnie, hermeneutycznie i możliwie najprościej tłumaczy nie tylko sensy kina twórcy *Nikt nie woła*, ale także te chwytły reżysera i operatora, nad którymi może się nie zatrzymujemy, ale bez niektórych z nich nie ma tego, co jest nadwyżką znaczeniową dzieła. Świetnie to ilustruje takie zdanie: „Świat płaski, nieomal graficzny, pozbawiony głębi i perspektywy, nieodmiennie sztuczny, bo w zasadzie nieodwzorowujący świata przed kamerą, lecz jedynie wnętrze bohaterów, znakomicie przysposobiony [został] kamerą Jerzego Wójcika” (s. 85). W ten sposób w interpretację dzieła został włączony jeden z istotnych współtwórców dzieła – operator. A przecież nie tylko o nim, niejako na marginesie, mówi filmoznawca.

Powtórka z Kutza to książka wielowymiarowa. W jakimś sensie jest trwaniem krytyka przy twórcy, Ślązaka przy Ślązaku, ale chy-



MARIAN KISIEL

ba w największym stopniu jest ona komentarzem do różnego rodzaju prób interpretacyjnych dzieła twórcy *Perły w koronie*. Nie roszcząc sobie prawa do definitywności, Andrzej Gwóźdź dzieli się z nami spotkaniem z kreatorem światów filmowych, które są jednocześnie światami naszej tożsamości. Ujmujący jest tu wzajemny szacunek obu *dramatis personae*. To, co je łączy, nie przekształca się w płytkość spotkania, lecz w głęboką relację.

Dotykamy kwestii moralności. Krytyk jest wierny twórcy w tym samym stopniu, w jakim on jest wierny swojemu dziełu. Wysłuchajmy na koniec tego wyznania Kazimierza Kutza: „Myślę, że powinniśmy skoncentrować się na problemie moralności u reżysera, bo to jest problem prawdy. Pytając dziś o to, co jest moralne, a co nie, pytamy ciągle, czy to, co reżyser zrobił w swoim filmie, jest zmierzaniem do prawdy, czy jest deklinacją prawdy. Uważam, że kwalifikacja moralna w zawodzie reżysera dotyczyć powinna nie tego, czy jako artysta świadomie kłamie. To jest [...] generalny problem reżyserskiej moralności. [...] pytanie o moralność dlatego ma sens, [...] bo moralność leży całkowicie w gestii człowieka, a to znaczy, iż nie może być nakazywana, zakazywana, krytykowana i w związku z tym nie można znaleźć wystarczającego alibi dla jakichkolwiek instytucjonalnych czy ustrojowych motywacji w tym względzie. Akurat w tych sprawach człowiek sam decyduje za siebie. Dlatego jest to pytanie zawsze dramatyczne, a w wypadku reżysera odpowiedź zawsze musi dotyczyć problemu prawdy...” (s. 136).

Andrzej Gwóźdź: *Powtórka z Kutza. Tropy – Interpretacje – Rozmowy*. Fundacja Filmowa Kazimierza Kutza – Regionalny Instytut Kultury, Kraków–Katowice 2019, 168 s.

Aleksandra Rajnisz-Podlaska

Ur. w 1994r. Studentka V roku malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach w pracowni prof. Andrzeja Tobisa. Zajmuje się malarstwem, fotografią oraz wideo. Uważa obserwatorką nieoczywistych szczegółów ze swojego otoczenia. Laureatka 3 miejsca w konkursie Studencki Obraz Roku 2019, uczestniczka „Videonews”, Galeria Labirynt, Lublin, 2018. Prezentowała swoje prace na wystawach zbiorowych – „Protokół rozbieżności”, Galeria Miasta Ogrodów, Katowice, 2018; „Equinox”, Brick City Gallery, Springfield, Missouri, 2019.



for. arch.





Ser zostaje w kole, 110x140.







Z tatą, 100x150 cm.



Dziwnie się czuję, 40x50 cm

Mistrz kontrabasu totalnego

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Pusty śmiech mnie ogarnął, kiedy dowiedziałem się, że nadano mi jakąś srebrną odznakę zasługi (może był to medal?) za coś tam, za wkład czegoś w coś – może ważnego, może ważnego tylko dla tych, którzy takie wisioriki rozdają. Pusty, bo gdyby mieszkał i działał w Berlinie, Londynie, Paryżu, a zwłaszcza w dziś nieciekawym, pozabawionym prawdziwych talentów, nudnym doś Nowym Jorku odcinającym kupony od swojej reputacji (gdzie po prostu nie miałby konkurencji i przeszkód w budowaniu kariery oprócz typowo amerykańskich, antypolskich uprzedzeń), byłby artystą światowej sławy, bez którego nie obyłyby się żadne poważne encyklopedie muzyczne i nie tylko muzyczne, wielkie festiwale, firmy nagraniowe. Z tych ostatnich niemiecka ECM byłaby najpewniej idealnym wehikułem popularyzacji jego potężnego talentu.

Mówię o potężnym talencie, bo jako myślący, twórczy artysta, posiadacz tego talentu wyrasta jak olbrzym ponad otaczającą go przeciętność, którą polityczne rozgrywki podnoszą do rangi geniuszu. Jakież potem rozczarowanie, ból, pretensje – nigdy nie do siebie, zawsze do innych – kiedy ta przeciętność wychodzi na wierzch, a odbiorcy sztuki jakoś nie potrafią strawić tego, co po gombrowiczowsku podaje im się jako wielkie, no bo jest wielkie, zaś oni tego nie są w stanie zrozumieć i w końcu nie wiadomo, czy ten ktoś jest naprawdę wielki, czy może nie jest, a może właśnie jest artystycznym krasnalem, co zresztą najczęściej okazuje się prawdą.

Artystę, o którym piszę znam, podziwiam i szanuję już od lat osiemdziesiątych XX wieku. Pojawił się pewnego dnia w dawnym Centrum Kultury z propozycją koncertu. W owych szarych czasach miała tam siedzibę Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia i Telewizji – taką nosiła nazwę, zaś Centrum, instytucja od WOSPRiTV niezależna, oferowała prawdziwy miszmasz imprez, wśród których były wspaniałe (*Kwartet dla czterech aktorów* Bogusława Schaeffera z Mikołajem i Andrzejem Grabowskimi, Janem Peszkim i Jackiem Chmielnikiem), przeciętne (jednoosobowe występy Czesława Niemena, który akompaniował sobie na keytarze i Jerzego Połomskiego, któremu akompaniowała taśma), albo wprost rozpaczliwie nieudane

(jak zaplanowany z błogosławieństwem Wydziału Kultury Komitetu Wojewódzkiego PZPR koncert grupy Papa Dance, wciśnięty Centrum przez trzech panów, którzy przedstawili się jako menadżerowie zespołu, wzięli pieniądze z przedsprzedaży biletów i naturalnie zniknęli).

Pojawił się więc: niewysoki, chudy, długowłosy, z brodą i wąsami, w okrągłych drucianych okularach à la John Lennon, obdarzony głosem o oryginalnej, chropawej barwie. Taki trochę „awangardowy Jezus”. W precyzyjnych, spokojnie wypowiedzianych zdaniach przedstawił swoją propozycję. Był to koncert, w którym miał grać na kontrabasie, ale kontrabasie – preparowanym! Wszyscy słyszeli o fortepianie preparowanym, który jakoby wymyślił John Cage, kiedy tak naprawdę użył go po raz pierwszy Eric Satie, jeszcze w roku 1913, w *Le piège de Méduse*. Jednakże fortepian spreparować łatwo, bo te wszystkie śrubki, wkładki, nakrętki, plastelinę, długopisy, gwoździe, kawałki drewna, piłeczki pingpongowe i paski papieru można wewnątrz fortepianu umieścić między strunami i na strunach. Ale kontrabas?! Cóż, jest i na ten instrument sposób – zaś on uczynił z preparacji swojego instrumentu sztukę samą w sobie.

Koncert był świetny, artysta zaprosił nas na orgię – orgię barw, które tworzył grając na kontrabasie smyczkiem, ale w różnych nietypowych miejscach, jak na pudle, szarpiąc struny na wszelkie znane i mało znane sposoby, np. szurając po nich paznokciami. Uczynił ze swego, było nie było smyczkowego, instrumentu instrument perkusyjny, jako że na korpusie grał palcami, a na strunach różnymi przedmiotami, pałeczkami i grzechotkami (więc dźwięk multiplikowany: kontrabas, grzechotek plus różnych poddźwięków, przydźwięków, naddźwięków!) – a wszystko to ubrane we frenetyczne, bluesowo-rockowe harmonie i rytmy. I głos – głos rasowego bluesmana, rockmana albo Bóg wie czyj jeszcze. Słuchając tej wyjątkowej, totalnej muzyki (totalnej, bo brzmiał w niej cały świat) zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z artystą absolutnie innym, że mam do czynienia z geniuszem.

Później miałem zaszczyt grać z nim w różnych konfiguracjach personalnych,



for. arch.

np. z wybitnym puzonistą Bronisławem Dużym (jako Ze JungFreud Tri), albo wspaniałymi poetą Tadeuszem Sławkiem, wiolonczelistą Marcinem Krzyżanowskim, tancerką Ilianą Alvarado. Koncert Ze JungFreud Tri w czerwcu 1986 w krakowskim klubie „Pod Jaszczurami” utkwił nam chyba najlepiej w pamięci, szczególnie rozjuszeni bramkarze starający się na wszelkie sposoby przerwać występ (byli tam m.in. Jarosław Śmietana z Laboratorium oraz przesympatyczny big band z Lille) – rozgrywały się wtedy mistrzostwa świata w futbolu, a troglodyci chcieli oglądać mecz. Na szczęście ktoś mądry znalazł rozwiązanie i kupił im wódkę, którą przyjęli z protekcyjną wyrozumiałością.

O Bogdanie Mizerskim (1955) nie potrafię pisać inaczej niż w superlatywach. Cenię go nie tylko za zupełnie unikatową estetykę twórczą i odtwórczą, jest bowiem równie utalentowanym kompozytorem jak wirtuozem, ale też za to, że nie stoi w miejscu, że ciągle tę estetykę rozwija. Z czasem poszerzył swoją twórczą paletę o elektronikę – tę ze studia i tę na żywo, dzięki czemu uzyskuje w muzycznych pionie (współ-brzmienia; myślnik celowy) i poziomie (suprastylistyczna progresja narratywna) zadziwiająco świeże efekty ekspresyjno-formalne. Forma „eseju filozoficznego na kontrabas i głos” (także z udziałem światła i wideo), którą wykoncepowali Sławek i Mizerski, nie ma odpowiedników, to bezprecedensowy wkład w rozwój muzyki, sztuki multimedialnej, poezji i filozofii. Wyobrażam sobie Arystotelesa, którego przecież wszystko interesowało, mruczącego z zadowolenia na koncercie obu panów: „Tak zawsze chciałem uczyć filozofowania”. No i Witkacego, którego słowotwórstwu poświęcił Mizerski doskonałą płytę *Witkac Song* (OFF Records 001), „wałącego dawkę coco” z radości, że wreszcie ktoś stworzył jego wymarzoną, wyśnioną muzykę.

Widok z wnętrza samotności

WOJCIECH LIPOWSKI

Rzeczywistość oglądana w teatrze czasem prowokuje do odwiecznych pytań o sens bytowania, znaczenie powszedniej egzystencji. W tym ujęciu realizm ukazany na scenie może stać się budzącą niepokój metaforą. Trudnym do wyrażenia doświadczeniem. Przejmującą nieprzystawalnością słów i rzeczy. Taką przestrzeń wypełniają zazwyczaj ludzie skłócony z życiem, uciekający przed przeszłością, wędrujący po świecie w poszukiwaniu podobnych. Czasem obserwują tych, którym udało się gdzieś zadomowić i to wystarcza, jednak nie na długo. Szybko ruszają w dalszą drogę wierząc, że kiedyś odnajdą pęknięcie, szczelinę, w której istnienie odsłoni na moment swe prawdziwe oblicze a oni doświadczą przemiany.

Wydaje się, że teatr podobnych zagadnień tworzy od lat Ingmar Villqist, (Jarosław Świerszcz), dramaturg, reżyser, historyk sztuki posługujący się norweskim pseudonimem, szukający bez wątpienia inspiracji dla swych artystycznych wypowiedzi w tradycji i dokonaniach Strindberga czy Ibsena.

Obraz świata Północy może stanowić w tym wypadku szczególnie punkt odniesienia dla przeżyć wewnętrznych bohaterów, zapewnia pojemną przestrzeń dla wszelkich, niełatwych do nazwania lęków, przeczuć, zmagania z emocjami, bądź

raniącymi wspomnieniami. Podobnie jak u nich opowieść o cierpieniu i bólu, związkach między ludźmi, przedstawionych czasem w naturalistycznym ujęciu; stanowi oś narracyjną tekstów dramaturgicznych Villqista, a chęć nazwania, opisanie wewnętrznych doświadczeń jest ich ważną dominantą. Autor w jednym z wywiadów stwierdził: „We wszystkich moich dramatach pojawiają się postaci ukazane w momencie konieczności zapłacenia rachunku za coś, co wydarzyło się w przeszłości”.

Tak jest choćby w *Nocy Helvera* (1999), sztuce o wykluczeniu, odmienności, braku akceptacji, budzeniu agresji; *Oskarze i Ruth* (1999) tragikomedii o wpływie stereotypu i hipokryzji na relacje małżeńskie; *Kompozycji w słońcu* (2007), opowieści o ludziach, których przeszłość prześladowa winami nie popełnionymi; *Oddychaj ze mną* (2009), pełnej niedomówień, przemilczeń historii mężczyzny i kobiety, których kiedyś łączyło wspólne życie; *Chłopcu z łabędziem* (2015), gdzie spotkanie trzech kobiet w dusznym wnętrzu chorzowskiej kamienicy odsłania świat trudnych wzajemnych powiązań i skrywanych tajemnic.

Obecnie, w jubileuszowym sezonie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, gdy scena świętuje 130-lecie powstania, reżyser

powraca z niejednokrotnie wystawianą na krajowych i zagranicznych scenach sztuką *Beztlencowce*. Spektakl jest prezentowany w ramach projektu „Off Road”, na który składają się kameralne realizacje powstające z inspiracji aktorów teatru. Sztuka Villqista to w zasadzie cykl sześciu oddzielnych jednoaktówek tworzących kompozycyjną całość, których akcja rozgrywa się w realiach skandynawskich. We wszystkich częściach autor przedstawia ludzi w jakimś przełomowym momencie życia, pośród codziennych spraw, szczególnie interesuje go przy tym kwestia zachwianych relacji między nimi, nieustanny pojedynek z drugim oraz własnymi słabościami.

W bielskiej adaptacji Villqist sięga tylko po tytułowe *Beztlencowce*, by opowiedzieć historię dochodzenia do prawdy o sobie, uwolnienia od win przeszłości. W skromnej przestrzeni niewielkiego mieszkania dwóch mężczyzn opiekuje się sześciomiesięcznym dzieckiem. Robią to z oddaniem, mimo że ich związek przeżywa widoczny kryzys. Jednak, jak się wydaje, to nie miraż wzajemnych odniesień staną się głównym motywem spektaklu. Będzie nim raczej próba wyjaśnienia zalety spraw, naprawienie popełnionych błędów, nie pozwalających niczego uporządkować w teraźniejszości.

„Beztlencowce”, Teatr Polski Bielsko-Biała Fot. Dorota Koperska



Lars, którego postać, oszczędną w ekspresji, pulsującą podskórnym napięciem, buduje na scenie Piotr Gajos, zmagając się z poczuciem winy, bowiem zaniedbał dawno niewidzianą żonę i córkę, poza tym potajemnie opiekuje się chorym na AIDS znajomym. Można, przywołując słowa jego partnera Maga, którego niepewność, wahania a niekiedy stanowczość, świetnie oddał Sławomir Miska; powiedzieć, że Lars co chwilę potyka się o „trupa potwora z przeszłości”. Oboje pragną spokoju, ale „co chwila coś wyłazi” i nie pozwala im uczynić kroku w stronę stabilizacji więc balansują na rozpostartej między nimi, niewidocznej linii.

Ingmar Villqist w sposób niezwykle wiarygodny potrafi pokazać widzowi przepastne wnętrza samotności człowieka, wypełnione lękiem przed światem, który nie akceptuje odmienności i wywołuje poczucie winy. Zupełnie nie przeszkadza nam, nie budzi kontrowersji, że jest to opowieść o mężczyznach w związku partnerskim. Przecież pragnienie szczęścia, normalnego, bezpiecznego życia, towarzyszy każdej rodzinie, a taką Lars i Mag próbują stworzyć i utrzymać.

W spektaklu Villqista nie doczekamy się efektownego przełomu, który mógłby stanowić atrakcyjną ilustrację kwestii winy i odkupienia dawnych grzechów. Nie u tego autora. Lęki i słabości człowieka widać najpełniej nie w momentach, kiedy emocje sięgają zenitu, czy dochodzi do zadawania bólu drugiej osobie, ale ciszy, nieobecności, a te chwile udało się aktorom wygrać na scenie niezwykle sugestywnie i przekonująco. Bodaj najwięcej o słabościach i obawach Larsa dowiemy się, nie wówczas gdy wykrętami będzie uzasadniał potrzebę nocnego wyjścia z domu, by zatelefonować do córki, ale w chwili załamania, kiedy wyjawia, że chciałby „umrzeć choć na kilka godzin”. Wypisać się z życia na chwilę.

Nikt jednak nie ojedzie, nie ucieknie z klaustrofobicznej przestrzeni własnych zjaw. Lars zniknie i powróci, podobnie jak zapomniana córka, którą gra Katarzyna Żbel. Nastąpi gest wymazania, zetrą się powoli ślady dawnego życia. Wraz z tym wszystkim wróci senna, ale wypełniona ukrytymi znaczeniami codzienność. W tej iluzji rzeczywistości widzowie będą szukać odbicia własnych niepokojów, słabości, psychicznych „potworów z prahistorii”, bo nie może być inaczej w opowieści o niełatwych związkach między ludźmi.

Ingmar Villqist w *Beztleńcowcach*, podobnie jak w innych utworach, bardzo świadomie wykorzystuje przetworzone twórczo ibsenowskie motywy mówiące o niebezpiecznej mieszaninie relacji uczuciowych i rodzinnych. Na styku tychże, czego doświadczamy podczas spekta-

klu, rozpoczyna się fascynująca i destruktywna w swej istocie gra. Nie ma w niej zwycięzców, może poza rozpaczą dosięgającą w końcu każdego, kto decyduje się na podjęcie walki z czasem przeszłym.

Cóż więc pozostaje bohaterom *Beztleńcowców*, gdy nad ranem siedzą w milczeniu wpatrzeni w siebie, a może bardziej w głąb własnej samotności? Wiara, że uda się przetrwać niedobry czas i spojrzeć z dystansem na terażniejszość. Albo marzenie, że wszystko ruszy z miejsca, nastąpi egzystencjalna przemiana, rozplącze się gmatwanina ludzkich losów i życie nabierze sensu. Dla nas, widzów miejscem jego tworzenia od nowa stanie się oglądany spektakl.

A może jednak ci, o których opowie-

dział autor byli niepotrafiącymi się przystosować do pragmatycznej rzeczywistości marzycielami? Robert Musil pisał o nich następująco: „Są nimi ludzie pozornie pozbawieni uczuć. Wędrują, przypatrując się, co robią inni, którzy na świecie czują się swojsko. I, niosąc w sobie coś, czego nie czują. Każdej chwili spadają poprzez wszystko w bezdenną otchłań. Nie tonąc przy tym. W stan stworzenia”. ■

Beztleńcowce

Tekst, reżyseria, scenografia

Ingmar Villqist

Teatr Polski Bielsko-Biała

Premiera 15.09.2019

„Beztleńcowce”, Teatr Polski Bielsko-Biała. Fot. Dorota Koperska



Amerykańska kariera Martyny Majok, będąca ilustracją czegoś, co zwykliśmy nazywać „american dream”, wydaje się ciekawsza i lepsza niż jej uhonorowana nagrodą Pulitzerza sztuka „Koszt życia”, której polska prapremiera odbyła się 20 września na kameralnej scenie Teatru Śląskiego w Katowicach.

Ta biografia rzeczywiście wygląda jak american dream — amerykański sen. Martyna Majok urodziła się w 1985 roku w Bytomiu. To bodaj najbardziej pokiereszowane i poranione w czasie PRL-owskiej eksploatacji oraz następującej po niej tzw. transformacji ustrojowej miasto Górnego Śląska. W wieku 5 lat wyjechała z matką do Stanów Zjednoczonych. Tam na początku nie miała łatwo, co tak streszcza dziennikarka „Gazety Wyborczej” Marta Odziemek: „Dorasta w środowisku imigrantów z innych krajów. Jej mama pracuje w fabryce, opiekuje się starszymi osobami i sprząta domy, by utrzymać siebie i córki (w międzyczasie na świat przychodzi siostra Martyny). Ojczym, który z nimi mieszka, pracuje na budowie. Bywa agresywny. (...) Martyna jest nastolatką i dorabia jako kelnerka. Po godzinach grywa w bilard za pieniądze. Pewnego razu ogrywa na sporą sumę klientów baru, w którym pracuje. Kupuje sobie za te pieniądze coś wyjątkowego — bilet do teatru. (...) Postanawia studiować, choć w imigranckich rodzinach to rzadkość. Wybiera University of Chicago i literaturę angielską. Na zajęciach teatralnych widzi, że inni studenci są bardziej od niej obeznani z teatrem. Nie zraża się i grywa w spektaklach wystawianych na uczelni. Po studiach wraz z Josiah Banią — aktorem polskiego pochodzenia i jej przyszłym mężem zamieszkują w Nowym Jorku, gdzie — jak to bywa wśród młodych artystów — klepią biedę. Ciągłe zmieniają mieszkania, w których roi się od pluskiew. W jednym z nich Martyna sypia w wannie, bo tylko tam nie ma robaków.

Żeby nie przedłużać — jako dramatis personae osiąga sukces, którego ukoronowaniem jest otrzymanie w 2018 roku Nagrody Pulitzerza. Majok dostała ją za sztukę „Cost o Living” — „Koszt życia”. Teraz, jako pierwszą premierę sezonu 2019/2020 wystawił ją w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej Teatr Śląski w Katowicach. Jest to zarazem polska prapremiera tego dramatu.

Rzecz dotyczy niepełnosprawnych. Oczywiście można żartować, że w przesiąkniętej polityczną poprawnością Ameryce wzięcie na warsztat tematu niepełnosprawnych albo homoseksualistów to klucz do sukcesu. Zresztą nie tylko w Stanach, bo czyż w Polsce nie był to know-how zastosowany przez Ingmara Villquista? Nie sądzę jednak, aby Majok chodziło właśnie o zdyskontowanie poprawnego politycznie tematu. Ją raczej interesowało po prostu fabularne „mięso”, czyli zrobienie kawałka dobrego teatru.

Oglądamy dwie historie; w każdej jeden z bohaterów jest niepełnosprawny — „na wózku”. W pierwszej pracująca w nocnym barze młoda imigrantka Jess dodatkowo dorabia opiekując się do południa Johnem — młodym, wykształconym i bogatym mężczyzną, cierpiącym na porażenie mózgowie. W drugiej — opiekunem sparaliżowanej po wypadku młodej (40 lat) kobiety jest jej mąż. Tyle, że mąż właśnie od niej odchodzi, są w trakcie rozwodu, on ma już



Martyna Majok „Koszt życia”, Teatr Śląski w Katowicach

fot. Przemysław Jendroska

Owoc amerykańskiego snu

MARCIN HAŁAŚ

inną. Nie wiadomo, czy młodszą, czy ładniejszą — ale pełnosprawną, mogącą wyjść na spacer, ugotować obiad, zrobić zakupy. Jest w takich sytuacjach potencjał dramatyczny. Odnoszę jednak wrażenie, że Martyna Majok nie eksploruje go w jakiś wyjątkowo oryginalny sposób. Czyni to wręcz w sposób przewidywalny. Niepełnosprawni gotujące się w nich uczucia: niemoc, złość, bezsilność, bunt, żal do świata — „wylewają” na innych, na swoich opiekunów, starając się w jakimś sensie odreagować. Przygniata ich bezradność, fizyczność, fizjologia, ale także uwężoni seksualność.

W tekście sztuki Majok tak naprawdę nic nie zaskakuje. Pointa może bardziej wyrazista, przejmująca jest w historii barmanki Jess, opiekującej się Johnem z porażeniem mózgowym. Choć i ją uznać można za dramaturgicznie przewidywalną: dziewczyna w jakiś sposób związane z podopiecznym uczuciowo. On brutalnie to rozbija, upokorzy ją (zapewne nieświadomie), traktując tylko i wyłącznie instrumentalnie: jako służącą. W historii małżeństwa Ani i Ediego okaże się dość sentymentalnie, że mimo wszystko związani są ze sobą uczuciowo; być może gdyby nie jej tragedia nigdy by tego nie skonstruowali.

Teoretycznie — mamy dwie niezłe historie. Praktycznie — ich przewidywalność sprawia, iż chwilami widz odnosi wrażenie, że przedstawienie osuwa się w dłużyzny, z których najbardziej irytująca, aż do granic zniecierpliwienia będzie ostatnia, zupełnie niepotrzebna, scena, w której spotykają się sprawni boha-

terowie obu opowieści. To zakończenie osłabi właściwe pointy, a wręcz — powtórzę raz jeszcze — zirytuje. Dramat jest niezły, dobry, poprawny; niemniej jeżeli za tak skreślone sztuki daje się w USA Nagrody Pulitzerza — dość kiepsko świadczy to o współczesnej dramaturgii amerykańskiej. Naprawdę wolałbym, aby temat wziął na warsztat dramaturg rosyjski, jakis Kolada na przykład, pewnie wycisnąłby z niego znacznie więcej. Przy całym szacunku dla warsztatu i talentu Martyny Majok...

Jeżeli zaś chodzi o reżyserię, aktorstwo — również niezłe, dobre, poprawne. Wyróżnia się chyba najbardziej Aleksandra Przybył (Jess), Kamil Suszczyk (John) o tym, że gra mężczyznę z porażeniem mózgowym naprawdę zdaje się pamiętać chyba tylko w pierwszej scenie, potem gra go już bardziej nie dbale, jakby umownie. Ale przecież również na tym — na umowności — polega teatr. Z drugiej strony, kiedy Jess myje Johna i z przysnica leje się prawdziwa woda — myślę, że taka dosłowność jest potrzebna tylko wówczas, kiedy reżyser nie ma pomysłu jak coś zilustrować za pomocą znaków umownych.

Może czepiam się niepotrzebnie? Mam niezłą sztukę, niezłe zagraną. Ale ja już jestem stary, więc szukam w teatrze czegoś więcej — jeśli nie tego, co nazywano dawno temu katharsis, to chociażby ten tej trzeciej niewidzialnej ręki z wiersza Szymborskiej, która „spełnia swoją powinność: ścisła mnie za gardło”. W „Koszcze życia” ścisnęła zbyt słabo, a może wcale. Jak widać, zbyt wiele się spodziewałem po tekście nagrodzonym Pulitzerem. ■

Odchodzący świat ekslibrisu

JAN MALICKI

Nie jest to z pewnością stwierdzenie odkrywcze. Raczej swoiste memento dla współczesności. Na naszych oczach kurczy się, odchodzi i przekształca jeden z najważniejszych kręgów wielkiej tradycji kulturowej Człowieka. Świat książki. Zapewne jednak nie zaniknie. Przeistoczy się i dostosuje do wymagań współczesnego homo sapiens, obeznanego i kreującego wirtualną rzeczywistość, ukonkretniającą lub unaoczniającą wszelkie przekazy fabularne, a przez to nierzadko ograniczając wciąż funkcjonującą wyobraźnię. A może właśnie wręcz przeciwnie; dopełniając i wzbogacając przestrzeń ludzkiego trwania o nowe, dalsze, dziś jeszcze nieznanne formy narracyjnej perswazy, czy szerzej: horyzonty człowieczego poznania. Gdzie zatem biegnie owa granica, dostrzegana przez wielkie utopie Platona, Lukiana z Samosat, Franciszka Rabelaisa, Tomasza Rostanda, Johnathana Swifta, a współcześnie przez literaturę sf. Gdy po jednej stronie staje niezwykła wyobraźnia, talent i atrakcyjny warsztat pisarski twórcy, po drugiej zaś praktyka niemal rzemieślnicza, nadająca ich dokonaniom niezwykły, artystyczny kształt. To książka. Chyba się jednak trochę zapędziłem...

Choć i dziś, raz za razem pojawiają się kasandryczne przepowiednie o końcu kultury książki, jak to czynił jeszcze niedawno Łukasz Gołębiewski – którego, nota bene, bardzo cenię – tworząc wizję determinizmu katastroficznego w pracy *Śmierć książki*. No fu-

ture book. Na szczęście książka żyje, choć pomalutku umierają cząstki, niegdyś integralnie z nią identyfikowane. Jedną z nich jest ekslibris, mała forma graficzna, związana z właścicielem lub jego księgozbiorem. Nie czas, oczywiście, badać dzieje zjawiska, bo tradycyjnie należałoby przywołać formułę: „już starożytni...”, pamiętając choćby o Egipcie i Asyrii.

Ale o wiele ciekawsze są dzieje ekslibrisu w czasach nowożytnych, od momentu wynalezienia druku i coraz powszechniejszej mody gromadzenia ksiąg. Tych drógich, niczym wioski w dawnej Polsce, i tych szczególnie chronionych, bo przytwierdzanych łańcuchem do pulpitu. Jedną z nich zachowała się zresztą w zbiorach Biblioteki Śląskiej.

Zarówno wynalazek druku, jak też najstarsze zachowane ekslibrisy wiążą się z kręgiem kultury niemieckiej. Jak twierdzi Jan Sakwerda – kolekcjoner i znawca tej sztuki – „Stamtąd pochodzą najstarsze, znane nam do tej pory egzemplarze oddzielnie odbitych znaków, dokumentujących proveniencję średniowiecznych woluminów. Odkryto je w klasztorze kartuzów w Buxheim koło Memmingen w Bawarii. Pod koniec XV wieku w tamtejszej bibliotece znalazły się inkunabuły, dary wielu fundatorów tego klasztoru, ozdobione drzeworytnymi ekslibrisami Hildebranda Brandenburga z Biberach, Wilhelma von Zella czy też Radigundy Eggenberg. Ów ekslibris Brandenburga na ogół uchodzi dziś w literaturze



przedmiotu za najstarszy, a jego datowanie zamyka się w latach 1470-1490.”

Odtąd ta forma graficzna już na stałe zadomowiła się w europejskiej kulturze, była też atrakcyjną dla artystów tej miary, co Albrecht Dürer, Łukasz Cranach Starszy, czy Hans Holbein. Szczególnie w pierwszej połowie XVI stulecia. Z tego czasu pochodzi również pierwszy znany nam, polski ekslibris drzeworytowy, wykonany co prawda w Wiedniu przez Hieronima Wietora, lecz dedykowany nie byle komu, bo Maciejowi Drzewickiemu, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i prymasowi Polski. Niewykluczone, iż już wtedy i dostojnicy wrocławscy mogli posiadać znaki własnościowe swoich ksiąg. Najczęściej przywoływani są Turzonowie, zwłaszcza biskup Jan, wokół którego skupiło się grono wybitnych humanistów. Jednak pierwszy, zachowany do naszych czasów ekslibris pochodzi dopiero z lat 1578-1588, czasów przesławnej bitwy pod Byczyną. Właścicielem dwóch różnych znaków był biskup Andreas von Jerin. Nieprzypadkowo przywołałem wcześniej postać Jana Sakwerdy, niezwykłego człowieka, pasjonata (we wtórnym rozumieniu tego słowa), katowiczana, urodzonego w Dąbrówce Małej, choć przez całe życie związanego z Dolnym Śląskiem. Ten kustosz wrocławskiego Muzeum Miejskiego, a zarazem zapalony turysta, był miłośnikiem małych form graficznych i medalierstwa. W tym też zawodowo się specjalizował. Dwukrotnie był jurorem Międzynarodowego Przeglądu Ekslibrisu Drzeworytniczego i Linorytniczego im. Pawła Stellera, organizowanego przez Bibliotekę Śląską. Wówczas też bliżej go poznałem. Dla nas wszystkich, wielkim zaskoczeniem był jego niespodziewany i niezwykły dar. W 2006 roku Jan Sakwerda ofiarował BS swoją legendarną kolekcję 170 ekslibrisów z niemieckiego obszaru językowego. Rok później dodał jeszcze 36 znaków książkowych. W ten sposób, gromadzone od lat w Silesiance zbiory ekslibrisowe z całego świata, liczące obecnie bodaj 10 tys. jednostek, wzbogacone zostały o zwarty zasób znakomitego kolekcjonera.

Świat miłośników pięknych książek jednak powoli odchodzi. A ekslibris? Będzie, oczywiście, trwać, póki trwać będzie książka i biblioteka. Może tylko w innej postaci... ■



Tegoroczne rozpoczęcie sezonu artystycznego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” miało wymiar szczególny, przypadło bowiem w 100. rocznicę urodzin Stanisława Hadyny. W ramach trwających z tej okazji Dni Hadynowskich, już 24 września odbyła się konferencja „Styl muzyczny Stanisława Hadyny – artystyczne i kulturowe konteksty twórczości”, a z kameralnym koncertem pieśni polskich wystąpili Grzegorz Piotr Kołodziej i Wojciech Szymczewski, wpisując się w jubileuszowy cykl „Koncertów na Zamku”. 25 września 2019, dokładnie w dniu setnych urodzin założyciela i patrona Zespołu, odbył się w Koszęcinie Zlot Szkół Hadynowskich i uroczysty koncert chóru, baletu i orkiestry Zespołu „Śląsk”, inaugurujący nowy sezon artystyczny. Zwieńczeniem tego wyjątkowego dnia, pełnego wspomnień i emocji, była msza św. z okazji 100-lecia urodzin Stanisława Hadyny i 200-lecia urodzin Stanisława Moniuszki. Artyści wzbogacili nabożeństwo repertuarem sakralnym Moniuszki, a po mszy odbył się krótki koncert pieśni opracowanych i skomponowanych przez założyciela Zespołu.

Zlot Szkół Hadynowskich

Organizowany od kilku lat Zlot Szkół Hadynowskich to piękna tradycja, łącząca młodych miłośników kultury ludowej w pielęgnowaniu pamięci o założycielu Zespołu. W spotkaniu jak co roku uczestniczyli przedstawiciele Szkoły Podstawowej im. St. Hadyny we Frydku, Polskiej Szkoły Podstawowej im. St. Hadyny w Bystrzycy na Zaolziu, Szkoły Podstawowej Nr 25 im. St. Hadyny w Chorowie-Maciejkowicach oraz uczniowie i nauczyciele placówki należącej do grupy „Szkół Hadynowskich” – Zespołu Szkolno-Przedszkolnego Nr 2 im. Jerzego Wójcika w Piekarach Śląskich.



Zlot Szkół wokół ławeczki Hadyny.

fol. Irek Dorożański

Dni Hadynowskie w 100-lecie urodzin założyciela Zespołu „Śląsk”

AGNIESZKA KUKUŁA

Podczas tegorocznego Zlotu uczniowie wzięli udział w konkursie wiedzy o życiu i twórczości Stanisława Hadyny, spotkali się na uroczystym Apelu Pamięci i złożyli kwiaty pod pomnikiem założyciela Zespołu. Młodzież wysłuchała także krótkiego koncertu laureatów głównej nagrody tegorocznego XXVI Regionalnego Przeglądu Pieśni im. prof. Adolfa Dygacza „Śląskie Śpiewanie” – Dziewczęcej Grupy Śpiewaczej „Sójki”. Spotkanie szkół ko-

ordynowało Śląskie Centrum Edukacji Regionalnej. Odbywające się 24 i 25 września Dni Hadynowskie w Zespole „Śląsk” patronatem honorowym objął Marszałek Województwa Śląskiego, a zrealizowano je z programu Kultura Dostępna, w ramach współpracy z Narodowym Centrum Kultury.

Ukoronowaniem tegorocznego Zlotu Szkół, Dni Hadynowskich i punktem kulminacyjnym obchodów Roku Stanisława Hadyny był koncert chóru, baletu i orkiestry Zespołu „Śląsk” pod dyrekcją Zygmunta Magiery. Programem z najpiękniejszym repertuarem ludowo-narodowym artyści uroczystie zainaugurowali 67. sezon artystyczny Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Plany na nowy, 67. sezon artystyczny

Rozpoczynając nowy sezon, „Śląsk” przygotowuje się już do przedsięwzięć, które czekają artystów w ciągu najbliższych kilku miesięcy. W połowie października chór i balet Zespołu wyruszą w daleką podróż do Japonii z okazji 100-lecia nawiązania oficjalnych stosunków dyplomatycznych między Polską i Japonią. Wystąpią z trzydziestoma koncertami, odwiedzając 18 miast w niemal całym Kraju Kwitnącej Wiśni; wśród nich znajdują się m.in. Tokio, Nagoja, Hiroszima, Kioto, Osaka, Sapporo i Jokohama. W grudniu z kolei,

fol. Irek Dorożański



Portret Mistrza w młodych rękach.



Dzieci w koszęcińskim pałacu.

chór i orkiestra Zespołu zawiozą polską kolędę za Ocean, do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Wrócą do Polski wprost na wigilijną kolację. Obydwie dalekie trasy koncertowe Zespołu „Śląsk” otrzymały dofinansowanie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wypełniając swoją misję ambasadora polskiej kultury, „Śląsk” będzie także w 2020 roku podejmował działania o charakterze międzynarodowym. Oprócz udziału w międzynarodowych targach branży muzycznej, a także corocznych przedsięwzięć przyciągających do siedziby Zespołu gości z zagranicy, jak np. Letnia Szkoła Artystyczna czy Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny „Silesia”, Zespół wyruszy w kolejne dalekie podróże poza granice kraju. W planach koncerty m.in. w Australii, Brazylii, a także nieco bliżej, za wschodnią granicą, na Ukrainie.

Z ciekawszych przedsięwzięć, w których – jeszcze przed końcem tego roku – będą uczestniczyć artyści Zespołu „Śląsk”, należy wymienić udział w konkursie Eurowizji Junior, który odbędzie się 24 listopada w Gliwicach. W listopadzie do Nowego Jorku wyjedzie też grupa tancerzy, uczestniczących w projekcie „Soft Power”, widowisku tanecznym łączącym elementy tańca ludowego i tańca współczesnego do muzyki elektronicznej, w choreografii Michała Zubkova – pedagoga i kierownika baletu Zespołu „Śląsk”. W grudniu z kolei, w Pułtusku, pod kierunkiem artystów „Śląska”, a przy współpracy ze Stowarzyszeniem Wspólnota Polska, odbędą się warsztaty dla młodych choreografów z Ameryki Południowej, członków polonijnych zespołów folklorystycznych.

W nowym sezonie artystycznym Zespół „Śląsk” będzie kontynuował aktywne uczestnictwo w celebrowaniu rocznic wybuchu powstań śląskich.

Podobnie jak w tym roku, w którym świętowaliśmy setną rocznicę I Powstania, Zespół nie zapomni o kolejnych datach wyzwolicielskich zrywów, których jubileusze przypadają w roku 2020 i 2021. Programy patriotyczne: „Zespół Śląsk dla Niepodległej” oraz „Pieśń o Ojczyźnie”, zawierające w repertuarze m.in. pieśni powstańców górnośląskich, wciąż będą stanowić doskonałą oprawę rocznicowych uroczystości i okolicznościowych spotkań.

W planach na rok 2020 znalazły się także przygotowania do Roku Jana Pawła II, ustanowionego przez Sejm RP z okazji przypadającej 18 maja 2020 roku setnej rocznicy urodzin Ojca Świętego. Zespół „Śląsk” od 2008 roku posiada w swoim repertuarze specjalny program dedykowany św. Janowi Pawłowi II – „Santo Subito!” oraz płytę pod tym samym tytułem.

Program – przygotowany wówczas jako hołd pamięci z okazji 30. rocznicy pontyfikatu Papieża Polaka – to kolekcja polskich pieśni religijnych, muzyki sakralnej i utworów, które były zawsze bliskie sercu Jana Pawła II, jak np. „Czarna Madonna” czy „Barka”. Z okazji jubileuszu urodzin Ojca Świętego, Zespół Śląsk będzie częściej sięgał po ten repertuar, aby godnie upamiętnić tę wielką postać.

Informacje o wszystkich koncertach i wydarzeniach sezonu artystycznego 2019/2020 są stale aktualizowane w kalendarzu na stronie internetowej Zespołu www.zespolslask.pl oraz na oficjalnych profilach na Facebooku, Twitterze i Instagramie.

Premier Mateusz Morawiecki z wizytą w Zespole „Śląsk”

26 września Prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki spotkał się z Dyrekcją i pracownikami Zespołu Pieśni

i Tańca „Śląsk”. Z rąk Premiera Dyrektor Zbigniew Cierniak otrzymał – przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego – Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” za służbę dla kultury polskiej i ochrony dziedzictwa narodowego.

Dziękując za wyróżnienie, Dyrektor Zespołu podkreślił, że odbiera je nie tylko w imieniu własnym, ale i wszystkich artystów i pracowników, którzy swoją codzienną pracą przyczyniają się do sukcesów „Śląska” w Polsce i na świecie. Wyraził także słowa wdzięczności za rządowe wsparcie dla kierowanej przez siebie instytucji, która od maja 2017 roku jest współprowadzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wraz z Urzędem Marszałkowskim Województwa Śląskiego.

Premier Mateusz Morawiecki wpiął się do Księgi Pamiątkowej Zespołu „Śląsk”. W rocznicę setnych urodzin Stanisława Hadyny złożył także kwiaty pod tablicą poświęconą założycielowi i patronowi Zespołu. Premierowi towarzyszyli w Koszęcinie Wojewoda Śląski Jarosław Wieczorek i Marszałek Województwa Śląskiego Jakub Chelstowski.

Nie zabrakło muzycznych akcentów, zabrzmiały śląskie pieśni ludowe, w tym „Karolinka” na powitanie dostojnych gości w koszęcińskiej siedzibie „Śląska”. Podczas spotkania z kierownictwem i pracownikami Premier Mateusz Morawiecki podkreślił, że Zespół „Śląsk” jest najlepszym ambasadorem polskiej kultury i tradycji regionu na całym świecie. Dziękował za dotychczasowe dokonania dla kultury narodowej i życzył Zespołowi jeszcze wielu tak pięknych dziesięcioleci działalności. ■



Premier Mateusz Morawiecki wręcza Medal Gloria Artis Dyrektorowi Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” Zbigniewowi Cierniakowi.

Karl Schabik – kreator Gliwic

MAŁGORZATA LICHECKA

Sto lat temu trzydziestosiedmioletni Karl Schabik przyjechał z Westfalii do Gleiwitz. Był już urzędnikiem budowlanym z dorobkiem, chciał jednak spróbować swych sił jako ktoś, kto będzie mógł wpływać na architektoniczny kształt dużego miasta. Wygrał konkurs i od tego momentu jego kariera jako radcy budowlanego nabiera rozpędu.

*

8 lutego 1945 NKWD aresztowało Schabika, zabierając go prawdopodobnie z mieszkania przy Friedrichstrasse (obecnie ul. Kościuszki). Nie wiadomo czy Rosjanie zdawali sobie sprawę, kogo mają w swoich rękach. Prawdopodobnie nie, zresztą dla nich był Niemcem, wrogiem. Radcę zapędzono na dworzec, do transportu, który docelowo zmierzał do obozu w Woroszyłowsku (dziś Alczewsk) na Ukrainie. Schabik został więźniem – robotnikiem przymusowym. Wytrzymał do listopada 1945 roku, kiedy zabiła go czerwonka. Miał wtedy 63 lata.

Kościuszki 42–46

Tych budynków nie sposób nie zauważyć, chociażby dzięki misternie rozplecionej siatce winobluszczu, czarującym kolorami w zależności od pory roku. Wiosną cieszy nas soczystą zielenią, która latem staje się tak głęboka, że prawie czarna, by jesienią zachwycić wszelkimi odcieniami czerwieni, burgunda czy ochry. Charakterystyczne bryły z powtarzalnym wykuszem stanowią wyrazisty element tej części ulicy. Wprawdzie zieleń zdominowała detal, ale wprawne oko wyłowi ciekawie rozplanowany

układ okien, oszczędne zdobienia nad drzwiami czy półkolistą bramę prowadzącą na podwórze.

Kościuszki 42–46 to nie byle jaki zespół mieszkaniowy. Stoją za nim znaczące nazwiska, które zapisały się w historii miasta i Śląska. Mowa o Karlu Schabiku, radcy budowlanym Gliwic w latach 1919–1945, Hansie von Poellnitzu, wybitnym architekcie i projektancie pracującym dla koncernu Ballestremów oraz hrabim Mikołaju Ballestremie, dziedzicu rodzinnej fortuny, ale też skutecznym przemysłowcu.

Losy tej trójki splotły się właśnie pod tym adresem. Schabik wymyślił taki rodzaj budownictwa mieszkaniowego, a von Poellnitz, na zamówienie Mikołaja Ballestrema, zaprojektował nowoczesne, jak na tamtą epokę, przestrzenie. Kompleks powstawał od roku 1922, zaraz w początkach urzędowania radcy. W archiwum miejskim zachowała się teczka z kompletem dokumentów i planów, w najdrobniejszych szczegółach opisujących inwestycję. W 1925 roku, kiedy zespół już był gotowy i oddany do użytku – tutaj właśnie pod numerem 42, prawdopodobnie na pierwszym piętrze, zamieszkał Schabik.

Renesans Schabika

Miasto powołało go na funkcję radcy budowlanego 22 maja 1919, a pełnił ją bez przerwy do roku 1945. Jak twierdzi znawca dokonań Schabika, dr Adam Bednarski, wykładowca akademicki przez lata związany z Wydziałem Architektury Politechniki Śląskiej, dziś wykładowca



fol. arch.

Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu, widział on tkankę miasta jako strukturę harmonijnie rozwijającą się wśród ogrodów i parków.

Bednarski Schabikiem zajął się na studiach, ale wtedy nie było jeszcze dostępnych źródeł internetowych. Pierwotnie interesował się osiedlami jednorodzinnych okresu międzywojennego i tak dotarł do radcy budowlanego. W kolejnych latach uzupełniał wiedzę, prowadząc badania i kwerendy. W roku 2016 dr. Bednarskiemu udało się nawet w bibliotekach berlińskich odnaleźć akwarelę, przedstawiającą nieznaną budynek prawdopodobnie autorstwa Schabika, natomiast w 2017 roku, dzięki wciąż uzupełnianym źródłom internetowym, dotarł do kolejnych księzek adresowych, stąd pojawiły się nowe lokalizacje zameldowania radcy.

Uporządkować nieuporządkowane

Adam Bednarski tak pisze o Schabikowej doktrynie urbanistycznej: „Analizując jego wypowiedzi, które często zamieszczał na łamach prasy, oraz liczne publikacje, można wyraźnie zauważyć, że na pierwszy plan swojego programu rozwoju przestrzennego Gliwic wysuwał on architekturę mieszkaniową. Jednakże mimo to świadomie podkreśla również rolę i potrzebę realizacji nowych obiektów architektury użyteczności publicznej. Powstawanie nowych miejsc pracy w przemyśle oraz podział Górnego Śląska na mocy plebiscytu to przyczyną wzrostu liczby mieszkańców Gliwic. Poza potrzebami nowych mieszkań, rada miasta zauważała potrzebę realizacji nowych ośrodków edukacji, zdrowia i kultury. Powstało kilka obiektów sakralnych wraz z rozbudową nowych dzielnic mieszkaniowych. Lokalizacja różnych urzędów, siedzib i oddziałów administracji przemysłu była nie tylko koniecznością, ale podnosiła prestiż miasta. Nowoczesne obiekty handlowe miały za zadanie aktywizować wzrost gospodarczy i wraz z hotelami

fol. arch.



Haus Oberschlesien i dom towarowy DEFAKA.

były najczęstszym elementem reklamującym miasto. Za kadencji Schabika podjęto również udane próby modernizacji i rozbudowy układu komunikacji kolejowej, wodnej i lotniczej”.

Staje się miasto ogród

W 1919 roku w Gliwicach rozpoczęto już wiele inwestycji, trwał też proces zadrzewiania ulic i alei. Ustawodawstwo niemieckie zwracało uwagę przede wszystkim na warunki bytowe w szybko rosnących miastach. Dlatego Schabik tak bardzo koncentrował się na projektowaniu osiedli. Pierwszym wyzwaniem stało się uzupełnienie luk w zabudowie centrum. Drugim zadaniem, które uważał za istotniejsze, ale też dużo trudniejsze, było sprostanie wyzwaniom polityki mieszkaniowej, czyli stworzenie atrakcyjnych osiedli i wkomponowanie ich w tkankę miasta.

Wraz ze swoim zespołem opracował Generalny Plan Rozwoju Gliwic, opublikowany w 1928 roku. Dokument ten zakładał rozwój dzielnic, poszczególnych ulic i ich wzajemne oddziaływanie. W swoim pomysle na Gliwice Schabik realizował koncepcję Miasta Ogrodu Ebenezerza Howarda. W tamtych czasach wielu architektów czerpało z tej idei na swój sposób. Nasz radca budowlany szczególną uwagę przywiązywał do lokalizacji nowych osiedli w kontekście terenów zielonych. To był jego priorytet, a potwierdzeniem – znana z prasy karykatura Schabika, gdzie na wielkiej makiecie Gliwic z rozmachem sadzi różnego rodzaju drzewa.

Czy chodził po mieście, bywał w tej przestrzeni? – W tej kwestii możemy tylko gadybać. Na pewno miał zespół specjalistów stale nadzorujących to, co działo się w mieście. Znał Gliwice, pracował tutaj 26 lat. Najpierw jako radca budowlany, zaś od 1935 roku, kiedy powstało stanowisko architekta, został jednym z pięciu urzędników decydujących o rozwoju miasta. Planowanie przestrzenne traktowano w tamtym okresie bardzo poważnie: specjalne komisje opracowywały dokumenty związane z problematyką powodziową, analizowano także kierunek wiatru, wyznaczając tereny mieszkaniowe od strony południowego zachodu, by chronić je od zanieczyszczeń z zakładów przemysłowych – tłumaczy dr Bednarski.

Schabik prywatnie

Wiele nierozwikłanych tajemnic

Był urzędnikiem administracji niemieckiej, ale w jego przypadku nie stanowiło to przeszkody w wizjonerskim podejściu do projektowania. Cały czas był aktywny w różnych stowarzyszeniach, m.in. ochrony zabytków. To pod jego okiem przeprowadzano na przykład renowację kościoła Wszystkich Świętych. Wy-

korzystał szansę, którą mu dano, stworzył znakomity zespół współpracowników. Dzięki niemu mamy w Gliwicach zabytek światowej klasy: dom tekstylny zaprojektowany przez Ericha Mendelsohna.

Schabik urodził się 31 października 1882 roku w Głubczycach, tam też ukończył miejscowe gimnazjum. Studiował w słynnej berlińskiej Technische Hochschule w Charlottenburgu, dyplom uzyskał w 1906 roku. Walczył w okopach pierwszej wojny światowej, a po jej zakończeniu na krótko osiadł w Sieburgu, w Westfalii. To stamtąd kandydował na radcę budowlanego Gliwic. Miał żonę i prawdopodobnie dwie córki. – Na tę informację trafiłem tylko raz i nie w źródłach z tamtego czasu. Kilkanaście lat temu udało się Bogusławowi Małuseckiemu, kierownikowi gliwickiego Archiwum, nawiązać kontakt z dalszą rodziną Schabika, mieszkającą w Niemczech. Bodajże z siostrzeńcem, który zapamiętał wuja jako bardzo uprzejmego człowieka, świetnie grającego na pianinie. I tyle – mówi dr Bednarski.

Sygnowano: zespół Schabika

Lista obiektów, które powstały w czasach urzędowania radcy jest imponująca. Co więcej, większość z nich zachowała się w prawie niezmiennym stanie do dziś. Tak jest na przykład z wieloma osiedlami czy zespołami mieszkaniowymi. Puścizną Schabika i jego zdolnych urbanistów jest dworzec kolejowy, dawna autostrada A6 (dziś DK 88), lotnisko, Wyższe Liceum im. Eichendorffa przy ul. Konarskiego (obecnie Wydział Inżynierii Środowiska i Energetyki Politechniki Śląskiej).

Ale oczkiem w głowie zarówno Schabika, jak i jego współpracowników – Hansa Sattlera, Petera Birkmanna, Richarda Riedla czy Paula Helliga – były osiedla mieszkaniowe. To właśnie lokalizacja domów w otoczeniu zieleni, dobre nasłonecznienie i przewietrzenie stały się podstawą funkcjonowania strefy mieszkalnej. Z inicjatywy Schabika wybudowano w latach 1922–23 osiedla Sud i Nord. Pierwsze zlokalizowane jest na południe od centrum miasta przy ul. Rybnickiej, drugie na północy, przy ul. Tarnogórskiej. Nadzorował on również proces powstawania osiedla GAGFAH dla nauczycieli i urzędników, realizowanego w rejonie obecnych ulic Mickiewicza i Daszyńskiego. Wszystkie osiedla charakteryzowały się różnorodnością rozwiązań architektonicznych oraz przemyślanym obsadzeniem zieleni.

W latach 1920. i 30., stopniowo zabudowywano ulicę Zwycięstwa (Wilhelmstrasse) i właśnie w tym czasie wzbogaciła się ona o wybitne obiekty: Haus Oberschlesien – prestiżowy ho-



Wyższe Liceum im. Eichendorffa przy ul. Konarskiego.

tel wysokiej klasy, dziś siedziba Urzędu Miejskiego (1928), dom towarowy DEFAKA (1929), dom tekstylny Weichmanna – obecnie siedziba Nest Banku – dzieło wybitnego architekta Ericha Mendelsohna.

Bardzo interesującym zespołem mieszkaniowym jest ten zlokalizowany w kwartale ulic Kościuszki, Styczyńskiego i Daszyńskiego, zaś do przykładów modernistycznej wielorodzinnej zabudowy mieszkaniowej zaliczyć również można tę przy Piramowicza, zespoły przy Wróblewskiego, Wandy, Krakusa, Poniatowskiego oraz przy Chorzowskiej i Kaplicznej.

„Gliwice dla Schabika”

Każdy z nas, inicjatorów akcji „Gliwice dla Schabika”, słyszał bądź czytał o nim, każdy też miał o jego Gliwicach swoje wyobrażenie. Jednak dopiero razem byliśmy w stanie stworzyć platformę działania, taki zwarty front i jesienią 2018 zainicjowaliśmy akcję społeczną.



Osiedle GAGFAH, ul. Mała.

for. arch.

for. Michał Buksa



„Gliwice dla Schabika”. Od lewej: Michał Szewczyk, Anna Kusa, Justyna Wydra, Alicja Maynusch, Małgorzata Lichecka, Agnieszka Bilka i Adam Bednarski.

Powodów było wiele, z czego trzy najistotniejsze. Po pierwsze: to postać, o którą warto się upomnieć, wydobyc z historii i odpowiednio upamiętnić. Wieloletni radca budowlany był człowiekiem wielkiej konsekwencji i architektonicznej odwagi. To on stworzył miasto, jakie znamy – zaprojektował ulice, osie widokowe, osiedla, wiele znanych budynków. Po drugie: wciąż niewystarczająca jest świadomość jego dokonań. Po trzecie: uznaliśmy, że warto wiedzę o nim i jego dorobku spopularyzować i podać dalej. Zaszczepić i utrwalić.

Kochamy Schabika i... nie zawahamy się go użyć

Grupę społeczną skupioną wokół „Gliwic dla Schabika” tworzą osoby z różnych środowisk. Są wśród nas architekci, społecznicy, pisarki, dziennikarze i dziennikarki, menadżerowie i menadżerki. Połączyła nas chęć działania dla dobra miasta. Za częścią z nas stoją instytucje (Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej), redakcje (Nowiny Gliwickie i Gazeta Miejska/24 Gliwice.pl), stowarzyszenia (Ośrodek Studiów o Mieście Gliwice, Warsztat Miejski, Zielone Gliwice, Klub Książki Kobiecej). Wspierają nas wykładowcy Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej i Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu. Opiekę merytoryczną nad działaniami sprawuje dr Adam Bednarski, autor wielu książek i opracowań poświęconych m.in. Schabikowi.

Ania Kusa z DWPN zajęła się finansami i organizacją, Katarzyna Lenartowicz, dyrektor CH Europa Centralna, służy radą przy tworzeniu harmonogramów, budżetu oraz regulaminów, Paweł Harlender z OSOM to człowiek

od zieleni, znakowania miasta oraz muralu, Agnieszka Bilka z Warsztatu Miejskiego jest naszym cyberguru od wdrażania gry miejskiej, Justyna Wydra/Klub Książki Kobiecej to autorka wpisów na fanpage'a i twórczyni scenariusza mobilnej gry miejskiej, Michał Szewczyk z Gazety Miejskiej/24 Gliwice.pl zajął się mapą z realizacjami Schabika, Małgorzata Tkacz-Janik z Kongresu Kobiet Polskich i Ania Liszewska z agencji Butik Reklamowy przecierały szlaki w dotarciu do ważnych osób i użyły siedziby na spotkania, Natalka Wójcik z OSOM założyła nasz fanpage, a autorka niniejszego tekstu stara się, by duch Schabika wciąż nas inspirował.

Odbyliśmy wiele spotkań roboczych, burz mózgow, namiętnie dyskutowaliśmy o historii i terażniejszości, układając plan wydarzeń. Było mnóstwo pomysłów, każdy skrzętnie odnotowaliśmy, bo może się przydać w naszej dalszej społecznej pracy.

Rok Schabika

12 maja 2019 oficjalnie zainaugurowaliśmy Rok Schabika w kinie Amok podczas festiwalu filmów o architekturze. Ale tak naprawdę „Rok” rozpoczął się 22 maja (w setną rocznicę objęcia przez Schabika funkcji radcy) i potrwa do maja 2020 r.

Za nami mobilna gra miejska: #Schabiku byłem/ich war hier. Zabawa historią i z historią przyciągnęła uczestników w różnym wieku, co cieszy, bo świadczy o tym, że w każdym wieku można być online. Do rywalizacji o palmę pierwszeństwa w walce ze Smogiem, ale przede wszystkim w teście ze znajomości historii miasta i dokonań wielkiego budowniczego stanęło 15 drużyn (około 60 osób). Grę stwo-

rzyły Agnieszka Bilka i Justyna Wydra, głos postaciom użyczyli Michał Czaplicki, dziennikarz i prezenter oraz Alina Czyżewska, była aktorka Teatru Miejskiego w Gliwicach.

Za nami także trzy z pięciu planowanych spacerów historycznych, w tym jeden w charakterze śniadania na bulwarach przy ul. Słowackiego. W czerwcu 2019 dr Adam Bednarski i dr Ryszard Nakonieczny z Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej prowadzili po mieście tropem najbardziej znanych, ale też unikalnych realizacji, jakie powstały w czasie urzędowania Schabika. To dziś klasyki i ikony architektoniczne, na trwałe zapisane w kanonie planowania przestrzennego.

W październiku na bulwarach Słowackiego w otoczeniu zespołu mieszkaniowego z lat 1920. i 30., wybudowanego dla urzędników i pracowników administracji, śniadanie z radcą w towarzystwie dwóch znakomitych prowadzących – Bogusława Małuseckiego oraz dr Justyny Swoszowskiej, wykładowcy Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej. W tych historycznych podróżach po mieście uczestniczyło ponad 300 osób.

„Gliwice dla Schabika” planują również warsztaty z udziałem studentów architektury, wydanie mapy z najważniejszymi budynkami i zespołami mieszkaniowymi powstałymi w latach urzędowania Schabika i – symbolicznie – oznaczenie ich w przestrzeni miasta. Rok 2020 społecznicy poświęcą zielonym Gliwicom, czyli parkowo-drzewnej spuściznie radcy i jego współpracowników, a imprezy będą się odbywać pod hasłem „Nie ma lipy”. Może zaprosimy nawet mieszkańców na wspólną lipową herbatkę. ■



Spacer historyczny śladami gliwickiej moderny i Bauhausu z dr. Ryszardem Nakoniecznym.



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2020 rok!
Wystarczy wyciąć i wpeścić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

**Prenumerata roczna – 84 złote
 Prenumerata półroczna – 42 złote
 Prenumerata kwartalna – 21 złotych**

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odtisk dla instytucji przyjmującej zlecenie

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
I.L. 0820300045111000004079490		I.L. 0820300045111000004079490	
nr rachunku odbiorcy		nr rachunku odbiorcy	
wzrost		wzrost	
W P P L N		W P P L N	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy		nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.		nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem		tytułem	
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		tytułem cd.	
„ŚLĄSK”		„ŚLĄSK”	
Oplata:		Oplata:	
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy		pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy	

odtisk dla instytucji przyjmującej zlecenie

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
I.L. 0820300045111000004079490		I.L. 0820300045111000004079490	
nr rachunku odbiorcy		nr rachunku odbiorcy	
wzrost		wzrost	
W P P L N		W P P L N	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy		nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.		nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem		tytułem	
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		tytułem cd.	
„ŚLĄSK”		„ŚLĄSK”	
Oplata:		Oplata:	
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy		pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy	



NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

O klimacie i dla klimatu

CZĘSTOCHOWA. W Galerii Dobrej Sztuki wciąż można było oglądać wystawę Stop! Smog niezwykle prężnie działającej grupy artystycznej ATINA, której członkowie pochodzą z okolic Częstochowy, Katowic, Gliwic, Krakowa, Zamościa, Rzeszowa i Poznania. Tym razem artyści protestowali przeciwko zanieczyszczeniu środowiska za pomocą plakatów, obrazów przygotowanych w różnej stylistyce – od realizmu, przez ekspresjonizm, symbolizm aż po abstrakcję, instalacji i grafik. Wszystko po to, by wzbudzić refleksję odbiorców.



Zdjęcie udostępnione przez Anilę Grobelak, grupa artystyczna ATINA

Smog w pracach istnieje jako niemal mięsista czern, zatykająca oczy i płuca, czasami gęsty sinoniebieski dym, pochłaniający zielen i przybierający fantastyczne formy, ale także kominy, kościotrupy, ludzie walczący o oddech (w pracach Altei Leszczyńskiej postaci noszą maski przeciwgazowe). W takich postapokaliptycznych krajobrazach kolory zdają się nierealne.

Na wystawie swoje prace zaprezentowało wielu artystów, by wskazać choćby Jarosława Kweclicha, Włodzimierza Kuleja, Mariana Panka, Julię Panek, Paulinę Taranek, Annę Pacułę, Anitę Grobelak (inicjatorkę grupy), Kacpra Karankiewicza. Wcześniej prace pokazywano w Brukseli i podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

Literacka Częstochowa ostatnich dekad

CZĘSTOCHOWA. 4 września w Sali Reprezentacyjnej Muzeum Częstochowskiego odbyło się spotkanie z Arkadiuszem Franią, autorem książki *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy*. Autor jest literaturoznawcą, poetą, eseistą i krytykiem, aktywnie uczestniczącym w życiu literackim naszego miasta od lat 90. XX wieku. Spotkanie prowadziła Barbara Strzelbicka, wiersze częstochowskich twórców i fragmenty ich wspomnień czytała Olga Wiewióra. Spotkanie uświetnił występ chóru mieszanego Coralmente.

Książka jest zbiorem szkiców na temat kultury w Częstochowie po II wojnie światowej. Nic dziwnego, że przypomniano w niej również działalność częstochowskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i jego członków, Edmunda Łągiewki czy Elżbiety Cichli-Czarniawskiej. Szkice poświęcono też grupie Lit-Ars, Tadeuszowi Gierymskiemu, Waldemarowi M. Gaińskiemu oraz Edwardowi Piekarskiemu.

Arkadiusz Frania wypełnia lukę, dokumentując, a przede wszystkim ocalając od zapomnienia twórców publikujących w lokalnej prasie, a także opisując mechanizmy kształtujące życie literackie Częstochowy. Miejmy nadzieję, że na ciąg dalszy tej jakże ważnej i potrzebnej publikacji nie trzeba będzie długo czekać.

Powspominajmy Balbinę

CZĘSTOCHOWA. Do 15 września w Galerii Zwiastun Miejskiej Galerii Sztuki można było obejrzeć wystawę Balbina w krainie czarów upamiętniającą zmarłą 29 stycznia br. częstochowską malarzkę, bajkopisarkę i animatorkę kultury, Małgorzatę „Balbinę” Sętowską. Na niewielkiej przestrzeni pokazano prace z cyklu Zabawki, czyli dyplom z malarstwa obroniony na Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. To świat dziecinnego pokoju. Niektóre z postaci wtopione w tło dopiero chcą się zmaterializować albo właśnie uległy dematerializacji.

Małgorzata „Balbina” Sętowska z domu Plucińska urodziła się w 1953 roku w Częstochowie. Tu ukończyła liceum plastyczne oraz Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Była nauczycielem dyplomowanym, współzałożycielką Stowarzyszenia dla Dzieci i Młodzieży „Szansa”, organizującego akcje plastyczne, warsztaty i plenery dla dzieci. Działała w Częstochowskim Stowarzyszeniu Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza oraz w Polskim Stowarzyszeniu Edukacji. Była członkiem międzynarodowej Grupy Twórców Złota linia oraz Klubu Twórców Różni. Pisała bajki i wiersze dla dzieci: Bajki z szuflady (1995), Bajki do poduszki (1997) czy Bajki z rękawa (2008), które ilustrowali: Joanna Garasińska, Marian Michalik, Jacek Pałucha, Tomasz Sętowski oraz Agnieszka i Agata Żmudzińskie.

Noc Kulturalna

CZĘSTOCHOWA. Pierwszy weekend września rozpoczął jeścienny sezon kulturalny. Program instytucji kulturalnych i stowarzyszeń objął około 100 propozycji przygotowanych dla różnych grup, od dzieci począwszy. Były wystawy, koncerty, spektakle, spotkania, imprezy taneczne oraz warsztaty. Wejściówka, a dokładnie opaska na rękę, kosztowała 17 złotych. I choć pogoda nie za bardzo dopisała, było zimno i padał deszcz, to uczestnicy byli usatysfakcjonowani.

W sobotni wieczór wystąpili m.in. Jan „Ptaszyn” Wróblewski, Sztynny Pal Azji, Kasia Lins, Santabarbara, Krzysztof Majchrzak, Paweł Łowicki, Mikser, Biernaski. Były spektakle częstochowskiego teatru oraz zespołów amatorskich, działających przy szkołach, uczelniach czy fundacjach, a w Muzeum Częstochowskim rysowano karykatury. Poza tym zorganizowano warsztaty rękodzieła artystycznego oraz dubbingu filmowego, festiwal gier podwórkowych. Przygotowano też strefę gier elektronicznych oraz planszówek. Można było również zapoznać się z techniką linorytu, uczestniczyć w bębniarskim flash mobie, porozmawiać z Tomaszem Sekielskim oraz udać się na wieczorny spacer z Juliuszem Sętowskim śladami Krzysztofa Komedy. W OKF Iluzja zaproponował filmy Jima Jarmuscha, a duet Fisherboyz przygotował taperkę do Człowieka z kamerą filmową (1929) Dżigi Wiertowa. Były spotkania z Pauliną Pidzik oraz Anną Janko.

Kolejne Czytaj

CZĘSTOCHOWA. Różne przyjemności czytania i inspiracje lekturą prezentował Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” przygotowywany przez Stowarzyszenie Komunikat, partnerów i wolontariuszy. Między 16 a 22 września odbyły się spotkania z autorami, koncerty, warsztaty, pokazano instalacje (m.in. Czytelnia międzygatunkową Anny Wójcik w Klubie Festiwalu przy ul. Śląskiej; Matylda Salajewska), wystawy, projekcje filmów (m.in. *Pożegnanie jesieni* Mariusza Trelińskiego). Były koncerty: Krzysztofa Niedźwieckiego i Mateusza Karonia, duetu Syny, Korine Sky Riot oraz spacerownik literacki. Wśród zaproszonych autorów pojawili się twórcy prozy fikcyjnej, kryminałów, powieści oraz pisarze związani z Ha! artem, czyli Mariusz Szczygieł, Filip Springer, Olga Drenda, Wojciech Chmielarz, Zyta Rudzka, Marta Dzido, Anna Mazurek i Jakub Michalczenia. Do tego jeszcze Wojciech Wiślak oraz Marcin Okoniewski, którzy spotkali się z czytelnikami w ramach Nocy Księgarń, wydarzenia przygotowywanego przez OSDW Azymut ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W tym roku po raz pierwszy odbyły się dwie debaty o literaturze. Rozmawiano o literaturze w muzyce (Paweł Tański, Jarosław Szubrycht oraz Adam Regiewicz) oraz kondycji literatury w homogenicznej współczesności (Anna Marchewka, Michał Nogaś i Przemysław Czapliński).

CZĘSTOCHOWA. Krótko

* zagrali: Teatr im. Adama Mickiewicza – Elżbieta Wojnowska; OPK Gaude Mater – Marc Perrenoud Trio, w ramach JAZZtochowy;

* wystawiali: OPK Gaude Mater – Beth Giacommo; Wejściówka – Iwona Herbuś;

* podczas inauguracji 75. sezonu artystycznego Filharmonii Częstochowskiej w programie Moniuszko nieznan, wykonano m.in. Sonety krymskie (1867) na głosy solowe, chór i orkiestrę;

* w 80. rocznicę Krwawego Poniedziałku Teatr Wojtka Kołsuta wystawił Czas mroku;

* zmarł Aleksander Jaśkiewicz, emerytowany pracownik Muzeum Częstochowskiego, dyrektor placówki w latach 1991–1994.

Konferencja na stulecie

CIESZYN. W dniach od 2–3 października 2019 roku w Cieszynie i w Wiśle odbyła się ogólnopolska konferencja naukowa z okazji 100. rocznicy urodzin Stanisława Hadyny. Obradom towarzyszyły wydarzenia kulturalne: projekcja filmu, koncert i dwie wystawy. Postać założyciela Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” ukazała się w nowej, mało znanej dotąd odsłonie.

Pierwszy dzień konferencji poświęcony został twórczości muzycznej Stanisława Hadyny, zwłaszcza inspirowanej śląskim folklorem. Obrady toczyły się w Instytucie Muzyki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie w Sali kameralnej im. Jana Sztwiertni. Referaty wygłosili prof. Daniel Kadłubiec z Zaolzia, prof. Jolanta Szulakowska-Kulawik z Akademii Muzycznej w Katowicach, dr Karolina Banach reprezentująca Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, dr Danuta Zoń-Ciuk z Instytutu Muzyki Uniwersytetu Śląskiego, prof. Akademii Muzycznej Elżbieta Grodzka-Łopuszyńska oraz prof. Uniwersytetu Śląskiego Hubert Miśka. Na zakończenie części merytorycznej konferencji odbyła się projekcja filmu „Młodość Chopina”, nakręconego w 1952 roku przez Telewizję Polską. Scenariusz powstał m.in. w oparciu o nagrodzoną pracę Stanisława Hadyny pt. „Niezatarte ślady”. Dwugodzinny obraz w reż. Aleksandra Forda do dziś wywiera duże wrażenie na widzach i warto mu poświęcić swój czas.

W drugim dniu obrad, które toczyły się w Sali głównej Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Jana Śniegonia w Wiśle, prelegenci omawiali źródła i materiały do biografii Stanisława Hadyny (Danuta Szczyпка z Wisły), pozostawione przez niego rękopisy nutowe oraz literackie (Sylwia Richter i dr Zygmunt Magiera z Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”), analizowali jego prozę i dramaty (dr Łucja Dawid, dr Xymena Borowiak, prof. Włodzimierz Szturc). Nie zabrakło kultury ludowej, gdyż folklor beskidzki był niewątpliwie główną inspiracją Profesora (dr hab. Magdalena Szyndler – etnomuzykolog Uniwersytetu Śląskiego), który nie stronił też od filozofii, etyki i religii (dr hab. prof. Akademii Górniczo-Hutniczej Izabela Trzcńska). Dzięki swym szerokim zainteresowaniom Stanisław Hadyna spotykał na drodze życia niezwykle ludzi, twórców nauki i kultury (dr Renata Czyż), sam tworzył wybitne dzieła muzyczne i literackie, ale do dziś nie ma podstawowej bibliografii jego prac. Są jednak same dzieła, które po zakończeniu obrad można było usłyszeć podczas koncertu.

Koncert kameralny w wykonaniu artystów związanych z Uniwersytetem Śląskim składał się z utworów autorstwa kompozytorów Śląska Cieszyńskiego: Władysława Macury, Józefa Podoli, Jana Sztwiertni i Stanisława Hadyny. Główną postacią był oczywiście Stanisław Hadyna, którego poruszające mazurki i preludia oraz „Pieśń bez słów na skrzypce i fortepian” z odnalezionego rękopisu zostały po raz pierwszy wykonane publicznie. Utwory te, napisane w 1946 roku, autor zadedykował ukochanej żonie. Na scenie wystąpili: Sabina Olbrich-Szafraniec – sopran, Adam Wagner – skrzypce oraz Agnieszka Kopińska – fortepian. Koncert prowadziła Grażyna Durlow.

Konferencji, której organizatorami byli cieszyński Instytut Muzyki Uniwersytetu Śląskiego oraz Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Śniegonia w Wiśle, towarzyszyły dwie wystawy. Plenerowa, prezentowana na Placu Hoffa w Wiśle, którą przygotowało miasto we współpracy z zespołem „Śląsk” oraz czasowa ekspozycja wykonana przez Kongres Polaków w Republice Czeskiej. Konferencję i towarzyszące jej prezentacje kulturalne wsparło finansowo miasto Wisła, od którego Stanisław Hadyna otrzymał tytuł Honorowego Obywatela.

XXIX Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych

KATOWICE W dniach 13–27 października zorganizowany został XXIX Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów

Konkursów Muzycznych. W tym roku odbyły się 32 koncerty z udziałem młodych artystów – solistów i zespołów kameralnych, którzy zdobywając konkursowe nagrody zadziwili muzyczną dojrzałością i pasją do sztuki muzycznej.

W ramach konkursu zaśpiewali m.in. laureaci XVIII Międzynarodowego Konkursu Sztuki Wokalnej im. Ady Sari w Nowym Sączu, XXI Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Imricha Godina IUVENTUS CANTI we Vrablach, III Międzynarodowego Konkursu Solowej Wokalistyki Sakralnej ARS ET GLORIA w Katowicach, dla Chopina – zagrali laureaci V Międzynarodowego Podkarpackiego Konkursu Chopinowskiego w Rzeszowie, a w pianistycznej części festiwalu wystąpił także laureat Estrady Młodych Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku.

W Katowicach uczestnicy festiwalu wystąpili nie tylko w tak rozpoznawalnych miejscach jak Sala Koncertowa i Aula im. Bolesława Szabalskiego Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego, Sala Kameralna NOSPR, Studio Koncertowe Radia Katowice, Biblioteka Śląska, Państwowa Szkoła Muzyczna im. Mieczysława Karłowicza, Muzeum Archidiecezjalne, w Kosciele Podwyższenia Krzyża Św. i św. Herberta na Osiedlu Witosa i św. Anny w Nikiszowcu. Muzycy wystąpili również w kilku miastach Śląska: Chorzowie, Siemianowicach, Dąbrowie Górniczej i Jaworznie. Dzięki współpracy z Instytutem Muzyki i Tańca w ramach programu „Zamówienia kompozytorskie” w czasie festiwalu miały miejsce prawykonania nowych dzieł polskich twórców. Tym razem były to kompozycje Miłosza Bembinowa i Wojciecha Ziemowita Zycha.

Zielony Październik – Miesiąc Karłowatości i Niskorosłości

KATOWICE Od kilku lat na całym świecie, w październiku, prowadzona jest kampania społeczna na temat schorzeń z jakimi borykają się osoby niepełnosprawne o niskim wzroście.

Kolorem przewodnim i symbolicznym jest zieleń — która niesie nadzieję i radość!

W tym roku Stowarzyszenie Ludzie Niedużego Wzrostu tworzy album z hashtagiem #ZielonoMi i prosi o nadsyłanie zdjęć z zielonym motywem przez osoby, które chcą włączyć się w akcję. Zdjęcia można wysyłać na adres kontakt@nieduzywzrost.pl.

W trakcie tego miesiąca, Stowarzyszenie zawarło współpracę z niektórymi szkołami w Polsce, które zadeklarowały przeprowadzenie lekcji na temat niskorosłości.

Osób z różnymi odmianami karłowatości czy niskorosłości w Polsce, według różnych szacunków jest co najmniej kilka tysięcy. Oprócz samego niższego wzrostu, tym schorzeniem towarzyszą często inne dolegliwości, takie jak problemy ze stawami, kręgosłupem czy mięśniami.

Słoneczniki 2019 na Śląsku – statuetka dla „Małego kominiarczyka”!

BYTOM Na scenie Opery Śląskiej w Bytomiu, zaprezentowany zostanie spektakl „Mały kominiarczyk. Zróbmy operę!” Benjamina Brittena. Produkcja została niedawno nagrodzona statuetką w konkursie Słoneczniki 2019, jako najbardziej rozwojowa śląska inicjatywa dla dzieci w wieku 0-14 lat w kategorii „Sztuki wizualne”. Konkurs jest organizowany przez portal CzasDzieci.pl. Kierownikiem muzycznym spektaklu „Mały kominiarczyk” jest Grzegorz Brajner, reżyserem — Zofia Dowjat, a autorką scenografii i kostiumów — Dagmara Walkowicz-Goleśny. W spektaklu występują zarówno dorośli, jak i dzieci. Realizację premierowego przedstawienia poprzedziły profesjonalne warsztaty teatralne dla najmłodszych. Spektakl był interaktywnym widowiskiem, w którym publiczność aktywnie włącza się w akcję, dziejącą się na scenie teatru. Dodatkowo dzieci kompleksowo poznają świat opery — dowiadują się czym jest orkiestra, jak działają instrumenty i kim jest inspicjent.

Cztery statuetki – XIII Teatralne Nagrody Muzyczne im. Jana Kiepury!

WARSZAWA BYTOM W Sali Wielkiej (Balowej) Zamku Królewskiego w Warszawie, odbyła się XIII Gala rozdania Teatralnych Nagród Muzycznych im. Jana Kiepury. Cztery statuetki powędrowały w ręce osób związanych z bytomską sceną Opery Śląskiej.

Najlepszą tancerką klasyczną została **Michalina Drozdowska**, solistka baletu Opery Śląskiej. Zadebiutowała tu w partii Klary w „Dziadku do orzechów” Piotra Czajkowskiego w reż. Henryka Konwińskiego. Tancerka występuje w partiach baletowych oper i operetek prezentowanych na bytomskiej scenie. Kreuje również rolę główną – Kitri — w balecie „Don Kichot” Ludwiga A. Minkusa w reżyserii Henryka Konwińskiego, który miał premierę w kwietniu tego roku.

Natomiast Nagrodę za najlepszą scenografię, właśnie do „Szeherazydy/Medei” odebrała **Martyna Kander**. W kategorii najlepszy śpiewak operowy, nagrodę odebrał **Stanislaw Kuflyuk**, który na deskach Opery Śląskiej śpiewa m.in. partie Giorgio Germonta w „Traviacie” Giuseppe Verdiego w reż. Michała Znanięckiego, oklaskiwano go również jako tytułowego „Don Desiderio” Józefa Michała Ksawerego Poniatowskiego pod kierownictwem muzycznym Jakuba Kontza i w reż. Eweliny Pietrowiak. Maestro **Tadeusz Kozłowski**, stale współpracujący z Operą Śląską, został doceniony za całokształt pracy artystycznej. Pod jego kierownictwem muzycznym zrealizowano wiele spektakli operowych pre-

zentowanych na deskach Opery Śląskiej, jak np. „Aida” i „Nabucco” Giuseppe Verdiego, „Tosca” Giacomo Pucciniego, „Halka” i „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki oraz wiele innych. W tym roku maestro dyrygował również podczas IV Międzynarodowego Konkursu Wokalistyki Operowej im. Adama Didura, który organizuje bytomski teatr.

Czarny Koń Ars Independent 2019?

KATOWICE Dobiegł końca Ars Independent Festival 2019. Po raz kolejny już festiwalowiczki i festiwalowicze zdecydowali o tym, do kogo trafiły Czarne Konie! Tegoroczna edycja festiwalu trwała 6 dni (24 — 29 września). Odbyło się ponad 40 multimedialnych wydarzeń, a wśród nich m.in. projekcja 6 filmów, 32 animacji, 30 wideoklipów oraz 7 gier wideo w konkursach Czarny Koń. To właśnie z nimi widownia została skonfrontowana podczas 9. edycji imprezy. Kolejny raz to właśnie festiwalowa publiczność spośród obejrzanych produkcji wyłoniła zwycięzców w czterech kategoriach. Laureaci każdego konkursu otrzymali statuetkę i tytuł Czarnego Konia, a także 500 euro. Kim byli szczęśliwi laureaci? Czarnym Koniem Filmu – ze średnią głosów 4,83 – został Yann Gonzalez z filmem „Nóż + serce”. W konkursie Czarny Koń Animacji nagroda trafiła do Weroniki Szymy za film „Bies i kat”. Animacja zdobyła średnią głosów 5,32. Ze średnią ocen 4,97 Czarnym Koniem Wideoklipu okrzyknięto Niniana Doffa za teledysk The Chemicals Brothers — „We’ve got to try”. W konkursie mającym wyłonić Czarnego Konia Gier Wideo – ze średnią ocen 5,33 – zwyciężył Hempuli Oy za grę „Baba is You”. Organizatorami wydarzenia były instytucja kultury Katowice Miasto Ogrodów oraz Miasto Katowice.

V Sosnowiecka Jesień Teatralna

SOSNOWIEC W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu zorganizowana została V Sosnowiecka Jesień Teatralna. Tegoroczna edycja przebiegała pod hasłem „Literatura – muzyka – teatr: miejsca wspólne, miejsca własne”. Ten trzytygodniowy interdyscyplinarny projekt Biblioteka zrealizowała we współpracy z wieloma instytucjami i środowiskami, takimi jak: Zakład Teatru i Dramatu Uniwersytetu Śląskiego, Biblioteką Śląską w Katowicach, Teatrem Zagłębia w Sosnowcu, Zespołem Szkół Muzycznych im. Jana Kiepury w Sosnowcu, Fundacją „Dr Clown” Oddział Sosnowiec, Centrum Pediatrii im. Jana Pawła II w Sosnowcu, Szkołą Podstawową nr 8 w Sosnowcu. Tegoroczny projekt był poświęcony trzem dziedzinom twórczości artystycznej, które współtworzą wydarzenie teatralne. O jego zaletach decydują bowiem: ważny, wartościowy tekst literacki, realizujący własną koncepcję artystyczną reżyserzy, a także kunszt aktorów kreujących teatralną rzeczywistość. Niebagatelną rolę, zwłaszcza w teatrze muzycznym, odgrywa również muzyka, która stanowi ważne dopełnienie wspomnianych wcześniej elementów wydarzenia teatralnego. W programie V Sosnowieckiej Jesieni Teatralnej znalazły się m.in.: wystawa „U źródeł polskiej opery”, cykl wykładów „Wspólne konwencje literatury, muzyki i teatru”, projekcje filmowe z cyklu „Musical na dużym ekranie”, koncert „Evergreens kameralnie”, koncert „Jesienne spotkania z muzyką i poezją”, spotkanie z aktorem teatru muzycznego połączony z recitalem artysty, konkurs piosenki aktorskiej oraz spektakle, warsztaty, zajęcia teatralne dla dzieci, imprezy artystyczno-literackie oraz muzyczne i wiele innych atrakcji dla dzieci i młodzieży oraz dorosłych.

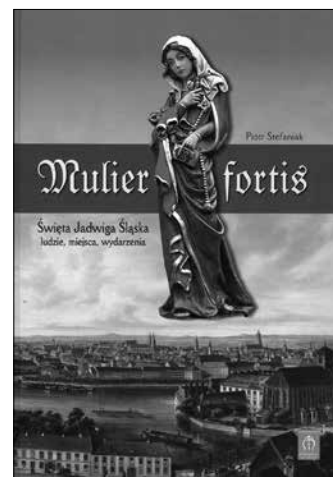
KSIĄŻKI NADESŁANE



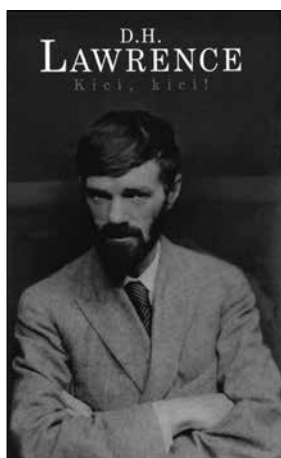
Pergamin wspomnień. Szkice o poezji Mariana Kisiela. Pod redakcją Ewy Bartos, Pawła Majerskiego, Katarzyny Niesporek. Wydawca Imago Public Relations, Katowice; Słowo/Obraz Terytoria Gdańsk 2019.



Zbigniew Barecki, Eufrozyna Piątek. *Kopalnia Concordia i Szyb Maciej w Zabrzu. Historia i zachowane dziedzictwo.* Wydawca Przedsiębiorstwo Górnicze Demex sp. z o. o., Zabrze 2019.



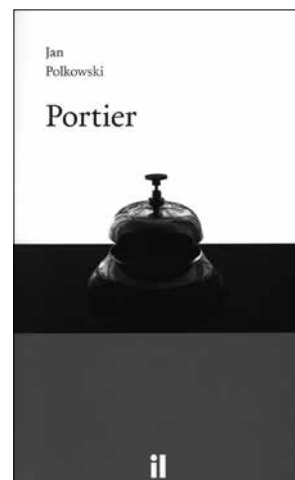
Piotr Stefaniak. *Mulier fortis. Święta Jadwiga Śląska. Ludzie, miejsca, wydarzenia.* Wydawnictwo Księgarnia św. Jacka. Katowice 2019.



D.H. Lawrence. *Kici, kici!* Przełożył Andrzej Szuba. Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice; Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2019.



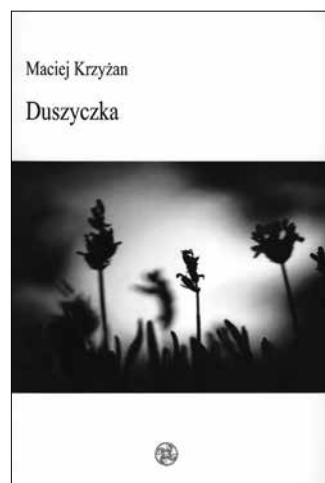
Śląska republika uczonych. Red. Marek Hałub. Wydawca: Neisse Verlag, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Dresden – Wrocław 2018.



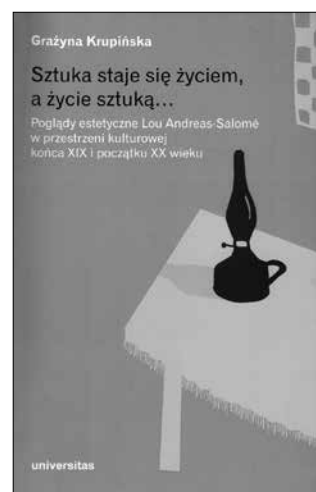
Jan Polkowski. *Portier i inne opowiadania.* Wydawcy: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Redakcja „Toposu”, Sopot; Instytut Literatury, Kraków, 2019.



Janusz Nowak. *Tolle, lege.* Wydawca: Biblioteka „Toposu”, Sopot 2019.



Maciej Krzyżan. *Duszyczka.* Wydawca: Biblioteka „Toposu”, Sopot 2019.



Grażyna Krupińska. *Sztuka staje się życiem, a życie sztuką... Poglądy estetyczne Lou Andreas-Salome w przestrzeni kulturowej końca XIX i początku XX wieku.* Wydawca Universitas, Kraków 2019

ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA
| 24 LISTOPADA 2019 |
GODZ. 10:00 - 14:00

ZAGŁĘBIOWSKA

SOSNOWIEC
UL. KOŚCIELNA 11

GIEŁDA



WINYLI

PŁYT CD
KASET MAGNETOFONOWYCH

WSTĘP WOLNY

IMPREZA DLA MIŁOSNIKÓW ANALOGOWEGO BRZMIENIA
I MUZYKI W STYLU RETRO

WWW.BIBLIOTEKA.SOSNOWIEC.PL

W PROGRAMIE
LOTERIA
Z NAGRODAMI!

5. SOSNOWIECKA JESIEŃ TEATRALNA

Literatura - muzyka - teatr: miejsca wspólne, miejsca własne

WYSTAWA

U źródeł polskiej opery

8 października – 25 listopada 2019

Pasaż Zagłębiowskiej Mediateki, Sosnowiec, ul. Kościelna 11

WERNISAŻ WYSTAWY

8 października 2019, godz. 12:00

Aula Zagłębiowskiej Mediateki, Sosnowiec, ul. Kościelna 11

wstęp wolny

W programie: prezentacja multimedialna



SZCZEGÓŁOWY PROGRAM IMPREZ ZNAJDZIESZ NA AFISZACH ORAZ NA WWW.BIBLIOTEKA.SOSNOWIEC.PL

